ORAZ:
nie było niedzieli cudów
zasuszone tulipany

ODGŁOSY

ROK XIX NR 24 (966) 10 CZERWCA 1976 R. CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

BEŁCHATÓW

KONRAD FREJDLICH

Wielki Kroczący

Skąd ja to wszystko znam? Łącznie z odzywką, która zaświadcza zawsze, że chodzi o sprawę wielkiej wagi:

— O, bo my tutaj, dwa, trzy miesiące temu mieliśmy nalot reporterów.

Budowa oswoiła się więc z obecnością wścibskich dziennikarzy. Dziennikarzowi z budową o takich rozmiarach oswoić się trudniej. I kiedy redakcyjna „Nysa" mozolnie posuwa się prowizoryczną drogą pośród piachów znoszonych przez wiatr na pobocze, wszystkim nam, łącznie chyba z kierowcą, towarzyszy uczucie zagubienia.

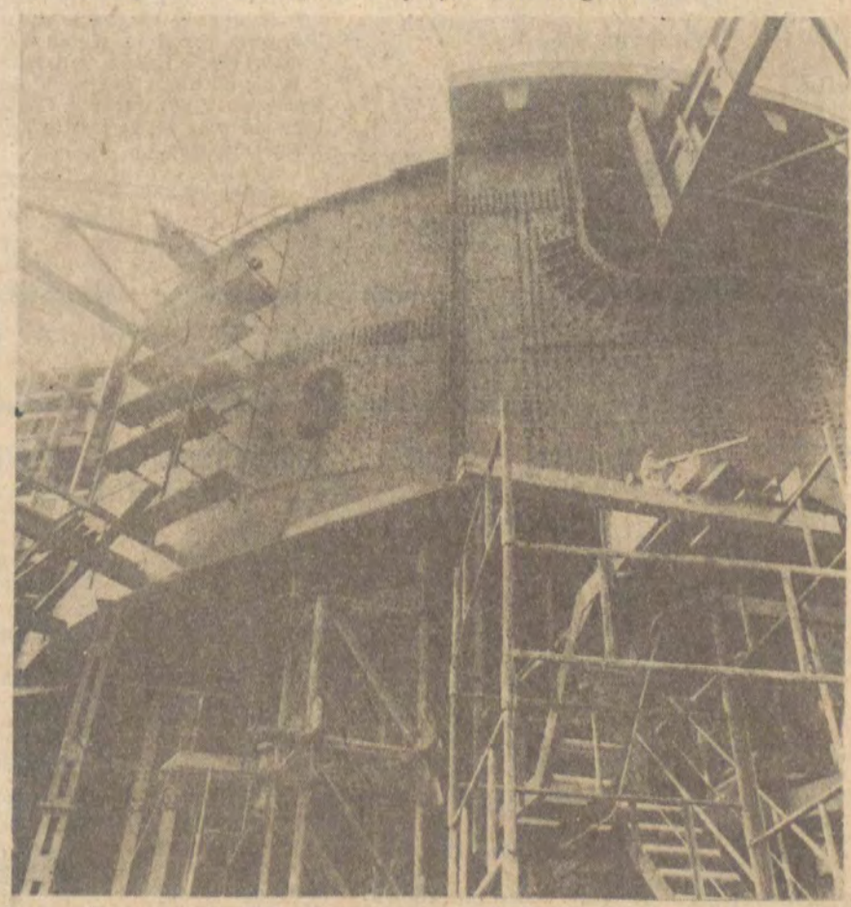

Jeszcze kilkanaście miesięcy temu rósł tutaj las, który teraz odsunął się do linii horyzontu. Wspaniałe, barbarzyńskie widowisko: powalone pnie drzew, kikuty strzaskanych przez buldożery gałęzi, wszędobylski piach na oskalpowanej gwałtownie ziemi. W tym miejscu długim pasem o półtorakilometrowej szerokości głęboko zalega węgiel brunatny, do którego dobierze się **Wielki Kroczący.**

Kim jest ta osobistość, do której przez bezdroża wielkiej budowy usiłuje przebić się dziennikarska ekipa? Już w dyrekcji **Bełchatowskiego Zagłębia Węglowego** ostrzegano nas, że sprawa nie będzie prosta, doradzano wzięcie doświadczonego przewodnika. Jedziemy więc do Rogowca, aby dopiero stamtąd, okrężną drogą dostać się w okolice Piasków na plac montażowy.

Skąd ja to wszystko znam? Przypominam sobie moją pierwszą wyprawę do Turoszowa, dobrych piętnaście lat temu. Na dworcu w Bogatyni powitał mnie gwar pionierów z najodleglejszych zakątków kraju, którzy przyjechali tu w poszukiwaniu pracy, a nad miastem unosił się dym czterech kominów elektrowni Hierschwelde, które kurzyły się po niemieckiej stronie Nysy. Potem rozklekotanym willysem

Dalszy ciąg na str. 8

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

Ultimatum wywołało prawdziwą burzę protestów. Na ulice wylegli demonstranci, kopenhaskie mury pokryły się plakatami. Słychać było zarówno prośby: **POZWÓLCIE NAM ŻYĆ,** jak i groźby: **BO POPEŁNIMY SAMOBÓJSTWO.** Hippiesowska radna, Tina Schmedes, apelowała do wszelkich władnych urzędów. Sympatyzujący z Christianią dziennikarze podnieśli gromki wrzask; adwokaci, z samym największym Carliną Madesenem na czele, zapowiadali wielką rewizję sądową **W MYŚL ODWIECZNYCH PRAW CZŁOWIEKA...** Z różnych krajów Europy nadchodziły ciepłe dla hippiesów telegramy: **WALCZCIE! – SŁUSZNOŚĆ JEST PO WASZEJ STRONIE! – STANOWICIE O PRZYSZŁOŚCI ŚWIATA!**

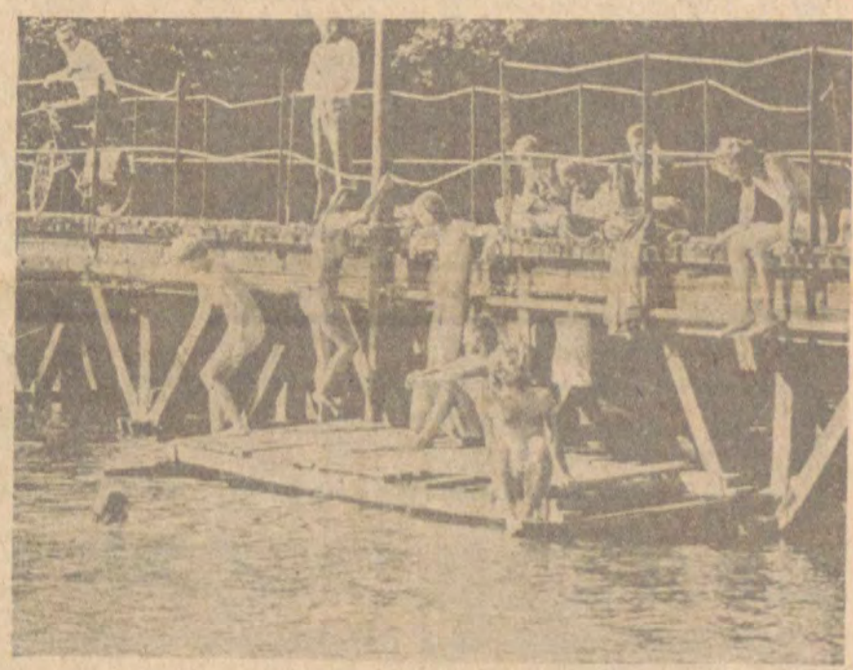

ANDRZEJ MAKOWIECKI

CHRISTIANIA (II)

(KORESPONDENCJA Z DANII)

Komuna nie przygotowywała się specjalnie do obrony. Ot, tu i ówdzie zabarykadowano drzwi, tam i sam ktoś leżał krzyżem na ganku, domagając się niejako: utnij mi nogi, złam mi kręgosłup!

Duńczycy są narodem dobrym, bogatym, współczującym, a berło dzierży kobieta. To — i chyba tylko to! — tłumaczy fakt, że Christiania przetrwała.

2.

Jest połowa kwietnia, dwa tygodnie upłynęły od terminu **ULTIMATUM** i dalej płoną ogniska w hippiesowskim rezerwacie.

Dalszy ciąg na str. 7

OBYCZAJE

LUCJAN BOGUSZ

„FUTBOLISTA BONIEK" I INNI

„Prawdziwa cnota krytyk się nie boi" — powiedział był biskup warmiński Ignacy Krasicki. Niektórzy to tak rozumieją, iż na każdym psy można wieszać, bo skoro on jest cnotliwy, to tym się nie przejmie, wszystkim wybaczy i jeszcze się z dowcipu krytykujących obśmieje. Krytykują więc w słowach ostrych, bardziej na ową ostrość zwracając uwagę niż na fakty. Ostrość sformułowań sama w sobie nie jest zła i każdy piszący chętnie się nią posługuje, ale zważać powinien, czy za tym fakty stoją, czy też pustka zupełna.

Bardzo ostro pisał niedawno w **„Kulturze"** o naszych gwiazdorach piłkarstwa **Krzysztof Mętrak**, dając swemu felietonowi ostry i jednoznaczny tytuł: **„PRZECENA"**. Zabolało to zapewne krytykowanych gwiazdorów, ale też dostało się im słusz-

Dalszy ciąg na str. 12

PLENUM KOMITETU ŁÓDZKIEGO

Oświata, szkoła, wychowanie — TO SPRAWY CAŁEGO NARODU

W dniu 3 czerwca br. odbyło się plenarne posiedzenie Komitetu Łódzkiego PZPR nt. „Główne zadania w doskonaleniu oświaty i wychowania oraz wdrożenia 10-letniej szkoły średniej w województwie miejskim łódzkim w latach 1976-80". W Plenum, któremu przewodniczył I sekretarz KŁ **Bolesław Koperski** wzięli udział minister oświaty i wychowania — **Jerzy Kuberski** oraz zastępca kierownika Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR — **Czesław Banach.**

Wprowadzeniem do dyskusji był referat wygłoszony przez sekretarza KŁ PZPR — **Genowefę Adamczewską**, zaś główne kierunki działania Urzędu M. Łodzi w dziedzinie oświaty i wychowania w latach 1976-80 przedstawił kurator oświaty i wychowania — **Tadeusz Podwysocki.**

Tow. Adamczewska przede wszystkim zwróciła uwagę na zadania oświaty i wychowania w strategii gospodarczo-społecznego i kulturalnego rozwoju kraju przyjęte na VI a kontynuowane na VII Zjeździe partii. Niezwykle istotnym czynnikiem wykonania tych zadań jest stały wzrost poziomu wiedzy, umiejętności i zaangażowania obywateli. Wzrost, który może być osiągnięty dzięki nowoczesnemu, sprawnie funkcjonującemu ogólnonarodowemu systemowi edukacji. Trudności, jakie nieraz obserwujemy w odniesieniu do tych wielkich zadań, związane z przeskokiem do najnowocześniejszej technologii mają m.in. za przyczynę zbyt niski jeszcze poziom przygotowania ogólnego i zawodowego znacznej części zatrudnionych. Stąd też, inspirowana przez PZPR, koncepcja upowszechnienia średniego wykształcenia na poziomie szkoły 10-letniej. Od szkoły i całego systemu edukacyjno-wychowawczego socjalistycznego społeczeństwa zależy w dużej mierze postawa ideowa człowieka, jego wiedza i umiejętności. Oświata, szkoła, wychowanie — jak sformułował VII Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej — to sprawy całego narodu.

Mówczyni przedstawiła również ocenę aktualnego stanu szkolnictwa w naszym województwie. Wiele uwagi poświęciła zintegrowanemu ogólnospołecznemu frontowi wychowawczemu, w którym szkoła współdziała z rodziną, zakładami pracy, organizacjami i instytucjami. Przedstawiając funkcję nowej 10-letniej szkoły średniej podkreśliła jej rolę w kształtowaniu emocjonalnego stosunku do socjalistycznej ojczyzny. Zadania stojące przed nowoczesną szkołą wymagają od jej nauczycieli stałego podnoszenia kwalifikacji, umiejętności, zwiększonego zaangażowania i ideowości.

Kończąc swe przemówienie G. Adamczewska powiedziała: „W naszej partyjnej pracy musimy eksponować problem odpowiedzialności każdego członka partii, każdego obywatela za realizację ogólnonarodowego programu rozwoju oświaty i wychowania".

Kurator T. Podwysocki, przedstawiając opracowany dla naszego województwa program doskonalenia oświaty i wychowania oraz wdrożenia reformy systemu edukacji narodowej, zwrócił uwagę na fakt, że obejmuje on 224 tys. dzieci, młodzieży i dorosłych i zaspokaja podstawowe potrzeby społeczno-gospodarcze województwa, jak również osobiste aspiracje mieszkańców. Zaznaczył, że nakreślone w referacie kierunki pracy dla oświaty i wychowania w województwie będą stanowiły wytyczne do dalszego działania.

W dyskusji zabrali głos: **Zbigniew Mencwal, Wanda Jabłońska-Kicińska, Stanisław Beliczyński, Zofia Jasińska, Elżbieta Wójcikowska-Ociepa, Tomasz Szewc, Danuta Tomaszewska, Anna Mroczkowska, Bazyli Bończak, Cecylia Jóźwiak, Jan Matczak i Edward Król.**

Dyskutanci poruszyli wiele istotnych spraw. Mówiono o szkołach zbiorczych, o szkolnictwie przyzakładowym, o przedszkolach i szkolnej służbie zdrowia, o ideowym zaangażowaniu nauczycieli i tworzeniu socjalistycznych wzorców osobowych, o roli ZHP i wychowawczych funkcjach rodziny. We wszystkich wystąpieniach przejawiała się świadomość miejsca szkoły w całości systemu wychowania, jej rola w systemie administracyjnym państwa oraz wzajemnych powiązań i oddziaływań wszystkich instytucji i organizacji. Każdy zakład pracy, organizacja społeczna i każdy dorosły członek społeczeństwa może pomóc współczesnej szkole i włączyć się do wychowywania młodego pokolenia.

O odpowiedzialności za współczesną szkołę całego społeczeństwa mówił, zabierając również głos w dyskusji, zastępca kierownika Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR — Cz. Banach. Powiedział on m.in., że troska o młodzież, szkołę i wychowanie jest przejawem kultury społeczeństwa i określonego etapu rozwoju.

Ostatnim zabierającym głos w dyskusji był minister oświaty i wychowania — J. Kuberski. Mówca przypomniał motywy modernizacji szkolnictwa w Polsce. Mówił o społeczno-twórczej roli nauczycieli i niwelacji różnic pomiędzy poszczególnymi typami szkół. Wskazał na rezerwy tkwiące w systemie oświaty. Największą rezerwą wartą miliony jest organizacja pracy w szkolnictwie. Organizacja pracy rzutuje i na czas pracy nauczycieli i na wyniki dydaktyczne. W Polsce 80 proc. nauczycieli nie przekroczyło jeszcze 45 roku życia, jest to kadra młoda, pełna inicjatywy, którą zobligowano do kończenia studiów wyższych. Ludzie ci będą pracować w szkolnictwie jeszcze przeciętnie od 20 do 25 lat. W ich rękach spoczywa więc odpowiedzialność za organizację pracy szkoły i realizację programu dziesięciolatki.

Dyskusję podsumował I sekretarz KŁ PZPR — B. Koperski, podkreślając znaczenie dyscypliny pracy w placówkach oświatowych, tak ważne w obecnej chwili, kiedy w każdej szkole studiuje kilku nauczycieli. Zwrócił również uwagę na potrzebę współpracy rodziców ze szkołą oraz rozwijania harcerstwa, które ma wartościowe osiągnięcia w dziedzinie ideowego wychowania młodzieży.

Po dyskusji Plenum przyjęło uchwałę w sprawie dalszego doskonalenia oświaty i wychowania oraz w zakresie przygotowania warunków do wprowadzenia reformy systemu edukacji narodowej w województwie miejskim łódzkim w latach 1976-80.

KULTURA

JEDNO PYTANIE

W latach 1974—75 „Odgłosy" opublikowały cykl szkiców krytycznych poświęconych literaturze naszego miasta. Ta seria artykułów nosiła tytuł „Słownik pisarzy łódzkich". Obecnie chcemy ten cykl kontynuować w lżejszej formie. Zadając pisarzom jedno tylko pytanie, spodziewamy się, że wyniki naszej ankiety zaktualizują „Słownik" i ukażą łódzkie środowisko literackie z nowej strony. Dotychczas wypowiedzieli się: W. Orłowski, Wł. Rymkiewicz, M. M. Szargan, J. Wilmański i R. Binkowski, J. H. Wiśniewski, T. Gicgier, T. Chróścielewski, K. Obidniak, E. Ostrowska, E. Kopczyński, A. Makowiecki, E. Iwanicki i J. Wawrzak. Dziś wypowiedzi kolejne.

CZY ISTNIEJE PISARSTWO TELEWIZYJNE?

Odpowiada: **EDWARD SZUSTER**

Jest to niewątpliwie jedna z gałęzi dramaturgii, chociaż nie jest łatwo wyodrębnić zespół cech składających się na pisarstwo telewizyjne. Myślę że warunkują je przede wszystkim sprawy związane z techniką przekazu. Ale i to nie na wiele tłumaczy, bo w moim odczuciu zacierają się coraz bardziej granice także między scenariuszem filmowym i telewizyjnym. Przykład? Choćby nadany ostatnio „Ptak" Szaniawskiego: teatr przeniesiony w plener. W początkach TV, kiedy programy nadawało się ze studia „na żywo" różnice były większe. Dziś wystarczy w zasadzie pamiętać, że szklany ekran nie lubi dużych planów.

Stawiałem w TV pierwsze kroki wówczas, gdy dzięki technicznym ograniczeniom specyfika warsztatu telewizyjnego była zdecydowanie wyraźniejsza. Trzeba było dbać o jedność miejsca, ze względu na dekoracje. Dokrętki filmowe były przecież nieme. Przełom nastąpił po wprowadzeniu zapisu na taśmie magnetowidu, która usuwa wiele poprzednich ograniczeń. Toteż obserwujemy proces wyprowadzania akcji poza studio. Przyznam się, że za tymi zmianami nie jest łatwo nadążyć, świadomość autorska zmienia się chyba wolniej niż środki techniczne TV. Często zapominam, że już nie trzeba liczyć się z dekoracją.

Może dlatego szczególnym sentymentem darzę „Dragona", jedną z moich pierwszych sztuk TV. Przywiązany jestem także do „Tropienia dni dziesięć". Interesował mnie zawsze dramat rozgrywający się wewnątrz narodu, skomplikowane rozdarcia, które trzeba pokonać, aby znaleźć swoje miejsce w historii. I o tych właśnie sprawach pisałem dla telewizji.

CZY REPORTAŻ JEST LITERATURĄ?

Odpowiada: **KONRAD FREJDLICH**

Reportaż jest forpocztą literatury, jej strażą przednią, mówi bowiem o sprawach, których jego wpływowa siostrzyca nie potrafi jeszcze podjąć z braku dystansu. W moim wypadku reportaż odgrywa znaczenie szczególne jest bowiem sposobem tworzenia własnej biografii. Nie będzie przesady jeśli powiem, że przewędrowałem Polskę z notesem reporterskim w ręku i dzięki temu zetknąłem się z pasjonującymi sprawami ludzkimi, które potem przeniosłem na karty swych książek, powieści i zbiorów reportaży.

Czym może być reportaż uprzytomniła mi praca nad antologią „Uśmiech Ariadny", która operując skalą ponad stuletnią obejmuje niemal wszystko, co napisano o Łodzi w gatunku nazywanym niekiedy wzgardliwie: „gazeciarski", „dziennikarski", „publicystyczny". Jest to nie tylko przegląd nazwisk zapomnianych dziś niekiedy reportażystów. Jest to przede wszystkim książka do czytania przynosząca migotliwy portret miasta. Co ciekawsze książka ta ma swego bohatera, który choć nie jest tożsamy w sensie fizycznym, jest przecież rozpoznawalny we wszystkich reportażach mimo ich odmienności stylistycznej i tematycznej, bowiem starałem się przedstawić szeroką panoramę spraw i problemów, którymi żyła dawna Łódź i których doświadcza Łódź nowa. Daleki jestem od tego, aby przeciwstawiać reportaż prozie powieściowej, a nie brak nam przecież udanych książek o Łodzi, że wspomnę tylko „Ziemię obiecaną" Reymonta, ale wydaje mi się „Uśmiech Ariadny" przynosi równie nasycony obraz robotniczego miasta.

Szkoda, że ten ambitny i bardzo trudny w realizacji rodzaj literatury przeżywa u nas w ostatnim czasie kryzys, że odwracają się od niego pisarze, którzy terminowali w reportażu. Chciałoby się wierzyć, że jest to kryzys przejściowy.

PLASTYKA

AWANGARDA MIĘDZYWOJENNA

Z kilku powodów chciałbym zwrócić uwagę zainteresowanych historią polskich sztuk pięknych na książkę Zofii Baranowicz pt. „Polska awangarda artystyczna 1918-1939". Ta starannie pod względem merytorycznym opracowana publikacja, wydana została w serii WAiF — „Style — kierunki — tendencje" i stanowi wyjątkowo potrzebną pozycję, jako że wypełnia w dużej mierze lukę, jaka stworzyła się w aktualnych opracowaniach odnoszących się do historii XX-wiecznej sztuki polskiej.

W przystępnej, popularnonaukowej formie książka Zofii Baranowicz ukazuje dzieje awangardy polskiej okresu międzywojennego, omawia kolejno formizm, ugrupowania Blok i Praesens, grupę „ar", Grupę Krakowską i Artes, rzuca snop światła na filary, na których owa awangarda się wspierała. Wyjaśnia i prostuje wiele niedomówień, niejasności, fałszywych mitów i nieporozumień, które z racji niezrozumienia, niechęci lub błędnej interpretacji faktów nawarstwiły się wokół przedwojennych ruchów nowatorskich. Niewątpliwą zasługą Zofii Baranowicz jest próba obalenia niektórych krzywdzących opinii o naszej awangardzie (m.in. dość powszechnej opinii, że jej twórcy nie byli samodzielni w swoich poczynaniach artystycznych, że ich nowatorstwo zasadzało się na mniej lub bardziej zręcznej kompilacji wzorów awangardy europejskiej), a także wyjaśnienia wielu spornych kwestii tyczących się prac i przemyśliwań nad stworzeniem stylu narodowego.

Omawiając i charakteryzując poszczególne kierunki i ugrupowania naszej awangardy Zofia Baranowicz poświęca specjalnie dużo miejsca działalności Władysława Strzemińskiego i jego najbliższych współpracowników (oraz całej grupie „ar") uważając, że byli oni najbardziej oryginalnymi twórcami i najbardziej świadomymi swej roli w społeczeństwie artystami. Ich też dokonaniom, przemyśleniom i wnioskom przypisuje autorka największe znaczenie. Przypomina zresztą, że na ekspozycji „Europa 1925", która miała miejsce w Strassburgu, w 1970 roku, właśnie dzieła Władysława Strzemińskiego, Katarzyny Kobro, Henryka Stażewskiego i Karola Hillera ocenione zostały bardzo wysoko i podniesione do rangi jednych z najbardziej znaczących osiągnięć artystycznych swego czasu.

Na jeszcze jeden istotny fakt zwraca uwagę w swojej książce autorka, sygnalizując zresztą tylko jego istnienie, sama bowiem jego istota przekracza ramy opracowania popularnonaukowego. Podkreśla mianowicie ogromną rolę inspirującą rewolucyjnych idei artystycznych, które nasza awangarda przyjęła ze Związku Radzieckiego, gdzie przed Rewolucją, w czasie jej trwania i w latach 20-tych kłębiły się i spierały najradykalniejsze prądy i tendencje.

ANDRZEJ GRUN

KOMUNIKATY

PEJZAŻE WIEJSKIE

WIELKI KONKURS NA OPOWIADANIE, REPORTAŻ GRAFIKĘ I FOTOREPORTAŻ

Konkurs ogłaszają: redakcje tygodników „Nowa Wieś", „Plon" i „Tydzień" wspólnie z Centralnym Związkiem Kółek Rolniczych, Urzędem Wojewódzkim w Płocku, Związkiem Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, Wydawnictwem Poznańskim oraz Młodzieżową Agencją Wydawniczą.

Organizatorzy pragną zachęcić szerokie kręgi literatów, dziennikarzy, fotoreporterów, plastyków, a także osoby niezawodowo uprawiające te gatunki dziennikarstwa, którym bliskie są sprawy wsi, do podejmowania w artystycznej formie problematyki przeobrażeń wsi polskiej, szczególnie w zakresie zmian warunków pracy i życia w tym środowisku.

Prace konkursowe muszą spełniać następujące wymogi:

a) reportaże i opowiadania nie powinny przekraczać objętości 15 stron maszynopisu;

b) prace graficzne mogą być wykonane w dowolnej technice z uwzględnieniem możliwości reprodukcji w technice rotograwiury barwnej i czarno-białej na łamach prasy;

c) prace fotograficzne nie powinny przekraczać wymiarów 18 na 24 cm, a autorzy prac konkursowych powinni zmieścić się w zestawie 10 zdjęć czarno-białych mających charakter zamkniętego tematycznie fotoreportażu;

d) prace nadesłane na konkurs nie mogą być wcześniej nigdzie publikowane.

Jury konkursu przyzna nagrody w czterech dziedzinach:

1) W konkursie na opowiadanie:
I nagroda — 12.000 zł
II nagroda — 8.000 zł
trzy nagrody III po — 5.000 zł
pięć wyróżnień po — 2.000 zł

2) w konkursie na reportaż:
I nagroda — 12.000 zł
II nagroda — 8.000 zł
trzy nagrody III po — 5.000 zł
pięć wyróżnień po — 2.000 zł

3) w konkursie na grafikę:
I nagroda — 8.000 zł
II nagroda — 5.000 zł
trzy nagrody III po — 3.000 zł
pięć wyróżnień po — 1.500 zł

4) w konkursie na fotoreportaż:
I nagroda — 8.000 zł
II nagroda — 5.000 zł
trzy nagrody III po — 3.000 zł
pięć wyróżnień po — 1.500 zł

Jury zastrzega sobie prawo innego rozdziału nagród. Najlepsze prace opublikowane zostaną w formie książkowej.

Opowiadanie i reportaż (w 4 egzemplarzach) należy nadsyłać do dnia 31 lipca br., a fotoreportaż i grafikę do dnia 15 sierpnia br. pod adresem: Redakcja „NOWA WIEŚ", ul. Wiejska 17, 00-480 WARSZAWA w kopercie z dopiskiem „PEJZAŻE WIEJSKIE", opatrzonej godłem autora, do której dołączona zostanie koperta z nazwiskiem oraz adresem autora nadesłanej pracy.

Wyniki konkursu ogłoszone zostaną w pierwszych dniach września 1976 r.

LAUREACI XI OGÓLNOPOLSKIEGO FESTIWALU POEZJI

Na konkurs Festiwalu Poezji nadesłano 73 debiutanckie tomiki poetyckie o 233 zestawach wierszy. Jury pod przewodnictwem **Jana Huszczy** nagrodę za tom debiutancki przyznało **Mirosławowi Boruszewskiemu** z Dzierżoniowa za tomik „Krew i czekolada". W konkursie na wiersz lub prozę poetycką I nagrodę otrzymał **Jacek Rojek** z Osiedla Dąbrowskiego, poczta Bartoszyce, za utwór „Trzy suity" II — **Marek Kośmider** z Poznania za utwór „Nasz człowiek wszystko może", dwie III nagrody przyznano **Krystynie Kwiatkowskiej** z Łodzi („Antygony rosną w innym klimacie") i **Leszkowi M. Engelkingowi** z Brwinowa koło Warszawy („Do Diany").

Wieczorem, w Klubie „Pod siódemkami" odbył się tradycyjny Turniej Jednego Wiersza, w którym wzięło udział kilkunastu poetów.

Jury pod przewodnictwem **Mirosława Ostoi-Ochockiego** pierwszą nagrodę przyznało **Andrzejowi Wiktorowi Mikołajewskiemu** za wiersz „Moja ostatnia wspaniałomyślna modlitwa". Drugą nagrodę otrzymał **Wojciech Wiśniewski**, trzecią — **Krystyna Kwiatkowska.**

INFORMACJE

G. TITUS-CARMEL LAUREATEM W KRAKOWIE

Laureatem Grand Prix VI Międzynarodowego Biennale Grafiki w Krakowie został Gerald Titus-Carmel (Francja), który przedstawił grafikę pn. „Trumna kieszonkowa I".

GŁOGÓWEK BĘDZIE MIAŁ MUZEUM

Małe miasteczko Głogówek na Opolszczyźnie posiada piękną kartę w walce o zachowanie polskości. W miejscowym zamku np., w którym znalazł schronienie w czasie „potopu" król Jan Kazimierz i gdzie Ludwik van Beethoven pisał swą V symfonię, powstaje muzeum syna Opolszczyzny wybitnego malarza Jana Cybisa. W innych komnatach zamkowych znajdą się zbiory upamiętniające życie i dorobek wielu zasłużonych ludzi z tego rejonu z różnych epok aż do czasów współczesnych.

XII FESTIWAL PIOSENKI RADZIECKIEJ

8 czerwca w Zielonej Górze III dziecięcy festyn piosenki i tańca Kraju Rad zainaugurował XII Festiwal Piosenki Radzieckiej. W widowisku plenerowym wzięło udział 20 zespołów tanecznych, wokalnych, wokalno-instrumentalnych i solistów, tworzących łącznie 400-osobową grupę najmłodszych wykonawców.

Z uznaniem uczestników festiwalu spotkało się przekazane do użytku nowe zaplecze zielonogórskiego amfiteatru. Ma ono bowiem m.in. 20 pomieszczeń garderobianych, ambulatorium lekarskie, salę klubową, kawiarenkę.

W salach Muzeum Zielonogórskiego 7 bm. została otwarta towarzysząca festiwalowi wielka wystawa fotogramów i diapozytów pt. „Związek Radziecki dzisiaj", ukazująca dorobek ZSRR we wszystkich dziedzinach życia.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji)
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC

OŚWIATA

Zainteresowanie społeczeństwa problemami oświaty jest zrozumiałe i wynika z przesłanek politycznych, społeczno-ekonomicznych i osobistych. Te ostatnie są stosunkowo częste, zdecydowana bowiem większość rodzin posiada dzieci w wieku szkolnym lub przedszkolnym.

Począwszy od 1971 roku, tj. od VI Zjazdu Partii, który nakreślił program dynamicznego rozwoju społeczno-gospodarczego kraju, sprawy oświaty i wychowania znalazły się w centrum zainteresowania partii, Rządu i społeczeństwa. Podniesienie poziomu kształcenia uznano za pierwszorzędny warunek realizacji planu rozwoju gospodarki narodowej zmierzającego do stworzenia warunków dostatniejszego życia narodu. Wykonując Uchwałę VI Zjazdu PZPR podjęto konkretne działania, które wytyczyły kierunek przemian w dziedzinie oświaty i wychowania.

Wymienię tylko ważniejsze wydarzenia: **Sejm PRL uchwalił w kwietniu 1972 roku „Kartę praw i obowiązków nauczyciela", VII Plenum KC PZPR z 1972 roku po raz pierwszy wszechstronnie zajęło się sprawami młodzieży, a jego uchwały stały się wytyczną rozwiązywania problemów młodzieży, jej kształcenia i wychowania.** Następnie: **raport o stanie oświaty, powołanego z inicjatywy Biura Politycznego KC PZPR Komitetu Ekspertów, Uchwała Sejmu PRL z 13 kwietnia 1973 roku o zadaniach narodu i państwa w wychowaniu młodzieży i jej udziale w budownictwie socjalistycznej Polski, Uchwała Sejmu PRL z 13 października 1973 r. o założeniach reformy systemu edukacji narodowej.** Dużo miejsca sprawom wykształcenia i wychowania poświęcił **VII Zjazd PZPR**, a na **III Plenum KC PZPR** (luty br.) wyraźnie sprecyzowano zadania szkoły i nauczycieli w patriotycznym i socjalistycznym wychowaniu dzieci i młodzieży.

Jeszcze nigdy w dziejach naszego narodu problemom wychowania młodego pokolenia nie poświęcono tyle uwagi. Dzięki inicjatywom partii szkoła i wychowanie stały się najważniejszymi problemami ogólnonarodowymi. Znalazło to odbicie w nakładach finansowych i inwestycyjnych na szkolnictwo. Powstały nowe obiekty szkolne i wychowawcze, rozwinęły się różne formy oświaty i wychowania nie tylko dzieci i młodzieży, ale także dorosłych. Jest to także widoczne w szkolnictwie naszego województwa.

Sejm podejmując uchwałę o reformie, będącą jednym z kroków w realizacji uchwał VI Zjazdu PZPR, uwzględnił dotyczczasowe osiągnięcia szkolnictwa. Warto przy okazji powiedzieć, że przesłanką reformy oświaty była troska o udoskonalenie systemu edukacji narodowej i dostosowanie go do coraz szybszego tempa modernizacji gospodarki narodowej.

Nie można zakwestionować dorobku oświaty w dotychczasowym przeszło trzydziestoletnim okresie odbudowy i rozbudowy naszej Ludowej Ojczyzny. Stwierdza to wyraźnie Raport Komitetu Ekspertów, a skutki dotychczasowego systemu oświaty może potwierdzić każda rodzina i każdy obiektywnie myślący Polak. Ofiarnym wysiłkiem nauczycieli, wspieranym przez partię, szkoły podstawowe, średnie i wyższe uczelnie wykształciły miliony kwalifikowanych pracowników, którzy wspólnie z postępowymi siłami narodu zbudowali podstawy naszej socjalistycznej gospodarki i ludowego państwa. Wkroczyliśmy w nowy okres instensywnego rozwoju społeczno-ekonomicznego i dlatego system oświatowy, który dotychczas był dobry, nie może w przyszłości spełnić oczekiwań społecznych, jeżeli nie zostanie zmodernizowany, a więc unowocześniony i dlatego konieczna jest jego reforma.

PIERWSZE OGNIWO

Zacznijmy od przedszkola, ono bowiem rozpoczyna systematyczną edukację młodego człowieka, a nie jest, jak to ongiś bywało, ochronką dla dzieci zabezpieczającą je na czas nieobecności rodziców. Badania naukowców potwierdziły obserwowaną już od wielu lat prawdę, że pobyt dziecka w przedszkolu wpływa korzystnie na jego dojrzałość fizyczną, emocjonalną, psychiczną i umysłową, co ogólnie określa się dojrzałością szkolną. Stąd też nasze usiłowania zmierzają do tego, by wszystkie dzieci sześcioletnie objąć wychowaniem przedszkolnym. **W Łodzi udało się objąć tą formą wychowania 97 procent sześciolatków.** Zapewniono systematyczny dopływ kwalifikowanych kadr do wciąż zwiększającej się liczby przedszkoli, zwiększając liczbę miejsc w Studium Wychowania Przedszkolnego.

Z myślą o reformie przygotowaliśmy prawie wszystkich nauczycieli klas I—III do realizacji nowego programu matematyki. Swe uzupełniające studia kontynuowali oni bez odrywania się od pracy w Nauczycielskim Uniwersytecie Radiowo-Telewizyjnym.

Uczniów klas I—IV otoczono troskliwą opieką dydaktyczno-wychowawczą, dla dzieci nie nadążających w opanowaniu materiału nauczania zorganizowano zespoły wyrównawcze. Dzięki temu w tych klasach uzyskuje się prawie pełną promocję. Podobne zespoły działają w klasach starszych V—VIII, co przy odpowiedniej opiece rodziców stwarza wszystkim uczniom możliwość opanowania materiału i promocji.

JEDEN SYSTEM

Wszystkie szkoły podstawowe, a także średnie, rozszerzyły funkcję opiekuńczo-wychowawczą, stworzono uczniom możliwość dłuższego przebywania w szkole pod opieką wychowawców i nauczycieli. Świetlice szkolne są czynne do godziny 17—18. Ponad jedna trzecia uczniów spożywa w szkole obiady, a ponad połowa dodatkowo otrzymuje ciepłe napoje: mleko lub kawę.

Od 1972 roku zaczęliśmy wprowadzać w szkołach podstawowych **jednolity system wychowania.** Eksponuje on w pracy lekcyjnej i pozalekcyjnej treści wychowania socjalistycznego: rzetelny stosunek do pracy i ludzi pracy, angażuje w miarę sił i możliwości do prac społecznych na rzecz szkoły i środowiska, pracy dla siebie, klasy, rodziny i społeczeństwa. System ten oparty jest na zasadzie samorządności dzieci i młodzieży, dlatego wyzwala ich inicjatywy, uczy samodzielności myślenia i działania, kształtuje postawy społecznego zaangażowania. Zgodnie ze wskazaniami VII i III Plenum KC PZPR w życiu szkoły akcentuje się treści patriotyczne i internacjonalistyczne, rozwija poczucie dumy narodowej, przywiązania do ojczyzny, wdzięczności dla rodziców, ludzi pracy, poszanowania i szacunek dla godła, hymnu narodowego, tradycji szkoły, narodu, klasy robotniczej i jej partii.

W szkołach prowadzi się kąciki lub izby pamięci narodowej. Dba i troszczy się o nie sama młodzież. Uczniowie współdziałają ze środowiskiem, uczestniczą w różnych imprezach, spotykają się z pracownikami zakładów pracy, poznają różne zawody, przygotowują się do odpowiedniego wyboru kierunku dalszego kształcenia.

Istotnej zmianie uległy w większości szkół formy spotkań nauczycieli z rodzicami. Obecnie stanowią one okazję do zaprezentowania przez uczniów swoim rodzicom własnych osiągnięć i dorobku szkoły, są to więc popisy umiejętności manualnych i artystycznych dzieci i młodzieży. Budzi to uznanie i podziw rodziców, zachęca ich do współdziałania ze szkołą w nauczaniu i wychowaniu.

W województwie łódzkim powstaje coraz więcej **szkół środowiskowych.** Istota ich polega na tym, że są one otwarte na pozytywne wpływy środowiska, współpracę z rodzicami i zakładami pracy oraz instytucjami oświatowo-kulturalnymi. **A praca tych** szkół wykracza poza ich mury, obejmuje bowiem rodzinę i środowisko, tworząc wraz z nimi jednolity front wychowawczy.

Chciałbym tu podkreślić, że współczesna szkoła nie zamierza wyłączać lub ograniczać rodziny w procesie wychowania. Zgodnie ze stwierdzeniami VII Plenum KC PZPR uważamy bowiem, że:

„Wartości wyniesione z domu rodzinnego, wpojone przez ojca, matkę i rodzeństwo są najtrwalsze i decydują o rezultatach całego procesu wychowawczego".

Pomagamy rodzinie w wypełnianiu jej obowiązków wychowawczych, zabiegamy o wysoki autorytet rodziców.

Wszystkim absolwentom szkół podstawowych zapewniamy miejsca nauki w szkołach średnich, rozwijamy preorientację i poradnictwo zawodowe dzieci i młodzieży. Staramy się, aby absolwenci wybierali dalsze kierunki kształcenia zgodne z ich zainteresowaniami, uzdolnieniami i rozwojem psychofizycznym. Jednakże o ilości miejsc w szkołach ponadpodstawowych decydują potrzeby gospodarki narodowej. Powinni też o tym pamiętać absolwenci szkół podstawowych i ich rodzice.

Współpraca rodziny z nauczycielami jest niezbędna również w szkole średniej. Poprawia się przygotowanie absolwentów liceów ogólnokształcących do studiów wyższych. Sprzyja temu uprofilowanie kształcenia, zajęcia fakultatywne, koła zainteresowań i olimpiady przedmiotowe. Decydującym jednak czynnikiem powodzenia jest własna, rzetelna nauka młodzieży. W tworzeniu odpowiedniej atmosfery nauki i pracy w szkołach średnich oczekujemy większego zainteresowania i pomocy rodziców, a szczególnie w zasadniczych szkołach zawodowych.

W naszym województwie rozbudowaliśmy **system kształcenia dorosłych,** istnieją dla nich licea ogólnokształcące i zawodowe, technika i policealne studia zawodowe. Podobnie szkoły wyższe na wydziałach dla pracujących, wieczorowych i zaocznych stwarzają nigdy dotychczas nie spotykane szanse kształcenia i podwyższania kwalifikacji ludzi pracy.

DLA DZIESIĘCIOLATKI

Rok szkolny 1978/79 będzie pierwszym etapem wprowadzenia dziesięciolatki i obejmie klasy I—III. Przygotowania do reformy przebiegają w wielu płaszczyznach. Kształci się kadrę nauczycielską, opracowuje plany rozwoju sieci szkolnej, dostosowuje się bazę materialną do nowych potrzeb, przygotowuje programy i podręczniki szkolne.

Kształcenie kadry pod kątem nowych wymagań rozpoczęto już przed trzema laty. W 1973 roku na wieczorowe i zaoczne studia wyższe skierowano ponad 600 nauczycieli, prawie tyle rozpoczęło studia w latach następnych. W latach 1976—1980 podejmie dalsze studia 1800 czynnych zawodowo nauczycieli. Nauczycielom klas początkowych i przedszkoli, którzy ze względu na wiek nie będą mogli podjąć studiów uzupełniających, umożliwi się składanie egzaminów kwalifikacyjnych przed komisjami specjalistycznymi.

Aktualnie **ponad 30 procent nauczycieli ukończyło studia wyższe, ponad 40 procent posiada ukończone studia półwyższe, pozostali są absolwentami liceów pedagogicznych.** W 1986 roku zdecydowana większość nauczycieli będzie posiadać pełne wykształcenie wyższe. Jak z tego wynika, znaczna część nauczycieli podwyższa swe kwalifikacje w trakcie pracy zawodowej. Wymaga to od nich niemałego wysiłku i zasługuje na uznanie. Władze oświatowe pomagają nauczycielom w podwyższaniu i doskonaleniu kwalifikacji pedagogicznych. W tym celu trzy lata temu powołano Instytut Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych.

Trzeba bowiem wiedzieć, że zreformowana szkoła będzie wymagała od nauczycieli nie tylko znajomości nowych treści nauczania, ale także znajomości nowych metod i środków a także umiejętności ich stosowania w procesie nauczania i wychowania. W tym celu IKNiBO prowadzi dla czynnych nauczycieli szereg kursów i studiów podyplomowych wspólnie z wyższymi uczelniami. Do pracy w szkole będą też kierowani absolwenci wyższych uczelni. W ten sposób problem kadr pedagogicznych dla zreformowanego szkolnictwa zostanie na czas rozwiązany.

Projekt sieci placówek oświatowo-wychowawczych nowego systemu został w zasadzie przygotowany. Aktualnie dokonuje się niewielkich korektur, wynikających ze zmian w zabudowie miast i osiedli. W opracowaniu projektu kierowano się stanem budownictwa szkolnego i potrzebami mieszkańców. W gminach województwa tworzyć będziemy wysoko zorganizowane szkoły zbiorcze i podległe im szkoły filialne. Od urzędów gminnych oczekujemy pomocy w dowożeniu dzieci do szkół zbiorczych. Nie możemy bowiem pozwolić sobie na istnienie małych szkółek, którym nie można zapewnić nauczycieli-specjalistów. Generalnym założeniem reformy jest zapewnienie równego startu dzieciom z miast, osiedli i wsi, a możemy to osiągnąć tylko przez wysoko zorganizowane gminne szkoły zbiorcze.

Jednocześnie przygotowujemy odpowiednie warunki lokalowe i wyposażenie dla nowych szkół. W najbliższych latach w województwie wybudujemy kilkadziesiąt obiektów oświatowych, przeważnie w miastach i gminach poza Łodzią. Zostaną one wyposażone na miarę potrzeb nowoczesnej szkoły. Dotychczasowe budynki będą systematycznie wyposażane w nowszy sprzęt, urządzenia szkolne i pomoce naukowe. Na ten cel zostały zaplanowane niezbędne kwoty.

JAKA BĘDZIE NOWA SZKOŁA?

Mimo że reforma systemu oświatowego rozpocznie się za dwa lata, obejmie ona również tych uczniów, którzy podejmą naukę w klasie pierwszej w tym i przyszłym roku. Stąd już dzisiaj musimy odpowiedzieć na pytanie rodziców: **jaką szkołę te dzieci skończą?** Będzie to średnia szkoła ogólnokształcąca, która dzięki skróceniu nauczania początkowego o jeden rok i realizacji od klasy IV systematycznego programu nauczania dziesięciolatki, zrealizuje taki sam program jak obecna szkoła ogólnokształcąca, składająca się z 8 klas podstawowych i 4 licealnych. Natomiast **absolwenci dziesięciolatki będą mieli szereg możliwości dalszego kształcenia się w szkołach specjalizacji kierunkowej, przygotowujących do studiów wyższych, w szkołach zawodowych, trwających od pół roku do dwóch i pół lat lub też będą mogli podjąć pracę zawodową.**

Do roku 1986, obok szkoły zreformowanej, funkcjonować będzie równolegle zanikający dotychczasowy system szkolny, według którego zdobywać będą wykształcenie wszyscy uczniowie, którzy rozpoczęli naukę we wrześniu 1975 roku i wcześniej. Szkoły te będą również modernizowane pod kątem optymalnego przygotowania absolwentów do dalszej nauki lub pracy zawodowej i życia. W szkołach zawodowych wprowadzać się będzie szeroki profil kształcenia, co umożliwi absolwentom w przyszłości szybkie przekwalifikowanie się i przystosowanie się do zmieniających się procesów technologii produkcji.

Doskonalić będziemy nadal pracę dydaktyczną i wychowawczą dotychczasowych liceów ogólnokształcących, by zapewnić absolwentom lepsze przygotowanie do studiów wyższych lub policealnych.

Program reformy edukacji narodowej, sformułowany przez partię, ma służyć rozwojowi naszego socjalistycznego państwa, tworzeniu warunków dostatniego życia społeczeństwa.

TADEUSZ PODWYSOCKI — doktor, kurator Oświaty i Wychowania Województwa Miejskiego Łódzkiego

TADEUSZ PODWYSOCKI

PRZED REFORMĄ

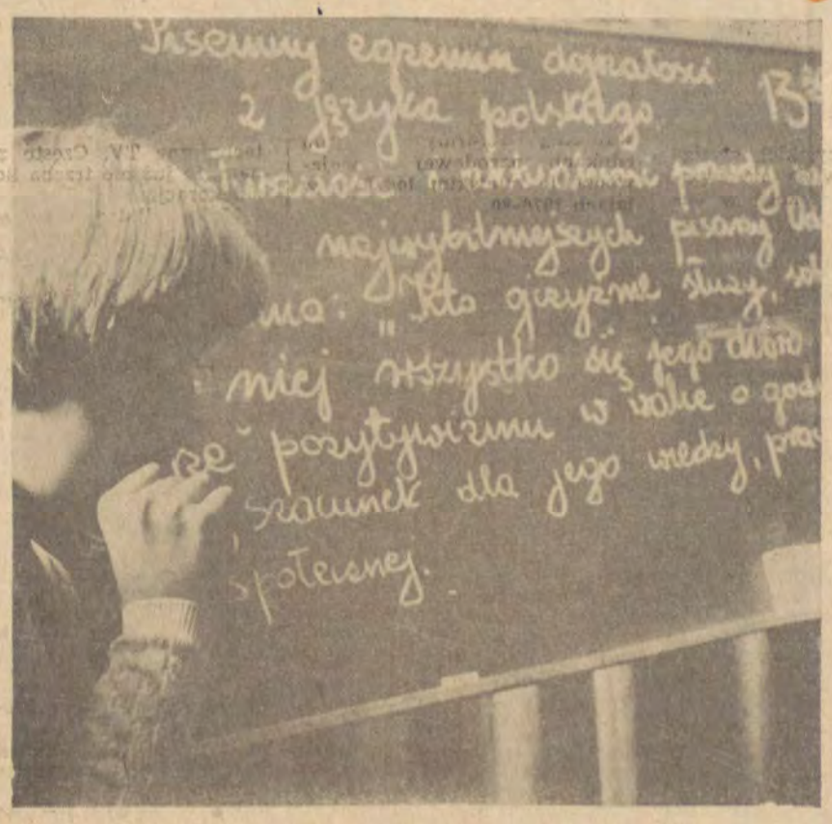

Foto: W. Parys

NIE TYLKO HISTORIA

APLAUZY, FETY i MASZKARY

Pompatyczne wjazdy monarchów, niemniej uroczyste pogrzeby, najprzeróżniejsze ekstraordynaryjne fety, urządzane przy lada okazji nieraz kilka razy na rok, zarówno świeckie jak kościelne, okazjonalne kostiumowe widowiska (zwane maszkarami), bramy triumfalne, barwne korowody odświętnie przystrojonego tłumu: oto przedmiot zainteresowań Michała Rożka w jego książeczce „Uroczystości w barokowym Krakowie" (Wydawnictwo Literackie 1976). Zza kulis barwnego opisu niezliczonych uroczystości, podczas których — jak pisze M. Rożek — „dokonywała się magiczna przemiana życia codziennego w czas odświętny" — wyglądał zwyczajny, codzienny niedostatek, którym nikt zbytnio się nie chwalił.

Ale źródła i to zanotowały: historyk może więc podkreślić, że co najmniej od drugiej połowy XVII w. w związku z gwałtownymi procesami pauperyzacyjnymi w Krakowie, dochodziło do ostrych kontrowersji na temat urządzanych uroczystości. Podczas przygotowań do wjazdu koronacyjnego Michała Korybuta pospólstwo jęło „upraszać" miejskich rajców, by łuki triumfalne wykonano „sumptem jak najmniejszym, respektując na zniszczenie ubogich ludzi w tym mieście". Faktów takich podaje M. Rożek więcej, choć są one jakby ukryte na końcu jego książki. Pospólstwo zgłaszało pretensje do rady miejskiej w związku z uroczystościami po elekcji Jana III: domagano się, aby postawiono bramy triumfalne użyte do uprzedniej fety. Kiedy okazało się, że zginęły, wówczas ludność „zażądała natychmiastowego wszczęcia śledztwa i przykładnego ukarania winnych, „bo my ciężko na to składali" Nowe łuki miały być skromne, należało bowiem monarsze pokazać „nędzę tego miasta (...), bo coraz się będziemy silić i w dobrej opiniej fortun naszych zostawać, a miasto całe zniszczone". Domagano się ograniczenia kosztów uroczystości czy to w związku z koronacją Jana III i Marii Kazimiery, czy wjazdów Augusta II i Augusta III. Nie ulega wątpliwości, „że nie zawsze entrady królewskie były owacyjnie przyjmowane przez całą społeczność Krakowa", chociaż.. zwykle kończyło się na tym, że każda następna uroczystość przewyższała przepychem poprzednią. I tak było niemal do ostatnich lat Rzeczypospolitej...

Uczony Sebastian Petrycy napisał: „nakład na maszkary, na triumfy ma coś w sobie wielmożności, ale to znikoma wielmożność (..), trwała i pamiętna, póki się dzieje". Wielekroć historycy kultury i sztuki zachwycali się wspaniałością olśniewających, parądnych wjazdów, organizowanych przez polskich posłów przybywających do Rzymu czy Paryża. Również i M. Rożek przypomina, że wszystkie one „zyskały wręcz baśniową oprawę, wzbudziły zachwyt, utrwalając się na wieki w dziejach kultury". To prawda, jeśliby sądzić o wywołanym wrażeniu na podstawie panegiryków, na które nie żałowano wówczas pieniędzy. Ale gdyby przyjrzeć się tym wjazdom z bliska, dokładniej, prześledzić, co o nich pisali współcześni, okazałoby się, że nie brakło pośród nich sceptyków, którzy krytycznie oceniali rozrzucanie garściami pieniędzy, gubienie złotych podków i prowadzenie w orszaku dzikich, egzotycznych zwierząt. A niekiedy mówiono (i pisano) jeszcze ostrzej, o czym można się przekonać, sięgnąwszy do wypowiedzi włoskich humanistów XVI—XVII wieku.

M. Rożek poświęcił wiele uwagi opisowi jednej z ostatnich uroczystości, jaka urządzono w Krakowie w czasach Rzeczypospolitej. Było to „theatrum" religijne, wielka feta w związku z kanonizacją Jana Kantego, zorganizowana w 1775 r. przez Akademię Krakowską. Ceremonie „tym razem prześcignęły pozostałe, a przy całej tak charakterystycznej dla baroku wystawności, zadziwiały elegancją i przemyślaną koncepcją treściową" Wierzę M. Rożkowi, że tak właśnie było Ale co to wówczas oznaczało? Spójrzmy jeszcze raz na datę: nie, nie mylimy się. To już nie czasy saskiego nierządu, ale epoka, w której ofensywa Oświecenia jest liczącym się faktem. To pierwsze lata po rozbiorze kraju, czas kiedy poważnie zabrano się do pracy nad przetworzeniem stosunków w Rzeczypospolitej. Rok wcześniej Komisja Edukacji Narodowej poczęła przejmować szkoły i reorganizować je w nowym duchu. W tym samym, 1775 roku, obejmie kanonię krakowską Hugo Kołłątaj, niebawem — w 1778 r. — wizytator i reformator Akademii Krakowskiej. Fakty te i daty mówią wiele, pozwalają lepiej zrozumieć treść wystawnej i eleganckiej fety, urządzonej w Krakowie w 1775 roku. Treść jednoznacznie konserwatywną, jeśli nie reakcyjną, skoro była to manifestacja światopoglądu, z którym światłe umysły wiodły wówczas uporczywą walkę, tego światopoglądu, który sankcjonował nierząd i marazm, służył upadkowi Rzeczypospolitej, stojącej już wówczas u skraju przepaści!

Spod blichtru wspaniałości wyłania się, wprawdzie jakby po kryjomu, ale widocznie.. rzeczywista społeczna historia ówczesnej Polski. Warto by odczytać skrupulatnie zebrane przez M Rożka okazjonalne inskrypcje i alegorie okiem historyka społeczeństwa Można w nich dojrzeć niemało. Na jednej z inskrypcji, uświetniających wjazd Michała Korybuta, zapisano wprost życzenie, aby „poprawiła się dola ludu, aby kwitnął pokój w państwie, sława królestwa, szacunek narodu". Jeżeli coś ma się poprawić, to znaczy, że uważa się, iż jest złe. A jeśli przypomina się o tym władcy przy okazji uroczystości, ze swej istoty poświęconej wynoszeniu go pod niebiosa, to znaczy, że owo złe jest czymś powszechnie odczuwanym. Nie namawiałbym oczywiście M. Rożka, aby w swej książce kusił się o daleko idące „socjologiczne" interpretacje wyrwanych fragmentów widniejących na bramach triumfalnych inskrypcji; nie tak się te rzeczy winno robić. Ale pragnąłbym, aby w badaniach — jakże interesujących — nad wszelakimi uroczystościami i świętami, urządzanymi w dawnej Rzeczypospolitej, nie dać się uwieść blichtrowi ich blasku i zastanowić się, po co był wówczas ów blask, co przesłaniał i w jakim celu. Boć z lektury książki M. Rożka zaprawdę wynika wniosek, że im gorzej było w Rzeczypospolitej tym bardziej wspaniałe były owe „aplauzy", fety i „maszkary", co nie wydaje mi się tylko kwestią stylu".

JACEK ROJEK

TRZY SUITY

I

Czytam twe słowa:
„Wśród żyjących jestem, chociaż w moim świecie
Gwiazda się spala w coraz dalszych kręgach
Mego dzieciństwa, odkąd pierwsze światło
Z obręczy bólu rodziło się z Jutrznią.

A Jutrznia moja też już coraz bledsza
I tonie w kręgach nieba bezpowrotnie,
Jak moje myśli i moje wzruszenia
Skryte na zawsze w korzeniach bzów czarnych.

Jeno wspominam rodzące się gwiazdy
Spłacane znowu w wiecznym kole życie —
Tych gwiazd ośmioro z mych obręczy bólu
A z których troje już zakryła Wieczność.

Wśród żyjących jestem, chociaż me królestwo
Po tamtej stronie Cienia i Światłości —
Bo tam mnie czeka Bóg mojego życia,
Który z popiołów i zwątpień powstaje.

II

Najgorsza chwila, to chwila tej kartki,
Którą odwracam — już odcięta mieczem
Ognistym czasu na zawsze w popiół
I w nicość się zmienia - -

Najgorsza chwila, to chwila przed nocą
Listopadową — nocą niemych rozmów
Z cieniami bliźnich wyrytymi we mnie
W przeddzień zespolenia - -
Piszę ci o tym, bo mnie osaczają
Godziny moje — ziemskie miarki czasu.
Co zaplatają różaniec lat długich
I apokalipsy.

III

A ja ponownie biorę ów węzełek
W dalszą swą podróż przez drogi kalekie
Po kres jasności, która mnie napotka
Na przyźbie domu bądź bruku pamiętnym.

Ponownie biorę cztery węzły świata,
W które związuję moje rękoczyny
Przeciwko ogniu, wodzie i zarazie,
Gdy mnie przydybią w czasie bądź przestrzeni.

I listy twoje, Matko, tu też wkładam —
Te żyzne pola, które przedeptałaś
A są to łany dojrzałe i pełne
W tym kołowrocie — długu i zapłaty.

A kiedy ciąży moja całodzienność —
Otwieram wieczność i z Twojego listu
Słów parę biorę, aby miecz ognisty
Nic nie spopielił z naszej obecności.

Szczawnica — listopad 1975

(Pierwsza nagroda w konkursie XI Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji)

CZESŁAW MIROSŁAW SZCZEPANIAK

ŻYĆ PO LUDZKU

Dzisiaj, to znaczy w styczniu, na początku nowiusieńkiego roku, powiedziałem do siebie: wreszcie zacznę żyć po ludzku, tak jak to mówi moja Matka.

Wrócę do wsi po ludzku, będę jadł po ludzku, w komórce zrobi mi ojciec mieszkanie. Postaram się o jakąś pracę chałupniczą w spółdzielni inwalidzkiej. Będę jadł kartofle z kluskami, polane mlekiem z pływającymi skwarkami.

Już miałem jechać na wieś. Spakowałem neseser i chlebak. Przeczytałem na odjezdne wiersz:

chciałbym wreszcie powrócić
zobaczyć porozwieszaną biel bielizny
porozrzucane pordzewiałe garnki
poczuć zapach gotujących się kartofli
oglądać ręce Matki
wsłuchać w ujadanie psa
ktoś się zdziwi po co wracać
nie potrafię siać orać
chcę co innego pokazać
kocham ziemię lasy
wszystko w stodołach oborach
na polach
nikomu zawdy nic nie zrobię
kradę ziemię i
rozsiewam
dopóki trwać będzie
wędrówka

Dzisiaj miałem opuścić to miasto, w którym nie widziałem Białego Ptaka. Jak powrócę na wieś, to zjem dużo rosołu z koguta, co wieczorem oddał przedostatni kur, albo wypiję ćwiartkę mleka „prosto od krowy" i będę nosił bielusieńkie wąsiska.

Ktoś może sobie pomyśli — przewróciło mi się w głowie od samego nowego roku, że z miasta na wieś i tak wrócisz, jak śpiewają żołnierze na przepustce, albo ci co dawniej na takich jak ja mówili „chamy", bądź „coś pan z Grójca". A właśnie, że jestem z grójeckiego. Mam w Kwitnącej Jabłoni komórkę w samym jej sercu, z dachem koloru jesiennej pestki. Mam taką komórkę, że dobra baba by to wszystko — i sad i komórkę z sadem — tyłkiem zasłoniła. Mówił mi o tym kiedyś kierownik szkoły w Pamiątce, już ze świętą pamięcią, pan Józef Chodecki. On mówił, że Watykan jest czasami zasłonięty przez dobrą babę, że wszystkie małe rzeczy na tej ziemi są najczęściej zasłonięte, cały czas w cieniu takich bab (o rety, jak mi przyjdzie żyć po ludzku w takim cieniu?). Może i zasłaniają świat takie kobiety, ale teraz, na zimę, nie warto jej podnosić spódnicę, bo mogą na jesieni jabłka być w plamkach, albo zwierzyna wiosną dostanie parcha. Z babami dupiastymi różnie to bywa. Modliłem się kiedyś, by żadna taka baba, albo jak mi wtedy matka mówiła, zmora nie zastukała w szyby naszych okien, by czasami nie przycisnęła do naszych szybek swego garbatego nosa.

Stałem tak sobie w pokoju i chciałem iść pożegnać się ze wszystkimi ze wsi, z miasta, z Kaczych Dołów, z Polskich Alkoholskich, z Kocopolskich i z tymi od orczyków. Słowem: ze wszystkimi którzy wyjechali ze wsi do miasta po nauki, a potem jak wracali do domów, to ich ludzie nie mogli poznać, tacy wracali oświeceni, nawet pies mało na nich ujadał.

Już prawie byłem w... komórce. Siedziałem po ludzku i strugałem w drewnie kozlikiem twarz, taką czerstwą twarz, obok tej twarzy był domek podobny do mojej komórki, i ten mój „drewniak" patrzył cały czas, nie pozwoliłem mu oka zmrużyć, na ten malutki domek schowany w miękiszu sadu. Gdzieś w górze był garbaty księżyc, wieczny kochanek gwiazd. Ta twarz była podobna do twarzy, jaką miał mój dziadek, to była twarz anielska. Dziadek mój ma teraz twarz z gliny, a moja jest drewniana. W takim razie trzeba wyrzeźbić korzenie i do gliny już blisko. Strugałem sobie po ludzku w komórce. Myślałem o brzozie, o korze naszych sadów, o psach, o rzeczach najlepszych, smacznych, baśniowych.

Miałem drzwi zatrzasnąć, zamknąć na klucz i wyjść. Zostawić na stole list z kilkoma zdaniami, krótko byle treściwie, jak w gazecie popołudniowej. Zbliżyłem się do szyb. I wtedy przypomniały mi się słowa: „chamski synu. zostań" — powiedział ktoś, ale nie mogę sobie w tej chwili uświadomić, kto i kiedy to powiedział. Popatrzyłem na szyby. Na oknach były pierwsze rzeźby zimy z kropelkami łez, podobnych do tych, które w mojej wsi widziałem w strumyku płynącym przez rów, oddzielającym pola naszej wsi od dworskich posiadłości.

Od dawna miałem ochotę wyjechać stąd. Nie patrzeć na szyby przyziębione, na bielusieńki śnieżek, co mrozi nogi i łapy ptakom, zdziera zelówki i Bóg wie co jeszcze wyrabia z naszymi nosami. To już mój ostatni miastowy dzień. „Teraz musisz na wsi zdać egzamin, pan miastowy". Dobre, co? Zdać tam egzamin, ale z czego? Znam kilka wzorów na różne pola figur, przeczytałem kilka naukowych książek i tym podobnych rzeczy zdążyłem u miastowych poznać, wyuczyć się jak pacierza i mieć dla siebie. Psy znam ze smyczy, zwierzęta z ZOO i to wszystko. Byłem kilka razy w teatrze, w kinie. A jak zapytają o maturę, to co powiem? A tu jeszcze kilka dni mi zostało, lepiej wytrzymać do końca i wtedy wsiąść w pociąg pośpieszny do Warszawy, siedzieć w II klasie i czytać gazetę, by się nie zanudzić, albo milczeć, a nigdy nie szukać przyjaciela w podróży, choćby chciał być dobry, że rana przestałaby boleć.

— A jedź — powie mi portier Kuligowski, nazywany przez nas Perełka. Pokiwa ręką, poklepie po moich olbrzymich barach i już jest okazja do wypicia. Chociaż nie wiadomo, czy ten kochaniutki Perełka tak bez łzy pożegnałby się ze mną. Na pewno powtórzyłby — szkoda.

Dyrektor popatrzył na mnie jak na półgłówka i zwróci jeszcze uwagę: „Szynu, gdzie ty w taką zamieć chcesz jechać? Masz zapłacone za bursę. Jeść dostaniesz, a że czasami popsocisz, to trudno, szynu". Z dyrektorem dałoby się jakoś sprawę załatwić, ubłagałbym go. Przyrzekłbym, że powrócę.

A co bym powiedział o swoim wyjeździe pani Kolary, mojej wychowawczyni. Że pojadę, nie wrócę na noc. Pani Kolary zna takich jak ja. Wie, że jestem z tej Kopany, mam w tej Kopanie komórkę, że będę w tej Kopanie żył po ludzku. Na taki wyjazd zgodzić się, to stracić to, co się w tym mieście przez trzy lata zdobyło, to jakby most, po którym się trzy lata chodziło zburzyć i stać, czekać na Bóg wie kogo. Popiszę w tej Kopanie trochę wierszyków i znów może do was powrócę. Tam zjem chleba ze smalcem i nie będę narzekał na życie. W niedzielę odwiedzę babcię Studniarkową. Zaniosę jej cukierki, pocałuję w ręce porośnięte skrzepniętymi żyłami, zielonymi tatuażami czasu, pocałuję w te ręce, bo to bliżej ziemi.

Z wychowawczynią jest najtrudniejsza sprawa. Już kilka razy powiedziałem do niej „mamusiu"... Zagubiłem się w tym życiu i zacząłem gubić swoją rodzinę. Wtedy do wychowawczyni powiedziałem jak do Matki. I od tego czasu śmiało przychodziłem do jej pokoju służbowego, bo jak się człowiek zwierzył, wygadał to swoje „ja", to mu się robiło na sercu lżej. Dostałem od niej kilka rad na przyszłość i ranki były prawie zagojone, a jeżeli nie zagojone, to była ta pewność, że bliźn nie widać. Wychowawczyni zawsze chętnie odpowiadała na pytania, bo zwykle ja pytałem ją o sprawy rodzinne, o męża, o córkę Grażynę, na którą mówiłem z sympatią — Pieszczocha. Mówię: „Wie pani co, kochana pani wychowawczyni, ja pojadę na zawsze do domu i będzie spokój". Przymrużyła powieki, leciutko pokiwała głową i powiedziała z dobrocią: „Wytrzymaj jeszcze te kilka dni". Tak mi radziła ta druga moja mamusia.

Przed trzema latami mieszkałem na stancji, na strychu, u jednej starszej pani, która mieszkała w tym samym osiedlu, w blokach, razem z córką i malutkim chłopczykiem. Strych był własnością córki, jej mąż odszedł, zresztą ja z nimi ledwo co wytrzymywałem w dzień, zwykle bowiem za dnia składali mi odwiedziny, wraz z tłumaczeniami, co wolno, a czego nie wolno — jak ten mąż miał wieczorem z nimi wytrzymać? Mieszkałem na strychu po cygańsku, czy jak kto woli współcześnie — po hippiesowsku, faktycznie wtedy nosiłem długie włosy spadające na plecy i publikowałem czasami w różnych tygodnikach wiersze, obrywało mi się za te wiersze, och! obrywało się. Ale drukowali je, a nawet raz w radio Marek Wawrzkiewicz przyjął do audycji literackiej, powiedział jeszcze po męsku: część nadaje się do radia, a część..., resztę sobie sam dopowiedziałem. Mieszkałem wśród starych kobiet, chorujących mężczyzn, wiecznie głodnych psów i kotów miauczących obok cmentarza. Namalowałem wówczas na bielusieńkiej kartce formatu A-4 kontury własnego domu, napisałem list do matki, do tej pory nie wysłany, i wtedy poczułem coś w sobie, jak się potem okazało — rosła we mnie tęsknota. Po kilku dniach stancja mi obrzydła, brudne ściany, wiecznie zimna woda, wiadro na tę wodę. Chodziłem obrzydzony tym życiem. Czasami ktoś mnie zaczepił i spytał: „Która może być godzina? Bolą pana nogi, ale chyba niedługo przestanie pan chodzić o kulach?". Pożyczył mi taki „przypadkowy" zdrowia na drogę, wziąłem jego zdrowaśki, jak monetę bierze ksiądz za pacierz, za życie, za śmierć, za urodziny.

Po czterech latach mojego cygańskiego życia, gospodyni wymówiła mi stancję, bo 400 złotych za ten strych — a tyle jej płaciłem — to było za mało. Poszedłem szukać nowej stancji, którą poleciła mi pewna młoda dziewczyna, która wie, co i gdzie można załatwić, zwykle takie panie mogą w sprawie chat coś powiedzieć. Nowa stancja mieściła się też u starej kobiety. Był to również odrapany budynek, obok rosły na wpół spróchniałe drzewa, miałem uwić w tym podrapańcu swoje nowe gniazdo. To było jesienią, ptaki zbierały się w klucze do lotu, mnie klucze od stancji zabierano. W „nowej" miałem mieszkać za 350 złotych miesięcznie.

Gospodynię zastałem przy piciu jabola. Poczęstowała mnie sałatką z pomidorów, kanapką z wędliną i zgodziła się, że mogę u niej mieszkać do jesieni następnego roku, bo jesienią to, wie pan, rozbiorą mi ten budynek — powiedziała gwoli ścisłości. I wtedy zaczęli przenosić meble, pospolite graty. Pani domu kilka razy powiedziała: „kochany, kochana, będzie dobrze". Wierzyłem w jej słowa, a nawet podobały mi się one. Samo mieszkanie to była ruina. Ściany świeciły szarymi ranami, piec rozwalony, z tapczana wychodziły sprężyny, ze ścian — elektryczne kable. „Kochany, będziesz miał mieszkanko, że talala, tylko musisz szanować je. Dawniej też tu mieszkał profesor, czy jakiś tam student, to od niego dziewczyny oknami aż wychodziły, a drzwiami wchodziły". Okna tutaj nie myto dość długo, szyby zasłonięte były pożółkłymi gazetami, przepalonymi słońcem. Na parapecie leżały martwe muchy. Nagie gałęzie łaskotały o szyby.

Kobieta na moment wyszła, ponieważ zabolał ją brzuch. Zostaliśmy sami z tym mężczyzną, z którym piła wino, i on powiedział: „Ja panu pomogę, wymaluję mieszkanie i będzie cycuś. Tylko wszystko trzeba robić po malu, no, wie pan".

Wieczorem poszedłem na spacer po mieście. W pewnym momencie ktoś dotknął moich pleców, było to przy kinie „Lutnia".

— Może pójdziesz ze mną do kina? — był to ten sam facet, który obiecał pomalować pokój. Był dość gustownie ubrany, w muszce, w białej koszuli, szarym garniturze.

— Nie — odpowiedziałem.

— Mam dwa bilety, leci dobry film.

— Nie lubię kina, a zresztą na filmy rzadko chodzę.

— No, śmiało, niech się pan wreszcie zdecyduje i... pójdziemy — nalegał.

Zaproponowałem mu byśmy weszli do bramy, propozycję moją przyjął z aprobatą, staliśmy naprzeciwko siebie, powiedziałem do niego po męsku: mówię ci, spierdalaj!

Na drugi dzień odebrałem swoje 350 złotych i z powrotem wróciłem na stancję, którą miałem za kilka dni opuścić. Nie wiedziałem, co w tych ostatnich dniach mam robić, gdzie mam się schować, a przecież jeszcze na dodatek uczyłem się w liceum. Poszedłem do Prezesa i On przyniósł w moim życiu wiosnę. Opowiedziałem mu o wszystkim, wysłuchał mnie jak syna, głowę opuściłem w dół. „Coś może mi się uda załatwić", powiedział, a moje serce aż mocniej zabiło. Jak się potem okazało, obietnica Prezesa spełniła się, dzięki niemu dostałem miejsce w bursie. Z tej radości pojechałem do domu, aby pochwalić się Matce, że w tym mieście można jeszcze spotkać człowieka, że mam porządne lokum, wikt i opierunek. Matka powiedziała mi: „Masz swoje gniazdo, teraz tylko pilnuj, synu".

Dzisiaj to gniazdo chcę na zawsze opuścić. Wyjechać z bursy, do której przed trzema latami przyjmował mnie dyrektor. Popatrzył wtedy na mnie, na taką lichotę, zapalił przy mnie chyba ze dwa papierosy. I wtedy zacząłem się go bać. Dusza moja trzęsła się pod jego spojrzeniem. Miał ci ten dyrektor ze mną istne urwanie głowy; kilka razy kazał, bym spakował swoje rzeczy i wyjechał stąd. Wpadałem u niego zawsze tak niefortunnie: na paleniu, piciu brunowskiego piwka, a raz to zastał w moim pokoju taki bajzel, że lepiej w sadzie w wietrze nie wyglądają drzewa. Spakowałem, któryś z kolei raz, swoje rzeczy i zrezygnowany wychodzę z bursy. Chcę zamknąć drzwi i nagle słyszę za moimi plecami: „Szczepaniak, wróć". Serce mocniej mi zabiło. Wracam. W drzwiach do pokoju numer trzy stoi dyrektor, pali papierosa, patrzy na mnie. „Nawet się ze mną nie chcesz pożegnać" — mówi ze stoickim spokojem. Milczałem. „Powinieneś się pożegnać, a potem dopiero jechać do domu. Idź do sali, szynu", powiedział dyrektor i od razu zrobiło się lżej, bezpieczniej.

Jedź i nie wracaj — kpiłem z siebie, bo łatwiej śmiać się z siebie niż z kogoś — a jak zobaczysz, że i tam nie ma dla ciebie miejsca, to idź do pracy jako stróż, podobno dobrze płacą i mało jest w nocy roboty, a czasami w takie noce najdą ciebie takie wiersze jak wilki do gardła. Pisz. Dawna moja gospodyni ze strychu mówiła, że ona ma szczęśliwą rękę do ludzi, „jak pan będzie stąd wyjeżdżał, to dobrze będzie się panu powodziło". Jej wtedy nie mówiłem o tym suchym chlebie, o wodnistych zupkach, o tęsknocie do domu, o życiu. Jej tylko imponowałem w dniu, w którym brała z moich skibek dłoni pieniądze za ten strych. Zdrowia dla pani, za to strychowe życie, za ten tak upragniony kącik, zimny, za to, że nie widzę pani. Niech zdrowa będzie pani aż po śmierć, po widnokres.

Tak naprawdę, to tu mnie nie było źle, bo źle mnie nie było nigdzie: na stancji, w szpitalnej sali, w żłobie stodolanym, czy w mięciutkim łóżeczku wśród śnieżnej pościeli i poranka. Ale mnie coś dzisiaj na sercu stanęło i skierowało do podróży, ku tej ukochanej Kwitnącej Jabłoni. Powiedziałem przed 19 latami, że do Niej wrócę, jak tylko wyzdrowieję. I wróciłem tylko dla Niej, bo człowiek musi mieć takie miejsce na ziemi, gdzie ma swój dom, komórkę, sad, psa i nadziei w garści tych dwóch rąk na cały rok; a wiele razy jest zawieszony między tym obłokiem, co płynie przez niego, a ziemią, bo całe życie szuka się prawdy i ciągle się zdąża do człowieka.

Fragment większej całości pt. „Piąta pora roku".

TRADYCJE

FAJKA

Legenda mówi, że w Zielone Święta nad Wodnym Rynkiem w Łodzi ukazała się na niebie ogromnych rozmiarów fajka. Może chodziło o jakiś niezwykły obłok, a może po prostu o uzasadnienie uroczystości, która z nastaniem wiosny wciągała całe miasto w korowód zabaw i igrzysk, szaleństw i spontanicznej radości. Plebejskie święto „fajki", które pamiętają dziś tylko najstarsi, rodem z Łodzi miasta, ukazywało inną, już mniej zmęczoną twarz wielkiego ośrodka przemysłowego: był to prawdziwy festyn artystyczny, przegląd pomysłowości i inicjatywy. Cóż z tego, że była to sztuka przywieziona wprost z jarmarku, skoro potrafiła wzruszać i rozśmieszać do łez tysiące ludzi, skoro pasjonowała się nią ulica, a i salony musiały ulegać porywającej żywiołowości plebejskiego widowiska. Ta radość ulicy łatwo się przecież mogła przemienić w gniew. W 1905 roku podczas gorących dni czerwcowego powstania gniew ulicy przybrał rozmiary rewolucji.

Święto „fajki" pamiętają już tylko najstarsi łodzianie, ale jest to pamięć żywa o czym świadczą wspomnienia nadesłane na konkurs folkloru robotniczego. Uzupełniają one przekazy dziennikarskie z tamtych czasów, choćby relację Stefana Gorskiego, który pisał w roku 1904:

„Wodny Rynek przypomina w dniu tym Prater wiedeński, ale rozmaitością zabaw bodaj czy go nie przewyższa. Pomysłowość ludzka sili się na pozyskanie żądnych wrażeń widzów, ale widzów chcących płacić..."

Czegóż tam nie było. Już na dobry tydzień przed uroczystością ściągały do Łodzi budy jarmarczne, wozy cyrkowe, wesołe miasteczka. W pobliżu parku źródliska zwanego potocznie Kwelą wyrastało osiedle namiotów i straganów. Program atrakcji do ostatniej chwili utrzymywany był w tajemnicy, ale za to kiedy już ta chwila nastąpiła... Orkiestry podwórkowe i kataryniarze, siłacze i woltyżerki, tresowane małpki i prestidigatorzy ogłaszali miastu rozpoczęcie „fajki". Emocji nie brakowało, choćby ze względu na „jazdę w powietrzu". Był to rodzaj prymitywnej kolejki linowej. Albo wspomnijmy wspinaczkę po słupie dziesięciometrowej wysokości: kto wdrapał się na górę, otrzymywał nagrodę. Im bliżej wierzchołka, tym zadanie było trudniejsze, bo słup był idealnie gładki, a w razie porażki trzeba było jeszcze płacić karę. Komu się nie udało, mógł się pocieszyć przy „kole szczęścia" i wygrać fajansowy posążek, mógł wreszcie spróbować swych umiejętności strzeleckich albo przejechać się na karuzeli.

Potem przychodził moment najważniejszy: dekoracja „króla kurkowego". Zostawał nim mistrz towarzystwa strzeleckiego, który przy tarczy udowodnił swoją przewagę nad rywalami. Dekoracji towarzyszył podziw zgromadzonych tłumów.

Rekonstruować „fajkę"? Kiedy przed paroma laty Antoni Szram rzucił ten pomysł, wielu wydawało się to utopią. Jeszcze inni dostrzegali w „fajce" tylko elementy prymitywnej zabawy. A przecież było to lokalne święto, które indywidualizowało Łódź na tle innych miast Polski. Czy można sobie wyobrazić Rio de Janeiro bez szaleństw karnawału? A czy można sobie wyobrazić Łódź bez „fajki"?

Dzisiejsza „fajka" to po prostu festyn ludowy w najszerszym znaczeniu tego słowa. I takie założenie przyświecało organizatorom z Muzeum Historii Miasta, kiedy układali scenariusz zabawy. Nie mogło więc zabraknąć tradycyjnego „słupa", „pchlego targu", popisu akrobatów. Nie mogło zabraknąć podwórzowych kapel, które przeżywają prawdziwy renesans, jak tego dowiódł niedawny konkurs folklorystyczny. Ale była to rekonstrukcja uszlachetniona elementami sztuki już nie tylko jarmarcznej, jakby dla podkreślenia cezury czasu dzielącego dawne „fajki" od dzisiejszej, dopiero co powołanej na nowo do istnienia.

Organizatorzy nie zawiedli, chociaż zawiodła pogoda i na dziedzińcu pałacu przy ulicy Ogrodowej zjawili się najwytrwalsi tylko widzowie, których nie odstraszył chłód i porywisty wiatr. Ale ci, co uczestniczyli w „fajce", nie żałowali na pewno swojej decyzji. Już teraz warto pomyśleć o powtórzeniu festynu w roku przyszłym i to na Wodnym Rynku, gdzie tradycyjnie odbywały się majówki robotnicze. Sceneria Księżego Młyna wydaje się bardziej odpowiednia do żywiołowej zabawy plebejskiej niż ogród pałacowy odizolowany od gwaru ulicy. Chodzi także o to, aby dochowując wierności dawnym obyczajom, nasycić „fajkę" elementami współczesnej kultury robotniczej przekształcając ją stopniowo w festiwal kulturalny. Jest to zadanie ambitne, ale jak ukazała nam pierwsza próba zrekonstruowania „fajki" możliwe chyba do wykonania.

JERZY DARNAL

FOTO: WŁODZIMIERZ PARYS

FESTIWAL

ROMANTYZM czyli RENESANS

Najpierw były trwające blisko tydzień i niemal nie zauważone przez prasę Dni Łódzkiej Poezji, podczas których pisarze naszego ośrodka przypomnieli się swoim czytelnikom z województwa miejskiego na spotkaniach autorskich. Taka bezpośrednia rozmowa stanowi zawsze pożyteczne doświadczenie dla obu stron, a tym razem miała spełnić rolę dodatkową: zwiastuna Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji, który tradycyjnie gromadzi w Łodzi przedstawicieli wszystkich ośrodków literackich naszego kraju: poetów, krytyków, humanistów. Ich spory podyktowane troską o stan poezji i funkcję krytyki stanowią ważny nurt współczesnego ruchu intelektualnego, a przy okazji następuje konfrontacja postaw i zjawisk artystycznych, ujawnia się to, co w naszej poezji ostatnich sezonów najnowsze i najciekawsze.

Tak było od lat, bo Ogólnopolski Festiwal Poezji, chociaż stanowi dziś jedno z wydarzeń Łódzkiej Wiosny Artystycznej jest starszy od niej, o czym świadczy choćby kolejny jego numer porządkowy. Narodził się on wówczas, gdy tradycyjnie prężne środowisko poetyckie naszego miasta, mogło sobie pozwolić na konfrontację z innymi ośrodkami, nie po to przecież aby dokumentować swoje dobre samopoczucie, ale dla posiania twórczego niepokoju, intelektualnego fermentu. Bo chociaż wiersze nie rodzą się na festiwalach, to przecież myśl o poezji ma wpływ na praktykę poetycką, jak tego nie raz dowiodła historia literatury.

I oto w łódzkiej gazecie czytam znamienne wyznanie:

„...co może dać poetom i krytykom kazanie albo referat p. XYZ, jak to nieraz było? Jest to młócenie sieczki. Szkoda pieniędzy, szkoda czasu, szkoda zachodu. Nie mamy sobie nic do powiedzenia."

Przecieram oczy ze zdumienia, ale nic się nie zmieniło. Te słowa naczelnego „Poezji" Bohdana Drozdowskiego zostały ogłoszone drukiem w przededniu Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi, jedenastego już z kolei, i zadedykowane jego uczestnikom: poetom, krytykom, humanistom i sympatykom poezji. Taktowne to nie jest, ale może uzasadnione? Może rzeczywiście nie mamy sobie nic do powiedzenia i tylko Bohdan Drozdowski wie, jak wyprowadzić z impasu festiwale, a przy okazji poezję. Przecież w redagowanym przez siebie miesięczniku napisał niedawno: „Współistnienie kilku pokoleń ułatwia zrozumienie wielu spraw z przeszłości i przyszłości; pozwala na spokojny osąd tego, co jest. Istnieć, to wyrażać stosunek do istnienia. Zdumiewające to odradzanie się idei i fascynacji w coraz nowych pokoleniach. Nie ma większych odkryć jak odkrycia powtórne."

Święte słowa. Ale jakże sprzeczne z poglądem, który z okazji festiwalu łódzkiego wyraził dziennikarzowi „Głosu Robotniczego". A może po prostu nie dość uważnie przeczytał zaproszenie? Przecież łódzki festiwal miał na celu powtórne odkrycie nurtu romantycznego w polskiej poezji, powtórne jego odczytanie. Czy na ten temat naprawdę nie mamy sobie nic do powiedzenia?

Ale oto dzień 4 czerwca, sala empirowa Muzeum Historii Miasta, rozpoczynają się festiwalowe obrady. Nie trzeba było specjalnej spostrzegawczości, aby dostrzec, że na tej sali spotkali się przedstawiciele kilku pokoleń literackich. Czy po to tylko, aby młócić sieczkę, na co rzeczywiście szkoda czasu i zachodu?

Już zaprezentowanie wierszy nagrodzonych przez jury pod przewodnictwem Jana Huszczy uprzytomniło nam, że mamy do czynienia z prawdziwym renesansem festiwalu. Wśród debiutanckich tomików wierszy pretendujących do wydania (konkurs podstawowy) pojawiło się parę świadczących o tym, że w poezji nie ma zastoju. Jury mogło nagrodzić tylko jeden i kiedy posłuchaliśmy kilku utworów z tej nie opublikowanej jeszcze książki zrozumieliśmy, że pojawił się talent autentyczny, świeży, zapatrzony nie tylko w wynalazki formalne sztuki poetyckiej ostatnich sezonów. Mirosław Boruszewski z Dzierżoniowa, rocznik 1912 bo o nim tutaj mowa, jest z zawodu inżynierem, pracuje jako główny mechanik w zakładzie przemysłowym. Może dlatego właśnie jego poezja składająca się na tomik „Krew i czekolada" zasłuchana jest w nieretuszowany rytm życia, wyczulona na piękno i tragizm ludzkiego wysiłku, a bohaterem tych wierszy jest człowiek pracy, prawdziwy więc, a nie tylko literacki, bohater epoki.

W tym miejscu warto znów wrócić do apodyktycznej wypowiedzi Bohdana Drozdowskiego dla czytelników „Głosu":

„Odczuwam brak dobrej poezji. Nie mówię już „wielkiej", ponieważ tę produkują... krytycy. Przez rok nic się nie zmieniło. Pisze się sporo wierszy sporo „na poziomie druku", ale nie ma wierszy, o których warto mówić. Nie ma wierszy, o których się mówi."

Sekunduje mu przeprowadzający wywiad dziennikarz:

„...wśród nowych utworów pióra młodszej generacji pojawia się wiele utworów zgrabnych, świadczących o dużej sprawności warsztatowej i kulturze literackiej, którym nie można by nic zarzucić... oprócz tego, że mało mówią o ważnych ludzkich sprawach."

Skąd ta pewność nie poparta ani jednym dowodem? Zwłaszcza, że Drozdowski nie znając werdyktu jury (w tym roku w sądzie konkursowym zasiadali sami łodzianie) przemilczał mimo woli pewien pikantny szczegół: wiersze Boruszewskiego były znane redaktorom „Poezji", która z nich nie skorzystała. I słusznie, bo wtedy można sobie ponarzekać, że nie ma utworów, o których warto mówić. Na tej samej zasadzie można stwierdzić, że „kazanie" Iksa czy Igreka to sieczka nie warta zachodu.

Oto na mównicę wychodzi profesor Maria Janion i wygłasza referat „Romantyczne mity i legendy". I już po pierwszych słowach jakie padły z trybuny rozumiemy nagle, że chodzi o sprawy ważne, że będziemy się spierać, wymieniać poglądy, rozmawiać ze sobą. Występują kolejni dyskutanci: Mirosław Ochocki, Jerzy Poradecki, Ziemowit Skibiński, Sławomir Świontek, Konrad Tatarowski, Henryk Wolniak, Henryk Pustkowski. Mówi się i o wywiedzionej z tradycji romantycznej intuicyjnej wiedzy o naturze języka, i o romantyźmie jako stanie świadomości i wreszcie o tym, czy współcześnie potrafimy korzystać z jego dziedzictwa. Nie sposób zresztą oddać choćby w przybliżeniu tej wysokiej temperatury dyskusji, bo strzeszczenie ogromnie by ją uprościło. Dość stwierdzić, że namiętności utrzymały się podczas kolejnego dnia obrad w wojewódzkim Piotrkowie. Impulsem do nich były referaty kolejne — Bogdana Ostromęckiego „Z romantyzmu czy z mgły romantyczności" oraz Wiesława Pawła Szymańskiego „Polski alfabet romantyczny". I znów żywiołowa dyskusja. Zabierają głos: Krzysztof Gąsiorowski, Apoloniusz Zawilski, Tadeusz Chróścielewski. Przewodniczący obradom Jerzy Wawrzak musi podjąć męską decyzję: czy rezygnujemy z obiadu kontynuując obrady czy też... Gościnni gospodarze nalegają, aby jednak nie rezygnować z posiłku.

Tak więc kolejny Ogólnopolski Festiwal Poezji udowodnił, że jest o czym i że można dyskutować. Pewnie, że niczego nie przesądził ani nie rozstrzygnął raz na zawsze, ale ten bagaż refleksji, którym w referatach i dyskusji obdarowano uczestników przyczynił się do pogłębionego rozumienia roli tradycji literackiej, miejsca poezji w historii i w życiu społecznym, uprzytomnił nam proces ciągłości kultury. Spełnił więc nie tylko swoją rolę wychowawczą (jest on przecież okazją do spopularyzowania poezji w szerszych kręgach odbiorców, czemu służą organizowane spotkania autorskie), ale także głęboko poznawczą.

A trzeba pamiętać, że to tylko jedna, merytoryczna strona zagadnienia. Równie ważna, zwłaszcza dla poetów młodych, stawiających dopiero pierwsze kroki, jest towarzyska otoczka Festiwalu, możliwość nawiązania koleżeńskich kontaktów z uznanymi pisarzami, zawarte przyjaźnie. To również owocuje i nie powinno być lekceważone. Przypominam sobie z jaką wiarą i entuzjazmem jeździłem na organizowane blisko dwadzieścia lat temu poznańskie Festiwale Młodej Poezji Polskiej. I coś z tego dawnego entuzjazmu dostrzegłem w reakcjach uczestników tegorocznego festiwalu łódzkiego. Może dlatego, że na sali widziało się twarze nowe, nieznane, że dla wielu zaproszonych gości Festiwal był osobistym przeżyciem, ważnym doświadczeniem literackim?

W jedenastym roku swego istnienia Ogólnopolski Festiwal Poezji w Łodzi zrywając z rutyną i sztampą przeżywa swój prawdziwy renesans. Czyżby sprawiło to hasło wywoławcze: ROMANTYZM DZISIAJ? Na romantykach nigdy nie zbywało w naszym kraju. Dobrze, żeśmy to sobie uprzytomnili.

PS. Z obowiązku sprawozdawczego podajmy jeszcze, że w ramach Festiwalu odbył się tradycyjny Turniej Jednego Wiersza, rozstrzygnięto także konkurs na nie publikowany wiersz lub prozę poetycką. W drugim dniu obrad uczestnicy Festiwalu zwiedzali Zagłębie Bełchatowskie, wzięli także udział w imprezach Wojewódzkich Dni Folkloru w Opocznie. Organizatorom Festiwalu: Wydziałowi Kultury i Sztuki Urzędu M. Łodzi i Urzędowi Wojewódzkiemu w Piotrkowie oraz Zarządowi Łódzkiego Oddziału ZLP należą się słowa uznania.

ZABAWA, KTÓRA JEST POŻEGNANIEM

Podejrzewam, że dla wielu widzów film Sidneya Lumeta „Morderstwo w Orient-Expressie" może się okazać nudną ramotą, mimo iż nie kto inny, jak sama Agata Christie firmuje swym nazwiskiem tekst oryginału, a reżyser filmu, w mym przekonaniu, w sposób nieomal doskonały zrekonstruował styl i atmosferę książek wielkiej mistrzyni detektywistycznej powieści. No cóż, zmieniają się czasy i obyczaje — młody czytelnik, a zwłaszcza młody widz przyzwyczajony jest do innej konwencji opowieści kryminalnej, konwencji obejmujących konstrukcję samej intrygi, typy bohaterów oraz styl ich prezentacji. Czarna literatura i film kryminalny, który w znamienny sposób nazwano ostatnio nie detektywistycznym a policyjnym, każą myśleć o książkach pani Agaty Christie jako o klasyce tego gatunku powieściowego.

Tak też realizację filmu „Morderstwo w Orient-Expressie" potraktował Sidney Lumet, reżyser znakomity, autor głośnego ongi filmu „Dwunastu gniewnych ludzi". Anegdotycznie rzecz traktując, można by sądzić, że właśnie liczba 12, której tajemniczy szyfr odkrywa w finale opowieści Hercule Poirot, skłoniła Lumeta do tej zabawy w klasykę, tym razem również w klasykę filmu kryminalnego.

Ironiczne przedstawienie dwunastu sprawiedliwych z Orient-Expressu pozwala wziąć w cudzysłów moralny wydźwięk powieści pani Christie, powieści, która jest przykładem klasycznej literatury kryminalnej, tej, której zwykliśmy przypisywać właśnie moralne posłanie, jako że zawsze zwyciężała w niej sprawiedliwość, a zło bywało w niej pognębiane, czego nie można już powiedzieć o współczesnej literaturze i dzisiejszym filmie kryminalnym.

Film „Morderstwo w Orient-Expressie", zrealizowany w niezwykle dziś modnej konwencji retro, wszedł na nasze ekrany w znakomitym momencie. Zwłaszcza dla czytelników „Literatury" którzy przed tygodniem zakończyli lekturę drukowanej tam powieści Agaty Christie „Kurtyna", czyli ostatnia sprawa Poirota". Powieść tę Christie napisała jeszcze przed wojną, lecz czytelnicy poznali ją dopiero niedawno. Chodzi tu oczywiście nie tylko o polskich czytelników. W powieści tej, jak już dziś wiadomo, pani Agata uśmiercila swego bohatera Hercule'a Poirot, czyniąc go na dodatek mordercą. Gdyby Christie przed trzydziestu paru laty zdecydowała się na wydanie „Kurtyny", miliony czytelników nie znałyby jej następnych książek. Aż strach o tym myśleć. Sądzę jednak, że publikując w roku swej śmierci nie ostatnią, a jednak ostatnią swą powieść, pani Agata Christie spłatała swym czytelnikom figla, którego można było zresztą po niej oczekiwać. Hercule Poirot, wielki tropiciel zbrodni, sam ją popełnił, bo okazał się już w swym geniuszu bezradny, nie był w stanie jej przeciwdziałać. Trafił na przestępcę doskonałego, mógł go zwalczyć tylko jego własną bronią.

Z faktów tych jeden wniosek wyciągnąć można — pani Christie kilkadziesiąt lat temu przewidziała, że stworzony przez nią i kilku innych kolegów po piórze, szlachetny bohater — detektyw musi odejść z kart powieści i z ekranów kina. Nie ma dla niego już miejsca we współczesnym świecie. Muszą go zastąpić inni, tacy jak Marlow z powieści Chandlera czy tacy, jakimi są bohaterowie „Bullitta" czy „Policjantów". Toteż w „Kurtynie" i w „Morderstwie w Orient-Expressie" żegnamy Hercule'a Poirot, traktując oba te dziełka jako podzwonne dla bohatera, który wśród nas już żyć nie może, nawet wśród fikcji dla naszej uciechy stworzonej.

„Morderstwo w Orient-Expressie" Lumeta nie jest zatem dla mnie ramotką, jest filmem — pożegnaniem pewnej epoki i literatury, i kina, filmem, zrealizowanym że znakomitą znajomością obowiązującej w niej konwencji. Jest też filmem, w którym żonglowanie tą konwencją jest zabawą i grą, w jaką widz jest wciągnięty. Jeśli reguły tej gry rozpozna, seans spędzony w kinie nie będzie dlań stracony. A poza tym, cóż za uciecha dla miłośników kina spotkać w jednym filmie kilkunastu wspaniałym aktorów, którzy sami są już legendą kina. Kogóż tam nie ma? Ingrid Bergman, Lauren Baccall, Vanessa Redgrave, John Gielgud — wielki szkspirowski aktor, Jean Pierre Cassel, Richard Widmark, Michael York i inni, a wśród nich szalejący Hercule Poirot czyli Albert Finney, którego nikt z widzów by nie rozpoznał, gdyby nie czołówka filmu. Finney stworzył postać wspaniałą, choć być może wielu czytelników powieści pani Christie nieco inaczej wyobrażała sobie legendarnego Hercule'a Poirot. Wspaniali ci aktorzy, poza Finneyem, grają właściwie role epizodyczne. Jakie to jednak epizody! Często taki gremialny udział wielkich gwiazd jest dla filmu jego klęską. Tu jednak udział ten widzę jako współuczestnictwo w wielkiej zabawie, zabawie, która, o czym była wyżej mowa, jest jednocześnie pożegnaniem ze światem, który wraz ze śmiercią Agaty Christie i zdobyciem ekranów filmowych przez innych bohaterów, już odszedł.

EWA NURCZYŃSKA

MACIEJ ŁUKOWSKI

KOMU POTRZEBNE SĄ FESTIWALE

I.

Każda niemal gazeta zamieszcza recenzje filmowe. Jedne czynią to bardziej, inne — mniej systematycznie. Dla jednych jest to tylko prasowy obowiązek rejestrowania wydarzeń, dla innych bardzo konsekwentny, prowadzony zazwyczaj przez tego samego dziennikarza, cykl ocen, opinii, które są dla czytelnika pewnym drogowskazem w wyborze filmowego repertuaru. Tak dzieje się zazwyczaj w stosunku do filmów fabularnych, natomiast owe zasady nie mają nic wspólnego z zainteresowaniem prasy filmami krótkometrażowymi.

Zainteresowanie prasy filmem krótkometrażowym jest stosunkowo małe. Przeprowadzono analizę zainteresowania się prasy filmem oświatowym w 1975 roku. Jak wykazała owa analiza, w tymże roku ukazało się na temat filmu oświatowego 238 artykułów i informacji opublikowanych na łamach 58 dzienników i tygodników polskich.

Wśród tygodników najbardziej konsekwentnie zajmuje się filmem oświatowym „Film", a wśród pism niespecjalistycznych — „Odgłosy", które są jedynym pismem w kraju, stosunkowo systematycznie zajmującym się filmami oświatowymi. Wśród gazet codziennych to zainteresowanie najbardziej ujawnia się na łamach „Trybuny Ludu" i „Głosu Robotniczego".

Zainteresowanie to nie ma jednak wiele wspólnego z popularną recenzją filmową. Ważniejszy w tych zapisach jest temat filmu niż jego artystyczna forma. Jedynie z okazji przeglądów i festiwali filmowych ukazują się recenzje zajmujące się stroną artystyczną. Są to jednak z konieczności recenzje pośpieszne, zazwyczaj zbiorcze, obejmujące większą liczbę tytułów. Owo zainteresowanie, lepsze czy gorsze, ma niewątpliwy związek z osobą piszącego. Analiza udowodniła, że tam, gdzie występował stały autor, konsekwentnie interesujący się krótkim metrażem, — B. Drozdowski w „Filmie", Paweł Jędrzejewski w „Odgłosach" czy Małgorzata Karbowiak w „Głosie Robotniczym" — to owe artykuły mają charakter bardziej dogłębny, bardziej filmowy i bardziej fachowy.

Najbardziej odpowiednia dla filmu forma recenzji, chociaż nie w kształcie optymalnym, występuje prawie wyłącznie w związku z odbywającymi się festiwalami czy przeglądami. Trzeba do tego dodać, że prawie 60 procent wszystkich artykułów i informacji ukazało się z okazji tych właśnie imprez filmowych. Mamy ich w Polsce kilka: Festiwal Filmów Krótkometrażowych w Krakowie, Przegląd Filmów o Sztuce w Zakopanem, Przegląd Filmów Społeczno-Politycznych w Łodzi, Muzealny Przegląd Filmów w Kielcach, Festiwal Filmów Dydaktycznych w Łodzi, Przegląd Filmów Morskich w Szczecinie, Festiwal Filmów Naukowo-Technicznych w Katowicach i jeszcze kilka innych.

Właśnie w trakcie tych imprez prasa ożywia się, zjeżdża do kinowych sal, aby w już ułatwiony, tematycznie posegregowany sposób obejrzeć aktualną produkcję filmów krótkich. Na każdym z tych przeglądów pojawia się duża liczba tytułów, selekcja tematyczna warunkuje także obecność określonych specjalistów — dziennikarzy.

II.

Zastanówmy się jednak przez chwilę, co to jest festiwal filmowy? Forma ta ma za sobą niejedną dyskusję prasową, w której z jednej strony podważano zasadność ich organizacji, a z drugiej wołano o zwiększenie ich ilości. Sądzę, że ten drugi wniosek jest słuszniejszy, chociaż jak w każdej tego rodzaju działalności umiar jest wskazany. Festiwal czy przegląd filmów krótkometrażowych to impreza z pewnością atrakcyjna i niejeden ośrodek z zacięciem walczy o prawo jej organizacji. Różne kryją się za tym dążenia, chęci i możliwości. A przecież festiwale filmowe powinny spełniać przede wszystkim dwie zasadnicze funkcje.

Pierwsza — powinny być miejscem konfrontacji artystycznych twórców, którzy w uczciwej, prawie sportowej walce stają do konkursu o palmę pierwszeństwa i w tej walce zwycięża najlepszy. Jednocześnie jest to konfrontacja zrealizowanego dzieła z widownią. I to z różną widownią: tą specjalistyczną, która patrzy na film od strony artystycznej i warsztatowej i tej, która patrzy na film jak na określony temat. I wreszcie konfrontacja z tą widownią neutralną, która patrzy na film krótkometrażowy jak na konkretne dokonanie artystyczne, które oddziałuje lub nie — na nich, zwykłych ludzi, którzy po prostu czują sztukę. To wszystko mieści się w kształcie tej pierwszej i podstawowej funkcji.

Druga — to w ramach obranej przez określony festiwal specjalności, pokazanie stanu polskiej filmoteki jako pomocy edukacyjnej, jakim niewątpliwie jest film.

Festiwale winny być konfrontacją dokonań artystycznych. Jest to podstawowe prawo ich egzystencji. Będą wtedy zgodnie ze swym założeniem inspiracją dla twórców, a ich specjalistyczny charakter ukierunkuje owe artystyczne dokonania.

Festiwale filmów krótkometrażowych są potrzebne twórcom jako forum artystycznej konfrontacji i miejscem równie twórczych inspiracji. Oczywiście ich funkcje przestają być realizowane, gdy przy ocenie artystycznej decyduje wyłącznie temat, albo gdy ocena specjalistów od zagadnienia merytorycznego (tematu) dominuje nad oceną krytyka-filmowca.

III.

Informacja o produkcji filmów krótkometrażowych nie wygląda u nas najlepiej, nie mamy także ich zbyt wiele na ekranach. Dlatego też przeglądy i festiwale, a szczególnie imprezy towarzyszące są znakomitą okazją do pokazania różnym środowiskom dorobku filmu krótkometrażowego. Z pełną satysfakcją obserwuje się, jak wypełniają się licznie sale kinowe w małych miasteczkach na pokazach filmów krótkometrażowych. Autentyczność odbioru, zainteresowanie publiczności jest tam niejednokrotnie większe niż w wielkich aglomeracjach. Ale oczywiście i obecność fachowców, którzy przyjeżdżają raz do roku na swój specjalistyczny przegląd jest sprawą chyba do końca nie docenioną. Czy muzealnicy nie mając swojego festiwalu kieleckiego tak obficie korzystaliby z filmów? Czy działacze polityczni nie mając przeglądu łódzkiego, byliby tak dobrze w tego rodzaju twórczości zorientowani?

Można by długo pisać na temat plusów i niedoskonałości festiwali. Szkoda, że telewizja nie idzie tu w sukurs poczynaniom organizatorów festiwali, że nie wzbogaca przeglądów projekcjami telewizyjnymi. A przecież jak znacznie rozszerzyłby się ich zasięg, gdyby nie tylko ta bardzo wąska grupa zapaleńców, ale i szerokie gremium specjalistów zobaczyło, czym może dysponować w swojej pracy. Jak cennym byłoby zorganizowanie takich pokazów dla nauczycieli w całej Polsce w czasie trwania Festiwalu Filmów Dydaktycznych w Łodzi. Przecież te, co dwa lata organizowane, spotkania miałyby szansę przekształcić się w ogólnopolską formę edukacji nauczycielskiej. A takiej szansy gubić nam chyba nie wolno. Piszę to na kilka miesięcy przed kolejnym festiwalem. Nie jest jeszcze za późno, aby odwieczny problem braku właściwej pracy z filmem na terenie szkoły choć częściowo rozwiązać.

IV.

Prasa interesuje się filmem krótkometrażowym w większości z okazji festiwali i przeglądów. Wtedy zwiększa się ilość artykułów, a przyznane nagrody zwiększają chęć obejrzenia filmów. Jest to zjawisko pozytywne i niewątpliwie podnoszące społeczne zainteresowanie filmem. Potrzebne są więc dobre autentyczne festiwale filmowe. Potrzebne są między innymi prasie, aby mogła, nie czyniąc zbyt wielu zabiegów organizacyjnych, zobaczyć większą grupę filmów krótkometrażowych i je spopularyzować. Potrzebne są twórcom, aby mieli okazję do skonfrontowania swoich dokonań na płaszczyźnie rzetelnej konkurencji artystycznej. Potrzebne są specjalistom w różnych dziedzinach, którzy zyskują cenny materiał do dalszego upowszechniania swoich specjalistycznych zagadnień w formie mniej specjalistycznej, ale bardziej artystycznej. Są wreszcie festiwale filmów krótkometrażowych potrzebne nam, przeciętnym odbiorcom, bo prawdopodobnie bez ich istnienia twórczość ta byłaby przez prasę i społeczeństwo nieco zapomniana. A że jest ona pożyteczna, jesteśmy przekonani prawie wszyscy.

MACIEJ ŁUKOWSKI — doktor, naczelny redaktor Wytwórni Filmów Oświatowych

ZŁODZIEJE ROWERÓW

Scenariusz: Oresto Biancoli, Suse Cecchi, D'Amico, Vittorio de Sica, Adolfo Franci, Gherardo Gherardi, Gherardo Gurieri, Cesare Zavattini (na podstawie noweli filmowej C. Zavattini według powieści Luigi Pratolini pod tym samym tytułem).

Reżyseria: Vittorio de Sica.
Zdjęcia: Carlo Montouri.
Muzyka: Alessandro Cicognini.
Wykonawcy: Lamberto Maggiorani, Enzo Staiola, Elena Altieri, Vittorio Antonucci, Gino Saltamorandi i inni.
Produkcja: P.D.S. Vittorio de Sica.
Premiera: 1948 r.

Powojenną historię kinematografii otwiera rozdział zatytułowany „włoski neorealizm". Kierunek ten był bez wątpienia najdonioślejszym doświadczeniem ideologicznym i estetycznym współczesnego filmu. Neorealizm bezpośrednio wyrasta z historii najnowszej, jest opisem i rezultatem sytuacji, w jakiej znalazły się Włochy podczas II wojny światowej i w okresie powojennym. Narodził się w krytycznym i przełomowym momencie historii faszystowskich Włoch. Tendencje neorealistyczne narastały w kinematografii włoskiej już podczas wojny. Pierwszym neorealistycznym filmem było „Opętanie" Luchino Visconiego z roku 1942. Prawdziwa eksplozja neorealizmu następuje dopiero po wojnie.

„Patrzyliśmy na ruiny, z których wyszliśmy pokryci pyłem i prochem — pisał jeden z czołowych reżyserów neorealistycznych, twórca głośnego filmu „Rzym, miasto otwarte", Roberto Rosselini. — W naszych sercach rodziła się głęboka i szczera potrzeba odnalezienia, rozpoznania i określenia siebie samych. Z tej postawy moralnej dyktującej nam konieczność zrozumienia do głębi tragedii, jaką tak niedawno przeżyliśmy, powstał neorealizm".

Nowa postawa moralna musiała pociągać za sobą nową postawę estetyczną. Już sama nazwa wskazuje, że neorealizm był nową mutacją i kolejną wersją filmowych koncepcji realistycznych. W programowych intencjach neorealistów ich utwory miały być wierną i obiektywną prezentacją „samego życia", bezpośrednią transkrypcją autentycznej rzeczywistości sfotografowanej w sposób maksymalnie naturalny w jej codziennych wyglądach i przebiegach zdarzeń. Neorealiści deklarowali generalny odwrót od dotychczasowych wzorców fabularnych i narracyjnych kina opartego na literackiej fikcji. Bohaterem ich filmów został szary człowiek i jego codzienne życie.

Aby osiągnąć zamierzoną pełnię autentyzmu neorealiści zrywali również z dotychczasowymi receptami warsztatowymi, według których film powstawał w atelier z udziałem zawodowych aktorów recytujących rygorystycznie przewidziane w scenariuszu kwestie, a montaż był nie tylko nośnikiem sprawnej narracji, ale służył również narzuceniu widzowi pożądanej wymowy dzieła. Neorealistycznym ideałem był film zrealizowany w autetycznych plenerach i wnętrzach uwolnionych od jakiejkolwiek ingerencji scenografa, z udziałem aktorów niezawodowych odtwarzających własne życie i posługujących się potocznym językiem: montaż takiego utworu miał pełnić jedynie funkcje porządkujące zgromadzony materiał. W ten sposób ekran miał stać się zwierciadłem rzeczywistości. Tej koncepcji kina sprzyjał stan techniczny powojennej kinematografii włoskiej pozbawionej w wyniku działań wojennych wytwórni i sprzętu. Ograniczenia i konieczności techniczne splotły się zatem z głębokimi potrzebami artystycznymi.

Neorealizm nie był szkołą jednolitą. Bliższa analiza filmów powstałych w latach 1942—1955 wykazuje cały szereg różnic i odmian ideowych, tematycznych i stylistycznych, a także ewolucji poszczególnych reżyserów. Jednakże w każdej formacji artystycznej można odnaleźć jej miejsce centralne, w którym skupiają się i krystalizują jej cechy najbardziej rdzenne i fundamentalne. Takim ośrodkiem krystalizacji tendencji neorealistycznych w filmie włoskim była twórczość spółki autorskiej Cesare Zavattiniego i Vittorio de Siki, a wielu historyków zgadza się w przekonaniu, że najdoskonalszym dziełem tych autorów był film „Zodzieje rowerów".

Robotnik Antonio Ricci po długotrwałym bezrobociu dostał wreszcie zajęcie przy rozlepianiu afiszów pod warunkiem, że do pracy zgłosi się z rowerem. Wykupuje więc swój rower z lombardu, zastawiając całą bieliznę pościelową, którą posiada w domu. Rower nazajutrz zostaje mu skradziony. Robotnik wraz z małym synkiem, Bruno, szuka przez cały dzień złodzieja, a gdy wreszcie schwyta go, już bez łupu, okazuje się, że złodziej jest takim samym bezrobotnym jak on. Doprowadzony do ostateczności sam próbuje kradzieży roweru. Schwytany, upokorzony i pobity znika w tłumie, prowadząc za rękę swego synka.

Jeden z krytyków nazwał ten film „rowerową tragedią". Istotnie, mimo pozornie kronikarskiego, dokumentalnego zapisu z życia dwóch dni prostego człowieka „Złodzieje rowerów" zawierają w sobie dramatyczny ładunek godny antycznej tragedii.

Od pierwszej sceny, od obrazu tłumu zgromadzonego przed urzędem do spraw zatrudnienia, następuje ilustracja społecznej nędzy oraz bezradności i obojętności na ludzki los urządzeń społecznych. Wędrówka Ricciego prowadzi przez te urządzenia, które w zetknięciu ze sprawą bohatera filmu podlegają nieuchronnej dyskredytacji. Pierwsza zostaje skompromitowana policja, do której natychmiast po kradzieży zwraca się okradziony. Jednakże policja ma poważniejsze zmartwienia na głowie — właśnie odbywa się robotnicza domonstracja i należy ją rozpędzić. Ricciemu pozostaje pomoc przyjaciół. Ale mimo początkowej solidarności ludzi biedny, już wkrótce wszyscy przyjaciele rozejdą się do swoich spraw. Dalszym etapem poszukiwań stanie się targ starzyzny. Nieudana pogoń Ricciego za złodziejem prowadzi do przykościelnej instytucji charytatywnej, gdzie wytworne damy karmią żebraków, a eleganccy panowie golą im brody. Ta żałosna i farsowa filantropia jedynie pogłębia tragizm położenia nędzarzy.

Ostatnia scena filmu, która nadaje mu formę kompozycyjnie zamkniętą i wznosi zaprezentowaną na ekranie rzeczywistość do rangi uogólnienia, ostatecznie potwierdza przekonanie, że „Zodzieje rowerów" są filmem, w którym świat przedstawiony stanowi medium przekazujące moralne tezy twórców. Jest to stwierdzenie o tyle ważne, że w późniejszych interpretacjach krytyki francuskiej, które zdominowały ocenę neorealizmu, prąd ten został utożsamiony z utopijną koncepcją kina totalnie odzwierciedlającego rzeczywistość bez jakiejkolwiek ideowej i twórczej ingerencji artysty. Jednakże film neorealistyczny — i na przykładzie „Złodziei rowerów" widać to wyjątkowo wyraźnie — był świadomym wyborem pewnych spraw, postaci, zdarzeń i wątków z rzeczywistością i ich celową kompozycją znaczeniową. Lustrzana iluzja była jedynie mitem, któremu sprzyjała określona stylistyka, a dla której „Złodzieje rowerów" znowu zostają przykładem kwintesencjonalnym.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

CHRISTIANIA (II)

(KORESPONDENCJA Z DANII)

Dalszy ciąg ze str. 1

Trwa ta noc.

Dzieci, psy, handlarze białą śmiercią, obradująca na ławkach starszyzna. Przebrany za huzara chłopiec leży samotnie za węgłem opuszczonego domu i oburącz ściska głowę. Dziewczyna oddaje mocz pod ścianą. Beczą owce w zagrodach, nad wodą rechocą żaby. Cuchną ustępy, w pojedyńczych oknach migocą światła. Gdzieś z oddali wiatr nawiewa stare przeboje Beatlesów.

NOC PO CIĘŻKIM DNIU.

Bo ja wiem, czy ten dzień był naprawdę taki ciężki? Pniemy się po drewnianych, rozchybotanych schodach na piętro lokalu **OPERA**. Mój płaszcz brązowy, tajniacki... Głupio mi jakoś. Ale Polak i Amerykanin są już spokojni. W końcu mają na sobie odpowiedni strój: wytarte na kolanach riffle, rozciągnięte swetry. Włosy też stosownie długie, za ramiona... Siadamy za wspólnym, biegnącym dookoła sali stołem. Ktoś mi się kłania. Barman stawia przede mną butelkę Tuborku, a kiedy próbuję wręczyć mu trzy korony, cofa rękę. Przez chwilę biorę te gesty za gościnność, ale Polak ironicznie mruży oko: płaszcz, frajerze! To wszystko ten płaszcz!...

Gaśnie więc ciepło w moim sercu. W końcu reporter rzeczywiście bywa tajniakiem...

Wyostrzam wzrok i słuch, gdyż dzieją się rzeczy niecodzienne. Trip — jak oni określają ten stan — czyli wielka wycieczka, osiąga swój kulminacyjny punkt. Palą w drewnianych, prostych, przypominających puzonowe ustniki, fajkach, lub w odtłuczonych szyjkach butelek. Kopciuch krąży od osoby do osoby, źrenice palaczy rozszerzają się i mętnieją, ginąc z wolna w głębi oczodołów tak, jakby zachwycony, ociekający potem i wodnistą śliną człowiek próbował podejrzeć od środka sam siebie. Murzyni obok Hindusów, Chińczycy obok Arabów, delikatne panienki obok typów, którym trwoga spojrzeć z bliska w twarz. Każdy haust dymu zapijany jest haustem piwa, które i tu spełnia rolę utrwalacza.

Z głośników na ścianie wciąż atakują nieśmiertelni chłopcy z Liverpool. W sztok pijana, brzydka, obdarta jak trzynaste dziecko stróża, Eskimoska odstawia na pustym parkiecie lunatyczny taniec. Kilku bladych, ascetycznie wychudzonych gości trzyma się za wątrobę. W ocienionych kątach siedzi cała armia przygarniętych przez komunę żebraków, patrząc tylko, co by tu wypić lub zjeść. Najmłodszy ma pewnie z sześćdziesiąt pięć lat i u schyłku żywota danym mu jest zakosztować raju. Niejedno już pewnie widział okropieństwo, a przecież, podobnie jak ja, odruchowo zamyka oczy, kiedy przystojny nastolatek strzela się w podwiązaną żyłę zardzewiałą igłą.

Siedząca obok mnie, postawna Mulatka, robi uspokajający gest:

— Good, good! On niedługo pójdzie na leczenie.

Krzepiące. Jak wróci, ograniczy się wyłącznie do haszu. Precz igły i prochy! Prawdziwą głębię poznania gwarantuje tylko gęsty, kadzidlany dym, który zabija uczucie głodu i na dłuższą metę zamienia człowieka w powleczone skórą kości. Wielu takich stoi pod ścianami, przytulając ciała do murów w pozie udręczonego Chrystusa.

Płowy łachurda zrywa się od stołu. Czuję na sobie jego rozmazany wzrok. Pewnie znowu ten płaszcz, cholera! Odwracam głowę, żeby nie drażnić łachmytki; niby to słucham, co mówi na mój użytek pulchniutka Duneczka:

— W domu źle, lodówki, telewizory, pralki, samochody, stara pindrzy się całymi dniami przed lustrem, starego opętała mania pieniędzy, przenoszą się właśnie ze śródmieścia na przedmieście, bo dbający o pozycję obywatel nie ma prawa mieszkać w zwykłym domu, willę właśnie kupili w bogatej dzielnicy, dwa garaże, kwiatki, drzewka, kort tenisowy, podczas gdy ona, pulchniatka, kładzie na to ciężką lachę...

Łachudra tymczasem wije sobie pętlę z powroza. Widzę to, udając że nie widzę, nie słucham, udając, że słucham. Z trudem powstrzymuję się od wrzasku, gdyż sznur dynda już na ptasiej szyi, a facet ledwo zachowuje równowagę. Ulga! Ktoś mu tę pętlę zrywa. Dunka ciągnie:

— W Christianii dopiero poznałam PRAWDZIWYCH LUDZI...

Łachudra podwija prawą nogawkę spodni i patrząc na mnie, na ten mój przeklęty płaszcz, wyciąga zza cholewy brzytwę. Jestem spięty, gotowy prysnąć do drzwi, co udziela się również moim towarzyszom. Później znowu ulga, bo ktoś daje łachudrze flachę i obślinionego skręta. Sztach! Ściska tego skręta w palcach pospołu z brzytwą. Głos Dunki do mnie dociera:

— Nie kocham rodziców, nie chcę bogactwa, wprowadzę się tu z bratem na stałe, czas będzie wtedy płynął wolno, treściwie, każdy dzień zamieni się w wieczność...

Łachudra wyszarpuje spod paska zaplamioną koszulę, obnaża kosmaty brzuch i rżnie powoli brzytwą białe, galaretowate ciało.

W takich wypadkach kobiety mdleją i krzyczą, a gość trafia do szpitala wariatów, tu jednakże incydent nie wywołuje większego zdziwienia. Wkracza brygada sanitarna: odbierają mu zakrwawioną brzytwę, robią opatrunek, wypytują łagodnie o przyczynę depresji. Czując, że za moment wskaże mój płaszcz, skwapliwie ruszam do wyjścia.

3.

I wracam do Christianii w biały dzień, już bez płaszcza, za to w towarzystwie fotoreportera, który z początku strzela z ukrycia; później coraz śmielej. Szybkość, refleks, rutyna — tak pracuje ten mój Janusz Chodorowicz: dla kobiet ma uśmiech, dla facetów swojackie zmrużenie powieki. Nie wiem, na jakiej zasadzie to działa, ale one trzęsą przed nim gołymi cyckami, a oni radośnie podstawiają pod obiektyw swoje włochate gęby.

— Zrób ten kibel — proszę.

A on:

— Gorszych przypadkiem nie widziałeś?

Płyniemy z falą turystów przez bramy i podwórka. Hippiesi krzątają się bez pośpiechu wokół swoich pomieszczeń: pitraszą, kitują okna, zamiatają podłogi. Co kilka kroków jakiś zespół muzyczny uprawia pospolitą żebraninę — jeden gra na banjo, drugi dmucha w piszczałkę, trzeci tańczy, czwarty śpiewa, piąty, strojąc pocieszne miny, potrząsa rytmicznie blaszaną skarbonką, do której przechodzień wciśnie od czasu do czasu koronę.

Sam nie wiem, skąd w tym wszystkim tyle smutku, tyle nieuświadomionej, nostalgicznej rozpaczy. Chyba młody wiek tych ludzi sprawia, że czujesz się nagle winowajcą. Tu, w pięknej, przebogatej, wymuskanej Kopenhadze, Christiania mocniej trafia w serce niż slumsy w Portugalii i obozy palestyńskie w Libanie. Nędza z wyboru różni się od nędzy z konieczności. Gdzie zawędrował świat, skoro jego **PRZYSZŁOŚĆ**, wszyscy ci złachmanieni chłopcy i dziewczęta, przystają na taką wegetację, chwytając się takich ideałów, lansują taki model szczęścia? Nie każdy christiańczyk jest nałogowym abnegatem i warchołem. Niektórzy wierzą w swoje posłanie...

Przysłuchuję się z bliska grupce, która roztrząsa problemy ekonomii, polityki i filozofii. Fakt, dalecy są od rasizmu — ramię w ramię: różne odcienie skóry w jednakich uniformach z teksasu. Nie krzyczą, nie tokują, odnoszą się do siebie z szacunkiem, mają zrozumienie dla swoich odmiennych upodobań seksualnych, nie naśmiewają się z żadnej religii czy obyczaju, tolerują oponentów i w ogóle — działają w imię **WOLNOŚCI**. Brud jednakże pozostaje brudem, krzywica — krzywicą, narkotyki — narkotykami. Trudno zgodzić się z takim pojęciem wolności i z taką postawą wobec wszelkich niesprawiedliwości świata. Rozlepili na domach i drzewach setki ulotek pierwszomajowych, jednakże członek Komunistycznej Partii Danii macha ręką:

— Niepotrzebny nam — powiada — taki sojusz. Walczyć trzeba w związkach zawodowych, w fabrykach, a nie w norach i piwnicach, na leżąco, z petem i butelką piwa w łapie. Powiadają, że nie chcą robić u kapitalistów, ale haszysz kupują bez mrugnięcia oka od gangsterów.

Do dyskutujących podjeżdża na rowerze przystojny, siwowłosy pan, Murzyn podaje mu odkapslowaną butelkę piwa — nie odmawia, przysiada na ławie, włącza się do dysputy. Nie jest to żaden z tych zwariowanych, sympatyzujących z komuną dziennikarzy, lekarzy czy adwokatów, tylko sam Orla Moeller, Minister Obrony. Nie przybył tu pić i palić, tylko pertraktować. Ponieważ nie udało mu się wyeksmitować hippiesów od zaraz, chce zrobić to sukcesywnie. Na ścianach pojawiły się obwieszczenia o zamiarze wyburzenia trzydziestu budynków Christianii. Od czegoś trzeba przecież zacząć. Zbyt dogodnie położony to teren, aby na wieki pozostawić go w hippiesowskich rękach. Ale sprawa nie wydaje się prosta. Komuna wyczuwa niebezpieczeństwo i zapowiada nową falę demonstracji. Tłumaczą panu ministrowi, że nie wolno nic burzyć. Jeszcze rok — dwa i odkupią cały fort od państwa. Mają przecież pieniądze... No, owszem, mają również długi, **MILION** koron, ale ich dochody gwałtownie ostatnio zwyżkują i przy szczęśliwym zbiegu okoliczności...

Na jednym z baraków, który graniczy z Biurem Informacyjnym i funkcjonującą od niedawna Pocztą, wywieszono na widok publiczny **CZTERNAŚCIE ALTERNATYW** przeobrażenia Christianii. Czego tam nie ma? Hotele, przedszkola, ogródki zabaw dziecięcych, baseny, plaże, nowe restauracje i kawiarnie. Nie głupie to wszystko, choć... znowu przychodzi na myśl mieszczański model życia. Równie dobrze mogłyby zrealizować te projekty przedsiębiorstwa państwowe, posługujące się nowoczesną techniką, odpowiednim sprzętem i budulcem. Oryginalność hippiesowskich projektantów jest ograniczona i problematyczna: bawi turystów, śmieszy fachowców, denerwuje władze.

Jak skończy się ta afera?

Wielu Duńczyków bagatelizuje problem. Inni patrzą z niepokojem na Holandię.

Pośród rozwieszonych na ścianach poczty telegramów, które nadchodziły ze świata w gorącym dla komuny okresie, jeden brzmi złowieszczo:

AMSTERDAM POPIERA CHRISTIANIĘ!

Duńczyk, który to czyta, a był ostatnio w Amsterdamie, musi mieć dreszcze.

Powiedział ktoś:

— Jeśli porównać Christianię z Amsterdamem, to jest ona rzeczywiście oazą praworządności i spokoju.

Niebawem miałem się przekonać, że w słowach tych była prawda.

(dalszy ciąg wkrótce)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Zdjęcia: Janusz Chodorowicz

TELEWIZJA

PRAWDA I MORALNOŚĆ OBIEKTYWU

Każdego, kto próbował nie tylko oglądać telewizję, ale również poczytać coś sensownego na jej temat musi zdumiewać nieomal zupełna pustka na tym wciąż jeszcze potencjalnym polu piśmiennictwa. Myślę tutaj wyłącznie o publikacjach książkowych, ponieważ z gazetowego ple-ple nic treściwego nie wynika. Refleksja intelektualna w tym zakresie rozwija się dość niemrawo i ciągle pozostaje na poziomie konstatacji podstawowych, czyli mniej lub bardziej oczywistych. Jest to drażniący paradoks, bowiem telewizja wywiera największy wpływ spośród innych dziedzin kultury masowej na świadomość społeczną i naiwnemu mogłoby się wydawać, że tutaj właśnie należy skoncentrować teoretyczną uwagę, aby żywiołowy rozwój tego środka przekazu wykorzystać w sposób nie tylko najpełniejszy i najwartościowszy, ale również zgodny z jego naturą. Warto podkreślić ten pragmatyczny aspekt zracjonalizowanej wiedzy o telewizji, przed którą stoi realna szansa kształtowania tego medium kulturowego. Istota telewizji jako środka przekazu ciągle jeszcze krystalizuje się, dlatego też teoretyczne zgłębienie jej cech i możliwości winno przyspieszyć ten proces.

Piszę to z okazji ukazania się w PIW-owskiej Bibliotece Myśli Współczesnej przekładu książki Włodzimierza Sappaka „Telewizja i my". Jest to pozycja z roku 1963 (data wydania radzieckiego), a więc — zważywszy na tempo rozwoju TV — stara, co wcale nie musi oznaczać, że przestarzała. Książka ta bez wątpienia nosi piętno czasu, w którym powstała. Początek lat sześćdziesiątych to okres, kiedy specyfiki telewizji szukano w niepowtarzalnym gdzieindziej fenomenie jedności czasu akcji i czasu jej odbioru. Sappak nazywa to zjawisko efektem obecności. Rozwój technik rejestracyjnych odebrał percepcji telewizyjnej tę bezcenną świadomość i dziś warto się zastanowić, czy spełniony postulat technicznej doskonałości nie zniweczył czegoś znacznie ważniejszego. Sappak podkreśla niezbywalność efektu obecności i ten punkt widzenia może się dzisiaj wydawać anachroniczny. Jednakże nadal obserwując magiczne oddziaływanie nielicznych już transmisji bezpośrednich należy pamiętać również o odwrotnej możliwości: to nie teoretyk się pomylił, lecz pomyliła się telewizja w swoim rozwoju.

Inny anachronizm książki radzieckiego autora jest mniej dyskusyjny. Chodzi o pytanie, a może o tęsknotę, która dręczącym leitmotivem przewija się przez karty tej eseistyki: czy telewizja jest sztuką? Pytanie charakterystyczne dla początków telewizji, którą podobnie jak ongiś film usiłowano włączyć w krąg Muz. We współczesnej kulturze, kiedy estetyka stała się dyscypliną deficytową, a badania nad sztuką przesunęły się z aspektu estetycznego na poznawczo-informacyjny problem ten traci swoją zasadność, jest wyrazem przebrzmiałych przekonań i kompleksów.

Ważniejsze wszakże od tych nieuchronnych śladów minionych fascynacji są aktywa tej lektury, czyli te jej idee, które nie tylko nie straciły na znaczeniu, ale nabrały nowej ostrości i świadczą o niezwykłej przenikliwości autora. Dwie zasadnicze tezy tworzą wywód myślowy rozprawy Sappaka, przy czym tezy te stanowią niejako dwie strony medalu, przenikają się w różnych kontekstach i na różnych przykładach. Sappak uważa, że telewizja jest dziedziną kontaktu człowieka z człowiekiem, a więc człowieka sprzed telewizora i człowieka z ekranu i że podstawowym, koniecznym warunkiem zaistnienia tej ludzkiej więzi jest poczucie wewnętrznej prawdy, pełny autentyzm, słowem — szczerość. Telewizja jest instrumentem przekazu szczególnie uwrażliwionym na autentyzm, posiada „absolutny słuch" na prawdę. „Obiektyw telewizyjny w roli kronikarza, jako przekaźnik obrazu nie jest neutralny. Jest uczulony na prawdę, nie znosi fałszu. Uchwyci każdą fałszywą nutę, każdą sprzeczność. Innymi słowy, wyostrza nasze poczucie prawdy" — oto sedno poglądów radzieckiego autora.

W ujęciu Sappaka teoria telewizyjnego autentyzmu zyskuje oświetlenie moralistyczne. „Telewizja i my" na swych najcenniejszych stronicach zawiera kodeks telewizyjnej moralności. Teoretyk z wyjątkowym instynktem prawdy i wrażliwość na zakłamanie tropi na wielu przykładach mistyfikacje, jakich dopuszczają się ludzie tworzący telewizję. Formułuje szereg reguł, których przekroczenie jest niedopuszczalne, ponieważ gwałci szczerość międzyludzkich więzi stworzonych dzięki małemu ekranowi. Tak przedstawia się w ogromnym uproszczeniu książka, którą należy polecić do obowiązkowego czytania przede wszystkim ludziom, którzy w telewizji pracują. Dla nich winna stać się podręcznikiem telewizyjnej etyki.

Na koniec kilka słów o samym autorze. „Telewizja i my" jest jego jedyną książką, a pisał ją przykuty do łóżka nieuleczalną chorobą. Zmarł w 1961 roku, w wieku lat czterdziestu, nie doczekawszy jej wydania. Stanisław Kuszewski we wstępie do polskiego wydania pisze, że tragizm osobistej sytuacji autora nie przebija przez jego styl i poglądy. Wydaje mi się, że jest inaczej. Świadomość rychłej śmierci można wyczytać nie tylko tam, gdzie Sappak pisze o wartości czasu, jaki kradnie nam telewizja. Świadomość ta staje się przejmującym argumentem wspierającym zasadniczą tezę książki. Żarliwość z jaką jej autor pisze o bogactwie realnego, żywego świata, które wlewa się przez telewizyjny ekran do naszego domu staje się tutaj swoistą miarą świadomości zagrożonej przez kres życia.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

Wielki Kroczący

Dalszy ciąg ze str. 1

powieziono mnie na pierwszą nitkę taśmociągu i kiedy zobaczyłem czerpaki wdzierające się w nadkład, który stawał się hałdą uwierzyłem, że i u nas zadymią kominy elektrowni.

Ale teraz jest suchy, majowy dzień anno 1976, wiatr sypie piaskiem w oczy, daleko stąd nie tylko do Turoszowa, ale nawet do najbliższej linii kolejowej. I w Rogowcu nikt na nas nie czeka, bo asystent dyrektora inż. Wojciech Tyczka, z którym widocznie nie dość dokładnie umówiono nas na spotkanie, pojechał już do Piasków. Rozpytując co chwila o drogę ruszamy w ślad za nim. Wreszcie ukazuje nam się długi, barakowaty budynek.

— **To chyba tutaj** — mówi z ulgą kierowca podczas gdy my z Włodzimierzem Parysem zaczynamy czytać szyldy. I w końcu natrafiamy na właściwy.

Biura **Kopalni Węgla Brunatnego** mieszczą się w skrajnej części baraku. Ale mówiąc: biura, dokonać trzeba swoistej pseudonimacji. Jest to raczej sztab inwestora czuwający nad sprawnym wykonaniem prac prowadzonych przez wiele wyspecjalizowanych instytucji. O tym jednak za chwilę.

Włodek Parys zabiera aparat fotograficzny i lekkim krokiem udaje się na plac montażowy, żeby zdokumentować obrazem to, co ja spróbuję oddać w opisie. Nie ma rady: muszę zostać w dusznym, przyciasnym kantorku. Jak zawsze, gdy trzeba od czegoś zacząć niełatwą rozmowę, zapada kłopotliwe milczenie. Mgr. inż. **Mieczysław Wojtyra** ujmuje długopis i na odwrocie jakiegoś zdezaktualizowanego już maszynopisu zaczyna rysować kontury przyszłej odkrywki.

— **Ma ona** — urywa szukając obrazowego określenia — **o, taki właśnie „kiszkowaty" kształt.**

— W Turoszowie mówiło się o Worku Żytawskim — wtrącam dokonując ogromnego wysiłku, aby coś jeszcze odgrzebać z pamięci.

— **Zna pan Turoszów?** — ożywił się Wojtyra. I to przesądza o dalszym toku naszej rozmowy, bo on także stawiał pierwsze kroki w Bogatyni.

A więc interesuje mnie koparka? Doskonale. W aktualnej sytuacji koparka stanowi podstawę działalności inwestycyjnej i musi być duże natężenie prac montażowych, żeby na czas oddać ją do ruchu. Nie tylko zresztą koparka. Chodzi przecież o cały układ **K-T-Z.** Pewnie pamiętam jeszcze, co oznacza ten skrót? Nie szkodzi, na wszelki wypadek przypomnijmy sobie.

Koparka-Taśmociąg-Zwałowarka. Oczywiście, zwałowarkę też się już montuje, tu, z drugiej strony wyasfaltowanego placu, bliżej wsi **Piaski,** która zniknie z powierzchni ziemi. Znajomość Turoszowa będzie przydatna w naszej rozmowie, ale będzie także nieco przeszkadzać, bo trzeba pamiętać o skali. Dlaczego? To także bardzo proste. Będą tu pracowały trzy koparki nadkładowe, cztery koparki węglowe i jeszcze dwie inne 4, 3 i 2 to czyni 9. A więc sporo. Zwałowarek będzie cztery. Z tym, że nie ilość tu najważniejsza. Koparka SChRs ma zdolność wydobywczą równą zespołowi wszystkich maszyn na Turowie. To właśnie trzeba sobie uprzytomnić mówiąc o skali. I właśnie ze względu na duże gabaryty montaż koparki zaczął się już w październiku ubiegłego roku, zwałowarkę zaczęto montować w styczniu bieżącego. Kiedy rozruch? To trudno przewidzieć co do godziny. Pracuje się przecież pod gołym niebem, wiele zależy od pogody, od ilości opadów, temperatury powietrza, siły wiatru, który najbardziej utrudnia montaż. Ale pewne jest, że koparka ruszy w pierwszej połowie przyszłego roku, a wraz z nią podejmie pracę cały układ **K-T-Z.** A to oznacza, że pierwszy węgiel wydobyty zostanie już w r. 1980. Też chcieliby prędzej, ale gruba warstwa nadkładu na to nie pozwoli. Mimo że taka koparka waży 7500 ton, a zwałowarka 2500 ton, co daje chyba wyobrażenie o ich rozmiarach.

Wyobrażenie! Co innego wyobrazić sobie takiego kolosa, co innego zaś zobaczyć jak wyrasta z arkuszy żelaznej blachy na placu montażowym, aby wkrótce zdominować krajobraz. Trzeba więc przejść do kolejnej części baraku, gdzie rozlokował się jako generalny wykonawca warszawski Mostostal i współpracująca z nim firma z Katowic.

Inż. **Janusz Badowski** przeprasza, że nie może mi służyć dostateczną pomocą. Już go wzywają, więc tylko parę informacji wstępnych. Nakłada biały, plastikowy kask, ale jeszcze zatrzymuje się w progu.

— **Ogólnie prace montażowe są ciężkie, bo mamy duże podnoszenia. Duże ciężary. Przy spawaniu trzeba uwzględnić podwyższone wytrzymałości, toteż spojenia wymagają stale podgrzewania i są w 90 proc. kontrolowane aparatami rentgenowskimi.**

Ruszamy korytarzem. Nie wiem skąd wziął się na mej głowie ochronny kask, który stanie się moim glejtem na placu montażowym.

— **Nasi spawacze muszą mieć najwyższe kwalifikacje.**

Drepczę obok Badowskiego z notesem w ręce i próbuję notować.

— **Co jeszcze? Napisz pan, że termin montażu jest napięty. Trzeba każdego dnia dobrze się pilnować, żeby zmieścić się w harmonogramie.**

Lubię ten ruch znamionujący pośpiech i kiedy wreszcie zostaję sam na placu przed barakiem uderza mnie nienaturalna jakby cisza. Bo dopiero po chwili niesie się do moich uszu stłumiony pogłos metalu. Och, te odległości. I te wysokości! — narzuca się natrętnie, kiedy na korpusie Wielkiego Kroczącego dostrzegam pomniejszoną przez perspektywę sylwetkę Włodka Parysa.

Przechodzę obok arkuszy starannie ułożonej grubej blachy, omijam żelazne konstrukcje i oto znajduję się na skraju stopni obwiedzionych relingiem, który wprost prowokuje, aby dotknąć to rękami. I oto już mozolnie wspinam się w górę, przeciskam przez mostki z metalowej kraty zawieszonej nad przepaścią, zatrzymuję się na żelaznych galeryjkach maszyny przypominającej rozmiarami statek. Gdybym wyszedł na sam szczyt może udałoby się dostrzec Rogowiec ulokowany mniej więcej po środku tej bełchatowskiej „kiszki" węglowej: w tamtym kierunku rozpocznie wędrówkę Wielki Kroczący rozpruwając aż do trzewiów ziemię, pod którą spoczywa węgiel. Ale nie przybyłem tu po to, aby napawać się widokami.

Opuszczam więc podstawę koparki i rozpoczynam wędrówkę po placu. Dopiero teraz spostrzegam, że obok wyrasta potężnych rozmiarów obrotnica, którą dźwigi uniosą na podstawę.

— To cacko — uśmiecha się jeden z monterów wskazując obrotnicę — waży około 500 ton. A jak je tam włożymy? — spogląda w górę, gdzie pojawił się krzyczący coś do nas Parys.

— Włożymy. To nasza słodka tajemnica — kończy żartobliwie.

Inny dodaje:

— Na górę powędruje także przeciwwaga. To ta żelazna konstrukcja przed nami przypominająca most kolejowy. No i stanie tam jeszcze żelazna wieża. I wtedy koparka będzie liczyła sobie 75 metrów wysokości.

Właśnie drgnął żółty dźwig o poetyckiej nazwie SKY HORSE, co można przełożyć jako „Koń niebios". Podaje na górę blachy podestowe. Zasadniczo zdolny jest unieść jednorazowo 300 ton, choć przy określonych wysokościach dźwiga ciężary rzędu 120.

— Teraz 120 — wtrąca najbardziej rozmowny monter jakby czytał w moich myślach Rozkołysany wiatrem arkusz blachy chwiejnie wędruje do góry, gdzie przejmują go sprawne ręce spawaczy. Zanim hak opuści się na ziemię jest chwila wytchnienia, która, starcza na kilka dymków z papierosa.

— Wie pan, czego nie lubię najbardziej. Pracy na wysokościach. Zwłaszcza jesienią, kiedy wieją te wiatry, łeb urywa — tłumaczy monter.

Ale zanim Wielki Kroczący ruszy na swoich gąsienicach przez oskalpowaną ziemię, trzeba będzie pokonać nie jedną jeszcze wysokość. Wiemy to obaj i zadzierając głowy milczymy.

KONRAD FREJDLICH

BOGDA MADEJ

DZIURA W WODZIE

31 sierpnia 1975 roku była niedziela. Wielu Polakom kończyły się urlopy W poniedziałek trzeba było już iść do pracy. Dla ludzi z „HYDROBUDOWY 1" był to dzień szczególny. O 3 miesiące wcześniej zakończyli pewien etap swojej pracy. Etap bardzo ważny, bo dzięki temu można było przystąpić do dalszych prac przy budowie kopalni węgla brunatnego pod Bełchatowem.

31 sierpnia 1975 roku woda Widawki popłynęła nowym korytem. Ludzie **„HYDROBUDOWY 1"** zbudowali to koryto specjalnie dla rzeki. A zrobili to dlatego, że Widawka płynęła nad przyszłą odkrywką. Bez przełożenia rzeki nie można byłoby zdejmować ziemi zalegającej grubą warstwą nad węglem. Teraz, koło byłej wsi Piaski, montuje się gigantyczną koparkę, która zacznie zdejmować ziemię.

Widawka popłynęła nowym korytem. Zbudowano cały system kanałów, którymi woda płynie do rzeki. Tę wodę wydobywa się spod przyszłej odkrywki. Musi w tym miejscu powstać gigantyczny lej depresyjny — taka dziura w poziomie wód podskórnych. Jak wielki musi to być lej niech zaświadczy fakt, że w niektórych miejscach, aby dosięgnąć złóż węgla brunatnego, trzeba będzie zrobić wykop głębokości około 150 do 200 metrów.

Pracuje już wiele pomp głębinowych. Dziennie wydobywa się tysiące metrów sześciennych wody. Czy to jest dużo? Proszę porównać. Na przykład Warszawa zużywa w ciągu doby około 6 tys. metrów sześciennych wody. A więc sporo. Ale do tej pory wydobyto dopiero około kilkadziesiąt milionów metrów sześciennych wody, a wydobyć trzeba będzie jeszcze dużo, dużo więcej.

Trzeba też będzie dalej budować nowe koryto dla Widawki. To, co zrobiono do 31 sierpnia 1975 roku, to był dopiero pierwszy etap prac. W sumie Widawka ma otrzymać około 35 km nowego koryta. Bardzo szczelnego, aby lej depresyjny nie wyssał wody z rzeki. Tak samo szczelne muszą być wszystkie kanały, którymi woda z pomp głębinowych płynie do Widawki.

MINĄŁ ROK

Przed rokiem — mniej więcej w tym samym czasie — pisałam o pracach **„HYDROBUDOWY 1" („Przekładnie rzeki"**, Odgłosy nr 33, 14 sierpnia 1975 r.). Postanowiłam teraz wybrać się ponownie nad Widawkę, aby zobaczyć, co zmieniło się, jak postępują prace i jakie kłopoty mają ludzie z **„HYDROBUDOWY 1".**

Co zmieniło się? Przede wszystkim nazwa. Nie ma „Hydrobudowy 1" i nie ma „Hydrobudowy 5". Połączyły się one w **„HYDROCENTRUM".** A to nowe przedsiębiorstwo, powstałe z połączenia dwu starych, czyli **„HYDROCENTRUM-2"** nie robi już „dziury w wodzie", gdyż tą czynnością — zakładaniem pomp głębinowych dla osuszenia terenu przyszłej odkrywki — zajmuje się zupełnie inne i też nowe, choć powstałe ze starego, przedsiębiorstwo, które nazywa się **„ENERGOPOL".**

Reorganizacja — jak to zapewne wszystkim doskonale wiadomo — ma kolosalną przyszłość i jest dźwignią postępu, toteż postępuje nieprzerwanie. Zmieniły się nazwy. Pozmieniali się ludzie. Przed rokiem o sprawach „Hydrobudowy 1", cieniach i blaskach pracy pionierskiej na wielkich budowach rozmawiałam z inż. **Henrykiem Buraczewskim.** Dziś tego zrobić już bym nie mogła, bo inż. **Henryk Buraczewski** wprawdzie zawodu swego nie zdradził, ale z bełchatowskiej budowy odszedł. Nie ma już też w **„HYDROCENTRUM" Szczepana Garstki,** o którym inż. Henryk Buraczewski i inni pracownicy byłej „Hydrobudowy 1" tak dobrze, serdecznie i ciepło się wyrażali. Odszedł do **„ENERGOPOLU".** Zawodu swego też nie zdradził.

Zastępcą kierownika ówczesnej „Hydrobudowy 1", czyli inż. Henryka Buraczewskiego był wówczas inż. **Rafał Piotrowski.** Dziś kierownikiem **„HYDROCENTRUM 2"** jest inż. **Rafał Piotrowski.** I jest też swoim własnym zastępcą. Przybyło zaszczytów, ale nie ubyło pracy.

— A kłopotów?

— **Kłopotów też nie ubyło** — odpowiada inż. Rafał Piotrowski.

Przed rokiem brakowało maszyn, sprzętu, ludzi. Czego brakuje dziś?

STARE I NOWE

...trudności. Nadal brakuje maszyn, sprzętu i ludzi. Można byłoby więc powiedzieć, że kłopoty są takie same. Ale nie. One są i takie same i zupełnie nowe. Stare, bo brakuje maszyn, tylko że brakuje innych maszyn. Są koparki, nie ma natomiast spychaczy i nie ma samochodów. Na przykład przy dwóch koparkach kręcą się cztery samochody. Dla laika może to wydawać się dużo. Do obsługi koparek to bardzo mało — stwierdzi fachowiec i uzupełni to komentarzem: — koparki są przez to niewykorzystane do końca. A to już marnotrawstwo.

„HYDROCENTRUM 2" buduje w **Wawrzkowiźnie** ośrodek wypoczynkowy dla górników. Właściwie nie tyle ośrodek, co jego część podstawową, czyli zbiornik wodny. Potrzebne są do tego spychacze. A tych nie ma. Więc pożyczono je od górników. Dzięki temu zbiornik w **Wawrzkowiźnie** gotowy będzie na czas. Co by jednak było, gdyby górnicy nie mieli spychaczy? Inż. **Rafał Piotrowski** woli o tym nie myśleć. Z „gdybania" nigdy nic dobrego nie wychodzi.

Inny kłopot. W pobliżu powstającej elektrowni **„Rogowiec"** jest coś w rodzaju zalanego wodą bagna, na które niektórzy mówią: „jeziorko". Trzeba to osuszyć. Projektanci powiedzieli: — odwodnić. Ale jak? Gdzie skierować wypompowaną wodę, tego nie powiedzieli. Więc specjaliści z **„HYDROCENTRUM 2"** zgłosili inną propozycję: — zasypać! Na to jednak nie ma zgody. Spór kompetencyjny i technologiczny trwa, a „jeziorko" trzeba zlikwidować. Na razie zgodzono się i uzgodniono wersję kompromisową: zrobić groblę, aby mogła póki co pójść nią droga. Ale problemu to nie rozwiązuje.

Jeszcze inny kłopot: l u d z i e. Tych po prostu brakuje. Co gorsza brakuje majstrów, czyli podoficerów hydrobudowy. A bez podoficerów — jak wiadomo — żadna armia nie może funkcjonować. Brakuje też „szeregowych", bo chętnych do grzebania w ziemi, a nieraz i w bagnie wielu nie ma. Trzon „HYDROCENTRUM 2" radzi sobie z tymi kłopotami jak może. I radzi sobie dzielnie. Z przyjemnością posłuchałam sobie rozmowy dyspozytora przez radiotelefon. Była to męska rozmowa, od której więdły moje kobiece uszy i tylko dlatego nie podejmuję się jej tu powtórzyć. Choć mam pełną świadomość, że ubarwiałaby znakomicie moją relację.

L u d z i e jednak muszą być. Łatwo to powiedzieć, trudniej spełnić. Jeździ więc sobie personalna **„HYDROCENTRUM 2"** do Piotrkowa Trybunalskiego, zbiera podpisy, pieczątki, zezwolenia, wraca do Bełchatowa, znów zbiera podpisy, pieczątki i zezwolenia. A ludzie przychodzą i odchodzą. W **„HYDROCENTRUM 2"** pracuje 320 osób. Na przykład w kwietniu 1976 roku przyszły i odeszły 23 osoby. Stan niby się nie zmienił, bo przyszli jedni a odeszli inni, ale ci nowi nie mają przecież tego doświadczenia, wyrobienia i umiejętności, co ci starzy. A poza tym — nie zapominajmy — brakuje przede wszystkim majstrów...

I DALEJ

Powstaje kopalnia. Ale nim powstanie swoje zadania muszą wykonać ci z **„HYDROCENTRUM 2".** Oni — można byłoby powiedzieć — przygotowują grunt, choć brzmi to trochę paradoksalnie. Ale tak jest. Powstaje na przykład w Bełchatowie baza PKS. I aby powstała ludzie z **„HYDROCENTRUM 2"** muszą zrobić kolektory, kanalizację. **„HYDROCENTRUM 2"** pracuje też na rzecz samego Bełchatowa. Buduje ujęcie wody i oczyszczalnię ścieków. Ta budowa podstaw dla przyszłego miasta też nie powstaje bez trudności. Kiedy byłam w **„HYDROCENTRUM 2"** wpadł **Bogdan Krzemiński** — kierownik budowy ujęcia wody dla miasta. Powiedział krótko:

— **Nie mam ludzi, nie mam sprzętu i jeszcze mi się, cholera, agregat popsuł. Stoimy z robotą! Jak tak dalej pójdzie, to guzik będzie, a nie termin...**

Przypomniałam sobie wtedy, że jak przekładali Widawkę, to też psioczyli, ale o 3 miesiące wcześniej ukończyli to, co mieli zrobić. Pracowali na trzy zmiany.

— **Teraz też pracujemy na trzy zmiany** — powiedział inż. Rafał Piotrowski. — **Roboty nam nie brakuje. Mamy jej jeszcze na ładne kilka lat.**

Co trzeba zrobić? Jeszcze w tym roku. Jednocześnie.

Budować nowe koryto dla Widawki. Ta praca jest rozłożona na etapy. I musi wyprzedzać postępy prac w kopalni i elektrowni. Trzeba wybudować betonowe jazy i zbiornik wodny. A to wszystko musi być bardzo szczelne.

Zbiornik wodny na Wawrzkowiźnie, o którym była już mowa.

Zasypać „jeziorko", które jest zalanym wodą bagnem i które nazywa się bardzo ładnie: Biały Ług. I o tym też była mowa. Ten Biały Ług to już praca przy budowie elektrowni „Rogowiec", gdzie **„HYDROCENTRUM 2"** będzie tylko jednym z drobnych podwykonawców.

Budować ujęcie wody i oczyszczalnię ścieków w Bełchatowie. Tutaj też trzeba wybudować kolektory i przygotować teren pod bazę PKS.

To byłoby wszystko. A to jest przecież program nie tylko na rok bieżący.

Kiedy wracałam do Łodzi, pomyślałam: co tu znów zastanę za rok? Ale zaraz przyszła następna myśl: do **„HYDROCENTRUM 2"** wrócę wcześniej. Rok czasu to zbyt długa przerwa. Zbyt wiele przynosi zmian, a warto je śledzić uważniej i z mniejszej perspektywy. Więc do następnego spotkania.

FOTO
WŁODZIMIERZ
PARYS

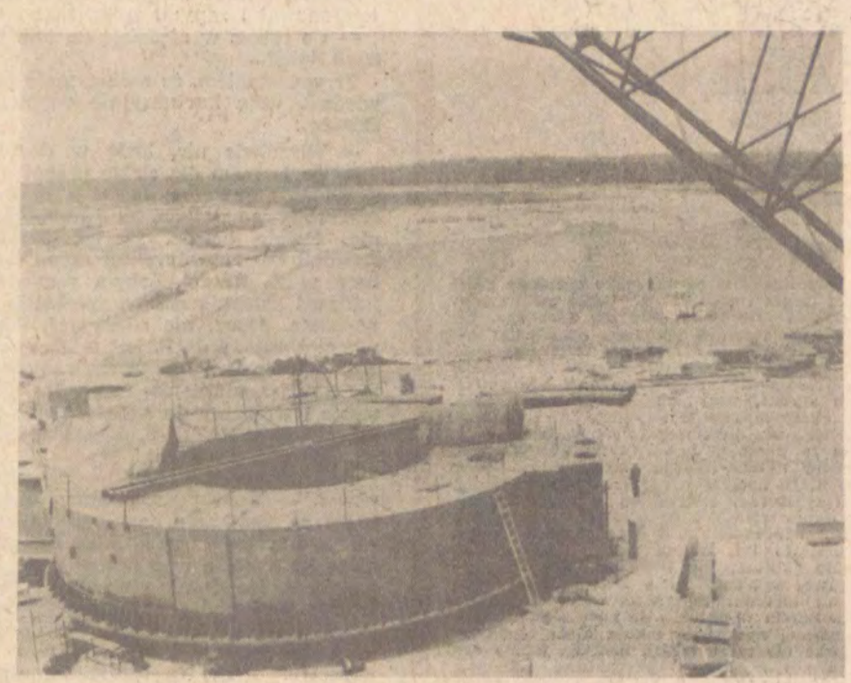

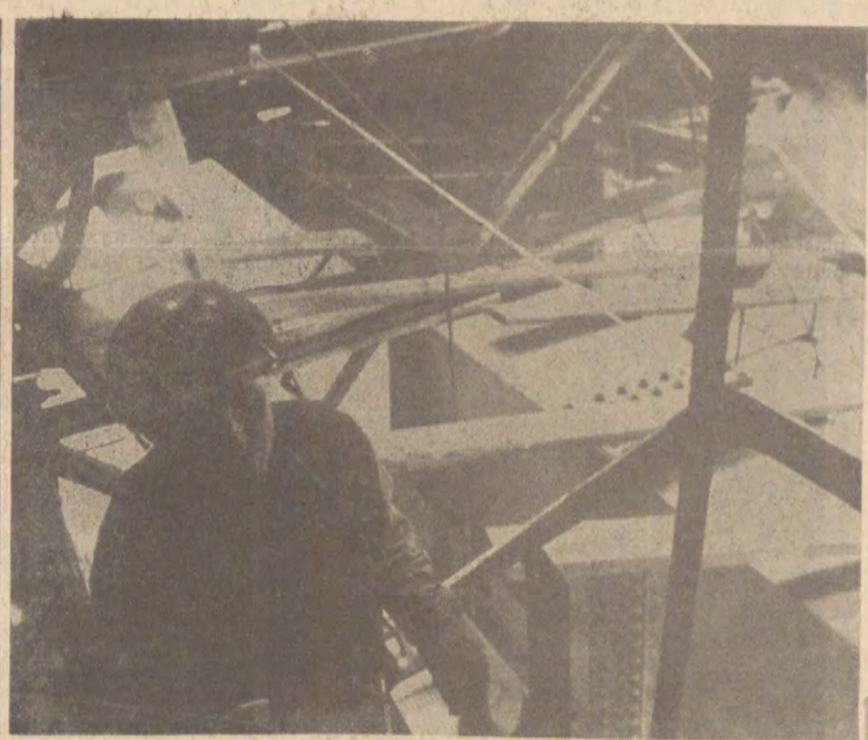

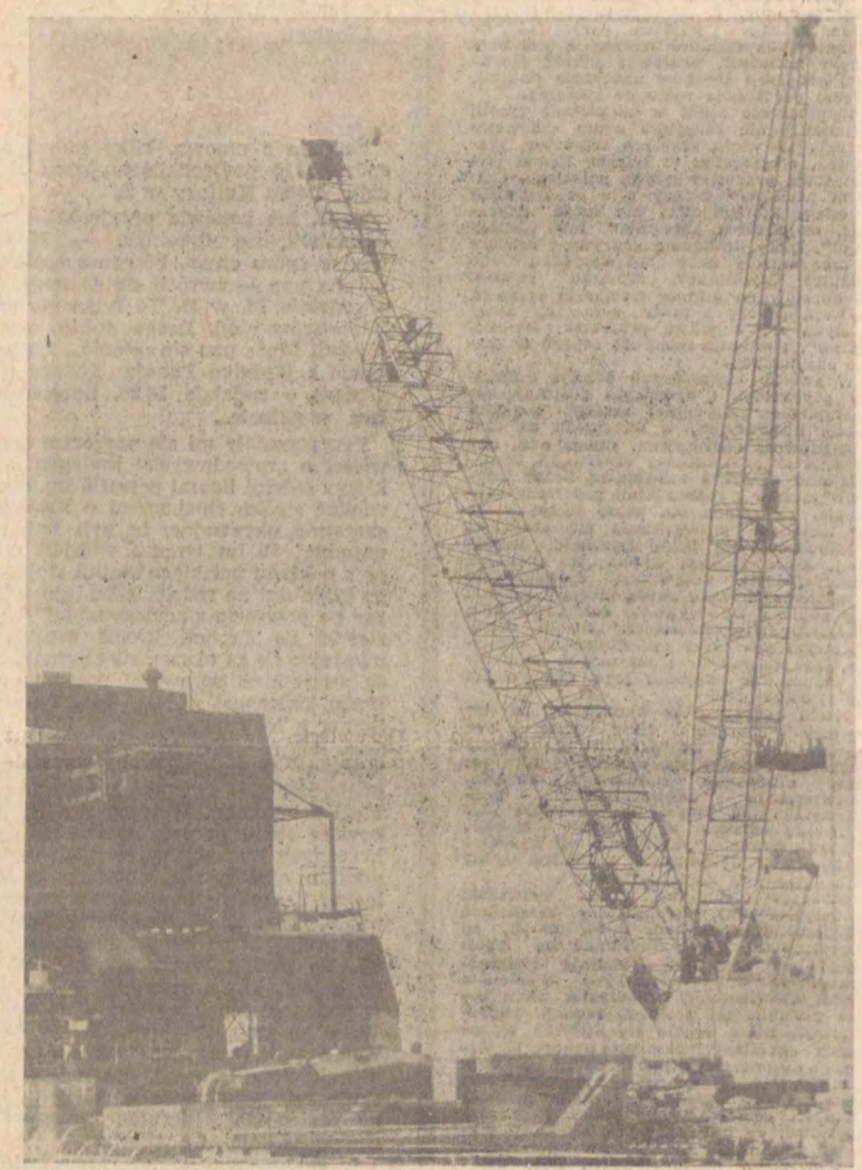

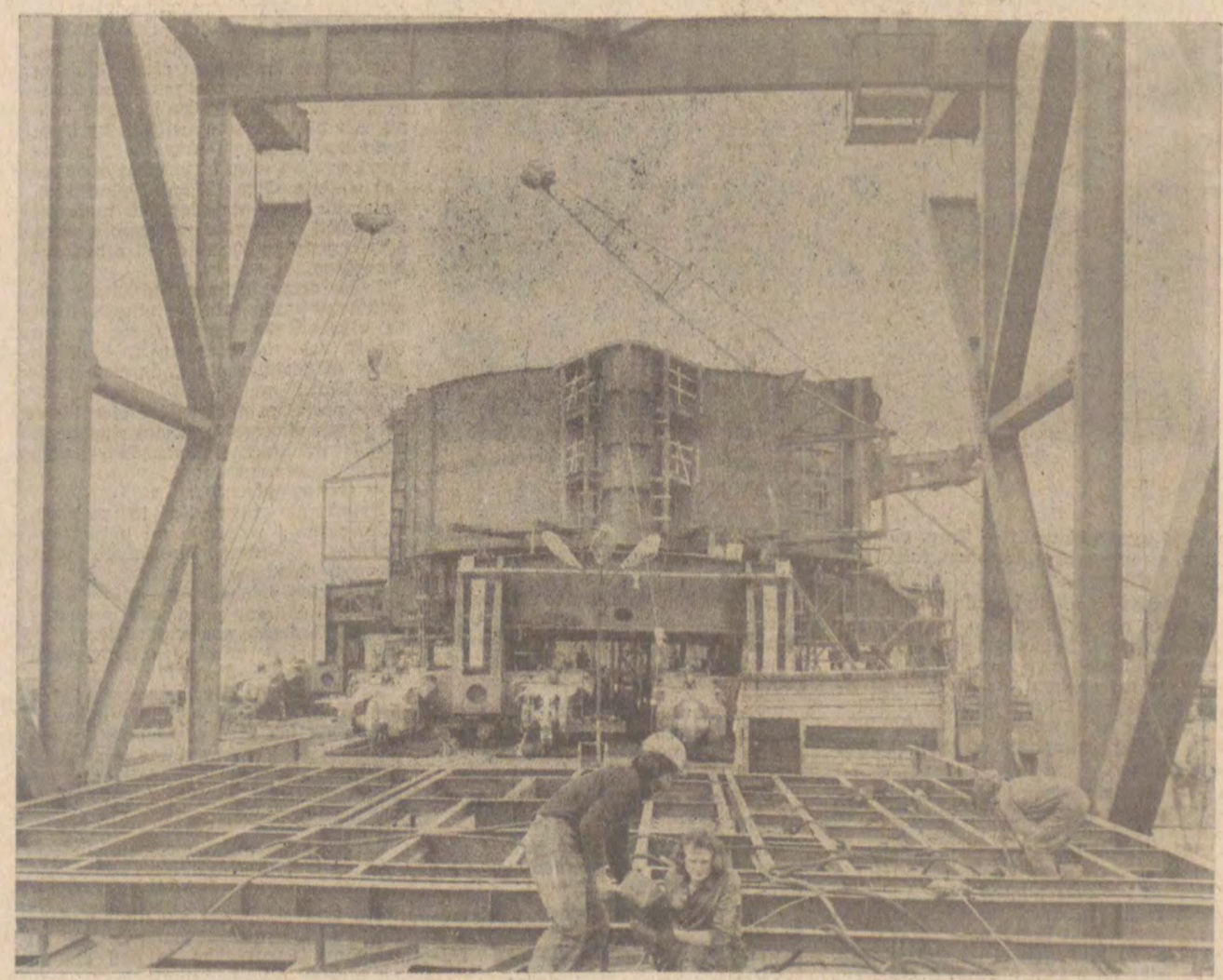

SZKOŁA

DROGA DO NOWOCZESNOŚCI

Współczesność to nie tylko ogromny rozwój nauki i techniki, to także gwałtowny przyrost informacji. Nic też dziwnego, że środki masowego przekazu oplotły nas gęstą siatką, w której kazda luka jest wypełniana informacją. Ponieważ proces „starzenia się" informacji jest niesłychanie szybki, więc ciągłe aktualizowanie przekazywanych treści staje się koniecznością. Dla przeciętnego obywatela oznacza to początek trudności związany z selekcją i klasyfikacją informacji, które do niego docierają. Stopień tych trudności zależy między innymi od sposobu przekazywania wiedzy w szkole. Tradycyjne metody nauczania, choć wypróbowane przez dziesiątki lat, należą dzisiaj do metod mało skutecznych, ponieważ stoją w jaskrawej sprzeczności z aktualnie istniejącymi metodami przekazywania informacji. Zatem w dążeniu do zwiększenia efektywności nauczania szkoła musi modernizować nie tylko treści, metody, formy organizacyjne, ale i poszukiwać nowych środków nauczania. Od czasu do czasu krążą opinie, że modernizacja procesu dydaktycznego poprzez wprowadzenie technicznych środków nauczania jest zbędnym luksusem, ponieważ jakość pierwszej generacji środków nauczania (tablica, kreda) pozostawia wiele do życzenia.

Wyposażenie szkół w techniczne środki nauczania nie osiągnęło stanu zadowalającego. W wielu szkołach telewizor, gramofon, magnetofon to żelazny kanon wyposażenia pracowni języka polskiego. Czasami „żelazny" znaczy tyle co telewizor „Tesla", którego nikt nie może naprawić, magnetofon „Melodia" lub „Szmaragd", który doskonale nagrywa i również dobrze warczy przy odtwarzaniu, lub adapter „Bambino", któremu zamiast 45 obrotów na minutę wystarcza tylko 40. Bywają choćby i takie sytuacje, kiedy zamyka się w szafie projektor AP—25T „Ełew", ponieważ może się zepsuć w czasie eksploatacji.

W świetle najnowszych prac z dziedziny psychologii i dydaktyki postuluje się zastąpienie tradycyjnej zasady poglądowości ilustracyjnej w nauczaniu na tzw. poglądowość operatywną. Chodzi o to, aby w trakcie prowadzonej obserwacji zaktywizować możliwie największą liczbę zmysłów łącznie z różnorakimi procesami myślenia. Ta zasada ma pełne zastosowanie w metodyce posługiwania się środkami audiowizualnymi (film, telewizja, nagrania), które zbliżają ucznia do poznania rzeczywistości, aktywizują spostrzeganie i myślenie, a także budzą motywy uczenia się poprzez wywoływanie zainteresowania określonym przedmiotem. Dzięki szczegółowym pomiarom dydaktycznym ustalono, że stosowanie technicznych środków w nauczaniu zwiększa jego efektywność od 15 do 25 proc.

Wielu nauczycielom wydaje się, że wystarczy pokazać film, aby być przekonanym o dobrodziejstwach modernizacji procesu nauczania. W takim przypadku uczniowie, owszem, potwierdzają „nowoczesność" nauczyciela i dla przykładu nakreślają jego sylwetkę odzianą w wytarte spodnie marki „Wrangler" oraz buty na wysokich podeszwach wykonanych z resztek opony samochodowej marki „Dunlop".

Stosując techniczne środki nauczania nauczyciel musi skrupulatnie realizować fundamentalną zasadę, która mówi, że wszystko co jest pokazywane na lekcji musi być wcześniej dokładnie zaplanowane. W nieprzewidzianych sytuacjach tylko doświadczony nauczyciel może sobie pozwolić na pewnego rodzaju improwizację, która będzie się mieściła w ramach określonych zasadami nauczania. Mając do dyspozycji słowo i technikę, nauczyciel jest w stanie udowodnić uczniom, że on sam rozumie temat. Dzięki temu w świadomości uczniów zajdą podobne procesy myślowe, co bez wątpienia zwiększy efekty kształcenia. Krążący w niektórych środowiskach nauczycielskich kult wizualności jest wynikiem braku przygotowania metodycznego nauczyciela. W konsekwencji lekcja z wykorzystaniem filmu przeistacza się w ruchomą galerię poszczególnych ujęć i sekwencji, które tylko swoim migotaniem zwracają uwagę ucznia, a nie na treściach kształcenia. Wynika stąd jasno, że problem efektywności nauczania zależy nie tylko od stopnia wyposażenia szkół w techniczne środki nauczania, ale przede wszystkim od dobrze funkcjonującego systemu kształcenia i dokształcania kadry nauczycielskiej.

Doceniając range problemu Ministerstwo Nauki Szkolnictwa Wyższego i Techniki wprowadziło do programu uczelni wyższych kształcących przyszłych nauczycieli nowy przedmiot zwany „Techniczne środki nauczania". W tym też celu powołano do życia nowe jednostki organizacyjne, których zadania skupiają się wokół spraw upowszechniania i stosowania technicznych środków nauczania wśród kadry dydaktyczno-naukowej oraz przyszłych nauczycieli. Na efekty trzeba oczywiście poczekać, jednakże już teraz wielu sceptyków i malkontentów rozważa problem nowej technologii kształcenia w kategoriach finansowej utopii. Ludzie ci nie zauważają, że co roku ponad 600 milionów złotych „wydajemy" na drugoroczność zamiast przeznaczyć je na rozwój tych gałęzi przemysłu, które produkują pomoce naukowe.

I wreszcie nauczyciel, który zawsze będzie pełnił kierownicza rolę w procesie nauczania, powinien zdać sobie sprawę, że wymagania wobec niego będą ciągle wzrastać. Dlatego też wykorzystywanie środków audiowizualnych jest dla niego dobrodziejstwem. Pomijając wzrost efektów kształcenia, trzeba pamiętać, że planowe stosowanie technicznych środków nauczania pozwala zarówno nauczycielowi jak i uczniowi na racjonalniejszą gospodarkę czasem. Wtedy dopiero uzyskane rezerwy czasu mogą być z powodzeniem wykorzystane w realizacji hasła kształcenia ustawicznego.

Potrzebna jest zatem pełna mobilizacja sił i środków, aby przełamać barierę „niemożliwości". Kiedy to się stanie pójdę do „Cezasu" i kupię dowolną ilość kaset do magnetowidu, być może wtedy ujrzę na ekranie telewizora zmodernizowane lekcje języka polskiego, a na wydzielonej części ściany izby lekcyjnej nazwisko konsultanta metodyka obok innych realizatorów, nie tyle oświatowych co dydaktycznych.

JANUSZ MARCHEWA

MAJOWE SPOTKANIA

KONRAD TUROWSKI

ZASUSZONE TULIPANY

Namówił mnie znajomy aktor. Zatelefonował i zapytał znienacka:

— Co robisz w niedzielę po imieninach Zofii?...

Przypuszczałem, że zechce mnie odwiedzić, więc kurtuazyjnie odpowiedziałem:

— Właściwie nic, będę w domu...

— To ja mam dla ciebie propozycję — wyłożył kawę na ławę — **możesz zarobić tysiąc złotych. Za dwa spotkania. Fajnie będzie, ja też pojadę. Dzwonił do mnie dyrektor domu kultury w Z. Błagał, żebym przywiózł jakiegoś dziennikarza na spotkania w niedzielę. Stary, nie odmawiaj, masz przecież auto, a do Z. jest tylko czterdzieści kilometrów. W trymiga załatwimy po dwa spotkania, ty swoje — ja swoje i wracamy do Łodzi. Prosto na kolację do SPATIF-u. Zgadzasz się?**

Powiedziałem: — nie!

— Stary, musisz jechać — nie ustępował. — **Sam przecież mówiłeś, że byłeś na spotkaniu ze studentami i trwało przeszło trzy godziny. Do prostego ludu nie chcesz przemawiać, uważasz że im się nic nie należy? Jeśli tak, to weź pod uwagę mój interes, nawet na bilet nie mam, żeby dojechać, osiągnąłem kompletne dno finansowe. Tylko te spotkania mogą mnie podreperować...**

Uległem.

1

Zgodnie z umową, kilka minut po godzinie 15 podjechaliśmy przed siedzibę Domu Kultury w Z.

— O, już panowie przyjechaliście? — zdziwił się dyrektor. — **Macie jeszcze sporo czasu. Pierwsze spotkanie ma pan** — zwrócił się do mnie — **o godzinie 16, w D. To tylko siedem kilometrów stąd. Droga dobra, smołówka... Może pan się spóźnić... Transmisja z Wyścigu Pokoju kończy się dopiero o godzinie 16,20. Sprawdzałem w gazecie...**

Przypomniały mi się najgorsze opowieści o „zawodowych" prelegentach, którzy całymi latami potrafią np. opowiadać swoim słuchaczom o Brazylii, skrzętnie ukrywając, że byli tam co najmniej 15 lat temu i widzieli tyle co z pokładu polskiego statku stojącego kilka dni na redzie. Albo inni, którzy po powrocie z „orbisowskiej" wycieczki do Japonii krocie zarabiają uważając się za ekspertów obeznanych ze wszystkimi sprawami dotyczącymi kraju kwitnącej wiśni... Pani Lucyna Sumer z łódzkiego „empiku" opowiadała mi, że jeden z takich „prelegentów", w trakcie swego wystąpienia, nagle przerwał wywód i w panice wybiegł z budynku. Wszyscy myśleli, że pewnie sobie przypomniał o nie zakręconych kurkach gazowych w mieszkaniu albo o nie wyłączonym żelazku. Zaczęli się rozchodzić w przekonaniu, że spotkanie się skończyło. Ale prelegent po kilku minutach wrócił. Po prostu wyskoczył na chwilę do kolegi, który prowadził spotkanie w podobnej placówce trzy ulice dalej. Wziął od niego „slajdy"... Demonstrowanie przeźroczy przecież nie tylko uatrakcyjnia imprezę, ale najczęściej skutecznie przykrywa niewiedzę „pana prelegenta", kierując uwagę słuchaczy na kolorowe widoczki...

W gabinecie dyrektora Domu Kultury w Z. zdałem sobie sprawę, że stałem się jednym z takich zapełniaczy rubryk rozmaitych sprawozdań o działalności odczytowej placówek kulturalnych. Utwierdził mnie w tym przekonaniu dyrektor.

— Najważniejsze, że panowie przyjechali — skonstatował. — **Na naszym terenie mamy organizować miesięcznie po cztery spotkania, więc dzięki panom plan będziemy mieli wykonany w stu procentach!...**

Wręczył nam po dwa blankiety z nagłówkami: „umowa-zlecenie" oraz oświadczenie podatkowe i poinstruował:

— Nasza stała stawka za spotkanie wynosi pięćset złotych. Mamy jednak kłopoty z rozliczaniem delegacji. Żeby panowie nie byli stratni, proszę wpisywać w rubrykach „należność" po sześćset złotych. Zgoda? To płacą gminne spółdzielnie, nie będzie żadnych kłopotów. Wypełnione blankiety proszę oddać na miejscu i od ręki otrzymacie honoraria...

— A co wpisać w rubryce „temat"? — zapytałem naiwnie.

— Niech pan wpisze: „jak powstaje gazeta". Wszyscy dziennikarze, którzy do nas przyjeżdżają, wpisują taki temat, a później i tak mówią, co chcą — odrzekł dyrektor wystawiając mimo woli nie najlepsze świadectwo moim kolegom po piórze, którzy dotychczas odwiedzali Z. i jego okolice. Ale tej kwestii umyślnie nie podjąłem. Tym bardziej, że dyrektor kontynuował: **— Na wstępie proszę koniecznie podkreślić, że spotkanie odbywa się z okazji przypadającego właśnie dziś „dnia klubów" w ramach Dni Oświaty, Książki i Prasy. No, oczywiście, mogą panowie dodać, że zaprosił was Dom Kultury** — uzupełnił kokieteryjnie.

Na pożegnanie otrzymałem jeszcze radę praktyczną:

— Po spotkaniu w D. niech pan zapyta miejscowych, to panu wskażą drogę do B. Stamtąd jest niedaleko, jakieś 8—9 kilometrów...

2

Klub Rolnika w D. odnalazłem bez trudu. Usytuowany jest pośrodku rozwlekłej ulicówki. Naprzeciw okazałego kościoła. Trwała jeszcze transmisja z Wyścigu Pokoju, gdy zaparkowałem auto i spostrzegłem, że drzwi pod wielkim szyldem z napisem **„Klub Rolnika"** zawarowane są żelazną antabą z wielką kłódką. Do końca wysłuchałem w samochodzie radiowej relacji z Wyścigu. Nikt jednak się nie pojawił z zamiarem otwarcia klubu. Odczekałem jeszcze kwadrans, ale moje nadzieje, że może zaraz ktoś przyjdzie, okazywały się coraz bardziej złudne. Wreszcie zagadnąłem stojących w grupce przed kościołem młodych ludzi:

— Panowie, nie wiecie czy klub dziś będzie otwarty?

Odpowiedziało mi wzruszenie ramion.

— A gdzie mieszka gospodyni klubu?

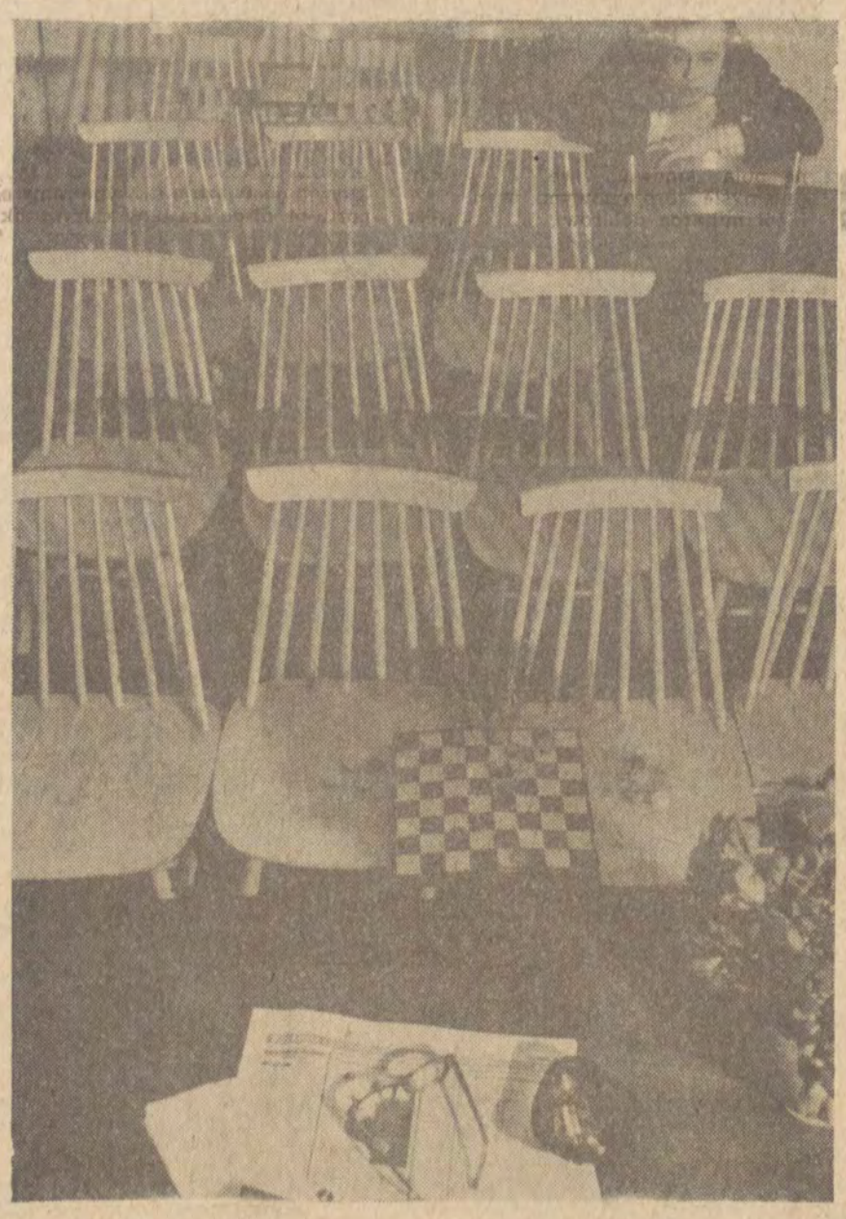

Od razu wskazali: **— Tam, po prawej stronie przed mostkiem, taka brązowa chałupa...**

Gospodyni nie była zadowolona. Odsypiała noc spędzoną na weselu w sąsiedniej wsi. Taka była rozespana, że wzięła mnie za inspektora, który przyjechał na kontrolę. Szybko się ubrała, zabrała klucze od klubu i sadowiąc się w samochodzie zapewniała, że u niej **„wszystko w największym porządku".**

— Zaraz otworzę i panu pokażę, jakie mamy piękne gazetki ścienne — obiecywała.

Z niedowierzaniem zaczęła się na mnie patrzyć, gdy tłumaczyłem, że nie jestem żadnym kontrolerem a dziennikarzem skierowanym do D. na spotkanie w Klubie Rolnika.

— To niemożliwe! — wybuchnęła. **— Nikt mi o tym nie mówił. Gdybym wiedziała, to przecież cała wieś by przyszła! U nas jeszcze nigdy nie było takiego spotkania. Klub mamy dopiero od pół roku... Dziś w naszej wsi jest zabawa. Na pewno przed zabawą każdy by wstąpił na spotkanie...**

Nie fatygowałem gospodyni otwieraniem wielkiej kłódki na drzwiach Klubu Rolnika w D. Za to natychmiast przystałem na jej propozycję, by jechać do Z. i wszystko wyjaśnić...

Na nasz widok dyrektor zareagował z nieukrywanym szokiem:

— Przecież powinien pan być w D.?! Co się stało?! — zawołał.

Gospodyni opowiedziała dlaczego przyjechaliśmy. Niczego jednak nie wyjaśniliśmy ponad to, co od razu można było przewidzieć: ktoś gdzieś zapomniał o powiadomieniu w porę o spotkaniu — gospodyni klubu. Kto i gdzie? — nie zdołaliśmy ustalić...

Dyrektor okazał się dżentelmenem. Odwiózł gospodynię klubu do domu swoim samochodem. Gdy wracaliśmy, zaproponował:

— Wstąpimy do Ch. na spotkanie z pańskim kolegą aktorem. Zobaczy pan, jaka jest frekwencja!...

Rzeczywiście. Sala w siedzibie ochotniczej straży pożarnej wypełniona była po brzegi. Ludzie tłumnie stali pod ścianami. Na koniec nagrodzili prelegenta oklaskami...

Wydawało mi się, że mogę aktorowi pozazdrościć „bombowego" spotkania. Już miałem mu gratulować, gdy wyszeptał mi do ucha:

— Wiesz dlaczego tyle ludzi się zwaliło?

Chciałem odpowiedzieć jakimś niewymuszonym komplementem, ale mnie uprzedził:

— Na afiszach zapowiadających moje spotkanie napisali: SPOTKANIE Z AKTOREM, STANISŁAWEM MIKULSKIM. Teraz rozumiesz?...

Gwoli ścisłości tu podam, że aktor nie zawiódł słuchaczy. Niewiele mówił o swojej pracy na scenie, a dużo o innych, w tym również o Stanisławie Mikulskim, z którym, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, uczęszczał do tej samej szkoły łódzkiej...

3.

Do B. wyjechałem nieco wcześniej, niż to było konieczne. Dyrektor żegnał mnie zapewnieniami, które przyjmowałem sceptycznie:

— Klub w B. ma bogate tradycje, przekona się pan, jaka będzie frekwencja...

Dokładnie o godzinie 18,50 zatrzymałem się przed Klubem Rolnika w B. W schludnie utrzymanej salce z małą sceną siedziało kilkanaście osób. Śmiało podszedłem do kobiety w białym fartuchu. Uwijała się przy napełnianiu szklanek wrzątkiem z dużego, czerwonego czajnika.

— Przyjechałem na spotkanie — powiedziałem.

Kobieta dalej nalewała wodę zupełnie mnie nie dostrzegając. Grzecznie dodałem, że jestem dziennikarzem, który ma tu mieć spotkanie o godzinie 19...

Wtedy dopiero przerwała swoje czynności. Na jej twarzy zobaczyłem grymas nieopisanego zdumienia. Nic nie mówiła. Łapczywie rozglądała się po sali, jakby szukając ratunku w obliczu jakiegoś straszliwego nieszczęścia.

— Proszę pana, ale wie pan, przepraszam bardzo, proszę pana — jej słowa nie mogły się w żaden sposób ułożyć w logiczne zdanie. Trzeba było dłuższej chwili, aż opanowała zaskoczenie i dowiedziałem się, że moje spotkanie w B. miało być o godzinie 16...

— Tak, proszę pana — mówiła — **o godzinie 16 była pełna sala, wszyscy czekali. Była nawet pani dyrektor szkoły gminnej... Może ją jeszcze zawołam, bo przed chwilą wyszła... Czekaliśmy do godziny 18, ale skoro nikt nie przyjechał, ludzie poszli do swoich domów. Zaraz zamykamy klub. Może jednak pan chwilę odpocznie, zrobię panu kawy...**

Czułem się zmiażdżony. Pijąc kawę zastanawiałem się czy rzeczywiście jestem aż taki pechowiec? Nie miałem odwagi rozglądać się po sali. Czułem, że wszyscy na mnie patrzą obwiniając pewnie za zawód, jaki może im sprawiłem przyjeżdżając aż w trzy godziny po terminie zapowiedzianego spotkania... Przyszła pani dyrektor. Przedstawiłem się.

— Jaka szkoda, że pan tak późno przyjechał... Przecież dyrektor z Z. wczoraj dzwonił i mówił, że spotkanie będzie o godz. 16. Przyszło nawet sporo młodzieży. Miałam zamiar zadać im wypracowanie na temat tego spotkania z reporterem. Co teraz zrobić? — oczekiwała mojej decyzji.

— Może choć obecnym złożę usprawiedliwienie? — próbowałem wysondować opinię pani dyrektor.

Przytaknęła, kazała wyłączyć magnetofon odtwarzający melodie grupy „Abba". Zapadła cisza. Wstałem i odważnie powiedziałem:

— Bardzo państwa przepraszam, to moja wina, że magnetofon wyłączono. Chcę się usprawiedliwić, dlaczego dopiero teraz przyjechałem do B...

Opowiedziałem o kłódce na drzwiach klubu w D. i straszliwym splocie nieporozumień. W końcu zapytałem:

— Czy naprawdę państwa interesują szczegóły z mojej reporterskiej kuchni?

Panowała kompletna cisza. Widziałem tylko twarze młodych ludzi. Żadnym gestem nie zdradzali swojej opinii. Ale nikt nie odwrócił się, by kontynuować rozmowę przy stoliku. Zaryzykowałem więc i zacząłem opowiadać o Dniu Ojca i Pani Walewskiej, stolarzu, który dziesięć lat budował samochód i odłamku wyjętym z serca artylerzysty po 30 latach od zakończenia wojny...

Tylko oczy słuchaczy zdradzały ich zainteresowanie lub obojętność. Bądź to błyskotliwie zapalały się w ich oczach iskierki ciekawości, bądź to gasły niedostatecznie podsycane opowieściami...

Nie chciałem nadwerężać cierpliwości przypadkowych przecież słuchaczy. Po 30 minutach zakończyłem swoje wystąpienie zwrotem:

— Czy są pytania?...

Pytań nie było. Za to podeszła dziewczyna i wręczyła mi bukiet tulipanów. Świeżych, orosiałych wieczornym chłodem.

— Bardzo dziękujemy — powiedziała — **nie śmiemy prosić, ale może pan jeszcze kiedyś do nas przyjedzie...**

Dyrektorka szkoły odprowadziła mnie do samochodu.

— Wie pan, ludzie u nas prości i nieśmiali. Choć może tego nie okazują, cieszą się jak ktoś przyjedzie i mogą posłuchać o ciekawych sprawach... Wiele rzeczy ich interesuje, ale nie mają śmiałości zapytać... Prosimy o nas nie zapominać!

4

Na tym skończyła się moja jednodniowa kariera prelegenta. Zostały mi tulipany. Zasuszyłem je pod szkłem na biurku. Na pamiątkę...

U PRZYJACIÓŁ

ZSRR

Problem nowatorstwa w sztuce często podejmuje radziecka prasa literacka. W wypowiedzi dla agencji APN głos w tej sprawie zabrał ostatnio historyk sztuki, Jurij Dmitriejew. „Wszelkie próby poszukiwań formalnych w oderwaniu od treści — stwierdza J. Dmitriejew — nowatorstwo samo w sobie, nieuchronnie zmierza do oderwania się od życia, staje się po prostu formalizmem. Zdaniem Meyerholda, im bardziej jest wyrazista linia ideowa utworu, tym wyższy musi być poziom jego formy. Stąd wniosek, że nawet najbardziej szlachetne idee ukazywane na scenie, przy pomocy nic nie mówiących symboli i dziwacznych zabiegów formalnych, mogą budzić u widza jedynie niedowierzanie i obojętność. Podkreśla się często ogromne znaczenie poszukiwań twórczych dla rozwoju sztuki scenicznej". Autor wypowiedzi przypomina twórczość jednego z wybitnych reżyserów amerykańskich, który uważany jest za eksperymentatora dużego formatu, m. in. zniwelował dystans między aktorem i widzem, w sensie dosłownym i przenośnym. „Tylko, że te poszukiwania — pisze J. Dmitriejew — nie służą nawiązaniu z widzem dialogu o życiu, jego problemach, o tym, co go nurtuje. Seks i przemoc — oto zasadnicze tematy jego spektakli. Cóż więc warte są jego najbardziej interesujące poszukiwania i zabiegi formalne? Pytanie jest retoryczne. Poszukiwanie formy bez treści jest faktyczną dewastacją treści. Forma bowiem — jak powiedział Hegel — określa treść. Ideowo-twórcze nowatorstwo teatru radzieckiego polega właśnie na tym, że na jego scenie pojawił się nowy bohater, nierozerwalnie związany z życiem całego społeczeństwa, człowiek pracy. Nie oznacza to, że teatr radziecki hołduje wyłącznie tematyce produkcyjnej. Ale i w tym przypadku nie najważniejsza jest produkcja sama w sobie, lecz ludzie przy niej zajęci, ich radości i troski. Nasz teatr zajmuje się zarówno problematyką wychowawczą, utrwalania przyjaźni między narodami, krzewi zasady moralności socjalistycznej. Teatr radziecki odznacza się ogromną różnorodnością form".

WRL

Nigdy jeszcze sceny teatralne Węgier nie miały takiego powodzenia jak obecnie. Odnosi się to zarówno do stolicy jak i prowincji. Spektakle grane są przy pełnej widowni. W ubiegłym sezonie przedstawienia obejrzało 5 mln osób i co znamienne, wzrasta wśród nich liczba młodych. Młodzieży i członkom socjalistycznych brygad pracy bilety są sprzedawane z 50-procentową zniżką. Sam budapeszteński teatr „Komedia" ma 30 tys. widzów posiadających stałe abonamenty. Jeszcze większą ilość bywalców z abonamentami ma Teatr Narodowy, gdzie młodzież kupuje bilety tylko po 4 forinty. Podobnie jak w innych krajach teatry na Węgrzech są deficytowe, nawet gdy grają przy pełnej widowni. I tak dopłata państwa do jednego biletu w Teatrze Narodowym wynosi 70 f., w Teatrze „Komedia" — 14 f., a w Teatrze „25" — aż 110 forintów.

Wszystkie teatry węgierskie występują rocznie z 200 premierami, z czego około 100 to inscenizacje sztuk rodzimych. Ostatnie 5-lecie przyniosło znaczny rozwój dramaturgii węgierskiej, a nawet kilka wybitnych sukcesów, m. in. „Zabawa w koty" Oerkeny'ego, grana na scenach wielu krajów.

Jednym z poważniejszych problemów teatru węgierskiego jest niedostatek kadry aktorskiej z pełnymi uprawnieniami. Jest ich około tysiąca i są przeciążeni pracą, licznymi występami w teatrze, filmie, telewizji, w radio i dubbingu. Problemy te rozwiązuje częściowo Wyższa Szkoła Teatralna i Filmowa, która wypuszcza co roku około 25 dyplomowanych aktorów. Wielu z nich już w chwili ukończenia uczelni znanych jest publiczności, gdyż jako studenci występują w środkach masowego przekazu i teatrze. Prasa węgierska narzeka na stan techniczny teatrów. W Budapeszcie jest np. 25 gmachów teatralnych, gdzie nawet po gruntownym remoncie nie można zastosować urządzeń technicznych, jakich wymaga nowoczesny teatr. Zwraca się także uwagę na brak małych scen przydatnych do eksperymentowania.

PRZEGLĄD PRASY ZAGRANICZNEJ

WZROST EKSPORTU BRONI

Ostatnimi laty pod wpływem agresywnego kursu NATO nabierał rozmachu kompleks wojskowo-przemysłowy krajów wchodzących do Paktu Atlantyckiego. Zbrojeniowe monopole stale rozszerzają światowy rynek zbytu broni, rzucając nań sprzęt wojskowy produkowany w niespotykanej dotąd skali.

Podczas gdy ekonomika Zachodu trzeszczy we wszystkich szwach — pisze komentator **„WELTWOCHE"** — kiedy spadek produkcji, bezrobocie i obniżenie konsumpcji popychają polityków do ekonomicznego izolacjonizmu, produkcja i handel bronią kwitną jak nigdy dotąd. „Pewne rodzaje broni, które jeszcze do niedawna uważano za wymysł naukowej fantastyki, już w bliskiej przyszłości będą stanowić najważniejszą część wyposażenia każdej współczesnej armii" — zapowiada amerykański dziennik „US News and World Report", którego eksperci mogą się pochwalić bardzo bliskimi kontaktami z Pentagonem i właścicielami firm produkujących broń.

Nowe systemy uzbrojenia drożeją z każdym rokiem i jest to jedna z przyczyn eksplozji wydatków wojskowych. Ale tylko jedna z przyczyn, ponieważ podstawowa część dostaw broni z hal fabrycznych europejskich i amerykańskich koncernów przemysłu zbrojeniowego, sprzedawana krajom rozwijającym się, wciąż jeszcze figuruje w wykazie „zwykłych" rodzajów broni. W dużej części są to nawet tzw. „spisane towary" (przede wszystkim z amerykańskich zapasów).

Eksporterem broni nr 1 są Stany Zjednoczone: w ubiegłym roku sprzedały, one broń za granicę za sumę 8 i pół miliarda dolarów. Za nimi idzie Francja z 3 miliardami dolarów (ogólna pula zamówień we francuskim przemyśle zbrojeniowym wynosi 7 i pół miliarda dolarów), Wielka Brytania — 1,5 miliarda dolarów i Włochy ze skromną na razie sumą 250 milionów dolarów (wg oficjalnych danych). Jednakże w zbrojeniowym przemyśle włoskim pracuje ni mniej ni więcej tylko 100 tysięcy ludzi. Z Włoch pozwolono eksportować do krajów z „gorącym klimatem politycznym" takie wyroby przemysłu zbrojeniowego, których eksport z innych krajów, ewentualnych dostawców, jest ustawowo zakazany.

Amerykański dziennik „Time" przytacza wypowiedź pewnego europejskiego handlarza bronią, nie wymieniając jego nazwiska: „Dla mnie najbardziej korzystne są takie transakcje, kiedy sprzedaję jakąkolwiek broń jednemu krajowi, na przykład, Kolumbii, a środki do jej zwalczania sąsiedniemu krajowi, powiedzmy Wenezueli".

Amerykańscy handlarze bronią prowadzą wielką grę na Bliskim i Środkowym Wschodzie (i jeszcze na kilku podrzędnych obszarach). Arabia Saudyjska zaczęła się zbroić i w ciągu dwóch lat jej wydatki w tej dziedzinie wzrosły z 1,8 do 6,3 miliarda dolarów. Obecnie ponad 12 procent globalnego produktu narodowego krajów Bliskiego Wschodu idzie na zbrojenia. Jeśli spojrzeć na problem od drugiej strony, to wskaźniki wyglądają tak: pula broni w ogólnym eksporcie USA wynosi obecnie 19 procent, w Wielkiej Brytanii — 12 procent.

Reguły eksportu broni są wszędzie inne, ale jej produkcja jest procesem, w którym działalność firm w przemysłowo rozwiniętych krajach przeplata się w bardzo złożony sposób. Na przykład Republika Federalna Niemiec, w której eksport broni jest bardzo ograniczony decyzją rządu i pryncypialnie zabroniony do krajów znajdujących się poza obrębem sojuszu Północno-Atlantyckiego, produkuje broń w kooperacji z innymi krajami. Jeśli w ramach NATO uda się urzeczywistnić od dawna planowaną standaryzację systemu uzbrojenia, to pociągnie ona za sobą jeszcze bardziej ścisłą kooperację produkcji.

W ostatnim roku zachodnioniemiecki przemysł zbrojeniowy sprzedał za granicę broń za sumę 180 milionów dolarów. Możliwościami ominięcia ograniczeń eksportowych ta gałąź przemysłu w RFN dysponuje już dzisiaj. Na przykład taki wypróbowany manewr: przemieszczenie produkcji z kraju, w którym obowiązują sztywne ramy eksportu broni do kraju, w którym takich ram nie ma. Zachodnioniemieckie firmy występowały już jako poddostawca firm innych krajów NATO, kiedy w końcu lat 60-tych nastąpiły dostawy do Izraela 12 szybkobieżnych kutrów rakietowych.

Fabrykanci i politycy usprawiedliwiają zagraniczne dostawy tym, że wyposażenie własnej armii w broń krajowej produkcji będzie zagwarantowane tylko w tym wypadku, jeśli zamówienia będą składane stale, nieprzerwanie. A ponieważ każda armia może składać duże zamówienia tylko co pewien — stosunkowo dłuższy — okres czasu, przeto utrzymanie przemysłu zbrojeniowego na określonym poziomie można zapewnić tylko przez opanowanie rynków poza granicami własnego kraju. Konsekwencją tych aktywnych poszukiwań nowych rynków zbytu broni jest tylko wydłużenie spirali wyścigu zbrojeń.

Specjalista z amerykańskiego tygodnika **„FORTUNE"** pisze: „Korporacja „Grumman Aircraft Engineering", bez której nie można sobie wyobrazić bojowej historii lotnictwa morskiego USA, przeorientowała się obecnie na rozszerzającą się sferę amerykańskiego eksportu bronią, poszukując dalszych zamówień. Dzisiejszy, niemal rekordowy portfel wojskowych zamówień kompanii na sumę 1,9 miliarda dolarów, zapewnia jej pełną produkcję na najbliższych kilka lat.

Kiedy latem 1973 roku szach Iranu przybył do Waszyngtonu, „Grumman" zorganizował na złość konkurentom wielką imprezę spektakularną — pokazowe loty swego samolotu „F-14". Przedstawiciele kompanii przybyli do bazy lotniczej przywożąc ze sobą uszyty na miarę szacha kombinezon lotniczy z jego rodzinnym herbem, a także ofiarowali mu specjalnie dla niego skonstruowany autobus. Koniec końców Iran zakupił samoloty „F-14". Był to sukces kompanii „Grummana".

Transakcja kompanii z Iranem, wartości ponad 1 miliarda dolarów, przewiduje o wiele więcej niż tylko dostawę 80 zamówionych samolotów, Iran zakupi bowiem także części zamienne. Ponadto kraj ten zamierza wydać jeszcze około miliarda dolarów na zakupienie silników i dodatkowego wyposażenia. Kompania liczy na to, że jednym z potencjalnych nabywców jej samolotów jest Arabia Saudyjska, która nie lubi pozostawać w tyle za Iranem. Obecnie „Grumman" wysłał swoich przedstawicieli do Rijadu.

Bliższa jest perspektywa eksportu samolotów nowego typu — „E-2C". Izrael zamierza kupić co najmniej cztery takie latające stacje radiolokacyjne, żeby obserwować obszar powietrzny między Kairem a Damaszkiem. Przedstawiciele kompanii spodziewają się także znacznych zamówień od Japonii. Będzie to kulminacją dziesięcioletnich starań kompanii i nakładów w sumie 2 i pół miliona dolarów, wydanych na delegacje do Japonii i utrzymywanie stałego przedstawiciela w Tokio.

Publicysta mediolańskiej **„PANORAMY"** informuje, iż w żadnych oficjalnych dokumentach nie sposób znaleźć choćby śladu po nie kończących się przyjazdach irańskich oficerów, szkolących się we Włoszech w obsłudze dopiero co zakupionej broni, szejków księstw leżących nad Zatoką Perską gotowych do zapłacenia miliardów za urządzenia radiolokacyjne i przemyślne bronie artyleryjskie z którymi nie umieją się nawet obchodzić, malowniczych awanturników-kosmopolitów w rodzaju wytwornego Juliana rodem z Jamajki, znanego handlarzom broni połowy świata pod pseudonimem „Czarnego Orła". Nie ma także śladu po osnutych mgłą tajemnicy zamówieniach na karabiny i materiały wybuchowe, otrzymywanych przez dziesiątki eksportowo-importowych firm handlujących bronią i działających we Włoszech w całkowitej tajemnicy.

We Włoszech, pozwala lub zabrania sprzedawania rakiet, pistoletów i czołgów — komitet uzbrojenia ministerstwa spraw zagranicznych. Oficjalnie komitet kieruje się zasadą nie wciągania Włoch do konfliktów, w których Włochy zachowują neutralność. Ale pod naciskiem kompanii zbrojeniowych prawie zawsze wydaje się zezwolenia na sprzedaż tzw. broni defensywnej, więc urządzeń radiolokacyjnych, aparatury elektronicznej, śmigłowców i samolotów, ale bez uzbrojenia. Stwarza się przy tym pozory niewiedzy, że w samolotach typu „MB-326", sprzedanych Republice Południowej Afryki jako maszyny ćwiczebne, zainstalowano odpowiednie urządzenia i karabiny maszynowe zaraz po ich dostawie na miejsce przeznaczenia. Najbardziej rozpowszechnionym wybiegiem, praktykowanym przez handlarzy bronią, otrzymujących zamówienia z krajów na które nałożono embargo, jest eksport rakiet, pistoletów i broni automatycznej do jednego z krajów NATO, lub do jednego z państw, z którym handel bronią nie jest zabroniony. Stąd ładunki z bronią kieruje się pod właściwy adres.

Zbrojeniowe koncerny RFN — pisze komentator polityczny **„Deutsche Volkszeitung"** w Düsseldorfie — dążą do włączenia się do międzynarodowego byznesu. W Bonn liczy się na to, iż ustawa o kontroli eksportu dla celów wojskowych z 1961 roku, która reglamentuje dostawy uzbrojenia z RFN zostanie zmieniona.

Jeśli przestudiować zamówienia Bundeswehry złożone w przedsiębiorstwach RFN, to staje się jasne, iż wszyscy starzy spekulanci bronią także i dziś mocno siedzą w siodle. W 1974 roku Bundeswehra złożyła około 9 tysięcy zamówień w 2500 firmach na ogólną sumę 4,3 miliarda marek. Rozumie się samo przez się, że koncerny Flicka i wielkie banki partycypują w podziale zamówień. O ile wydatki wojskowe w 1970 roku wynosiły 20,4 miliarda marek, o tyle do 1976 roku wzrosły one do 31,8 miliarda marek. W tym wypadku chodzi o bezpośrednie wydatki wojskowe.

Tutaj znów wypływa nazwisko przewodniczącego Unii Chrześcijańsko-Społecznej (CSU) — Franza Josefa Straussa, który, jak nikt inny, jest zamieszany w skandaliczne operacje wojskowo-przemysłowego kompleksu RFN. Wysuwane przeciwko Straussowi zarzuty o korupcję są zarzutami nie tylko pod adresem reakcyjnego polityka, lecz jednocześnie pod adresem człowieka, powiązanego jak najbardziej blisko z przemysłem zbrojeniowym. Szerokie kontakty z koncernami zapewniły mu stanowisko członka zarządu największego w Niemczech Zachodnich koncernu zbrojeniowego „MBB".

Dziś w zbrojeniowym przemyśle Zachodnich Niemiec pracuje 200 tysięcy ludzi. Biorąc jednak pod uwagę także inne firmy pracujące dla Bundeswehry, można uznać, że 500 tysięcy ludzi, bezpośrednio lub pośrednio, pracuje dziś w przemyśle zbrojeniowym RFN.

JERZY CZECH

WIZYTA WAŻNA NIE TYLKO DLA DWUSTRONNYCH STOSUNKÓW

W GENEWIE, DAMASZKU I MOSKWIE

Edward Gierek składa oficjalną wizytę w Republice Federalnej Niemiec. Jak w przypadku każdego dialogu na najwyższym szczeblu — tak również ten budzi zainteresowanie szerokiej opinii publicznej. Może nawet w większym stopniu niż inne. Uzasadnia to fakt, że przez długie lata różne koła polityczne w RFN odmawiały uznania realiów politycznych i terytorialnych, w rezultacie czego proces normalizacji stosunków między Polską i RFN rozpoczął się późno i przebiegał z przeszkodami.

Zapoczątkowany układem z grudnia 1970 roku o podstawach stosunków między obu państwami zdynamizowany został latem 1975 roku — w następstwie wielogodzinnego spotkania Edwarda Gierka z Helmutem Schmidtem tuż po zakończeniu Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie.

Uzgodnienia z Helsinek znalazły swe wierne odbicie w pakiecie porozumień, podpisanych w październiku ub. roku w Warszawie, a następnie ratyfikowanych przez obie strony.

W RFN ratyfikacja poprzedzona została ostrą walką polityczną, w której opozycja nie kwestionowała wprawdzie potrzeby postępu, w normalizacji — jednakże dawała wyraz swemu negatywnemu stosunkowi do treści porozumień. Sytuacja — przypomnijmy — o tyle była złożona, że w drugiej izbie parlamentu — Bundesracie te właśnie koła polityczne mają liczebną przewagę. Ostatecznie zwyciężyła, dyktowana rozsądkiem racja polityczna i porozumienia weszły na drogę wprowadzania w życie.

Pozwoliliśmy sobie na przypomnienie tych faktów, gdyż dopiero na ich tle jest możliwe określenie stanu wzajemnych stosunków obecnie. Tylko bowiem w warunkach przełamania impasu, jaki nie z naszego powodu miał miejsce, mogło dojść do wizyty Edwarda Gierka w Bonn.

W komentarzu na łamach „Westfaelische Runchau" jego autor snuje analogię do podróży gen. de Gaulle'a w 1962 roku, podkreślając, że ówczesny przydent Francji przybył do Bonn dopiero wówczas, gdy powstały warunki ułożenia stosunków między Francją i RFN. Z tej analogii wyprowadza wniosek co do wagi obecnej wizyty.

Minęły już lata od momentu, kiedy poza zachodnią granicą Polski powstało pierwsze demokratyczne i pokojowe państwo niemieckie — Niemiecka Republika Demokratyczna. Szybko stosunki między nami ułożyły się nie tylko na zasadach dobrego sąsiedztwa, ale także przyjaźni i braterskiej, wciąż rozszerzającej się współpracy. Jesteśmy członkami tej samej wspólnoty — krajów socjalistycznych. Drugie państwo niemieckie — Republika Federalna Niemiec ma odmienny ustrój polityczny. **Nie powinno to jednak stanowić przeszkody**, tak, jak w przypadku stosunków Polski z Francją, krajami Beneluksu, skandynawskimi, czy też wielu innymi, **aby nasze kontakty rozwijały się i umacniały z pożytkiem nie tylko dla bezpośrednio zainteresowanych, ale i całej Europy.**

W rozmowie, poprzedzającej wizytę, Edwadr Gierek powiedział grupie dziennikarzy zachodnioniemieckich, że jego wyjazd do RFN podyktowały dwa główne motywy: **dążenie do pełnej normalizacji wzajemnych stosunków i rozwoju obustronnie korzystnej współpracy oraz wola realizacji doniosłych postanowień Aktu Końcowego ubiegłorocznej konferencji helsińskiej.**

Te dwa cele nie tylko nie są rozbieżne, ale ściśle się zazębiają. Budowa trwałego pokoju i bezpieczeństwa narodów prowadzi przez ułożenie normalnych stosunków między państwami, przy czym przez pojęcie: normalne rozumieć trzeba także takie, które zapewniają współpracę gospodarczą, naukowo-techniczną, kulturalną... Rozwojowi kontaktów w tym kierunku służyć będzie na pewno trwająca wizyta Edwarda Gierka w RFN. Do tematu jeszcze powrócimy w następnych komentarzach, a w bieżącym poświęćmy jeszcze nieco uwagi innym wydarzeniom.

W ub. tygodniu **wznowione zostały radziecko-amerykańskie rozmowy w sprawie ograniczenia strategicznych zbrojeń ofensywnych.** Stało się to niemal nazajutrz po zawarciu porozumienia o wykorzystywaniu podziemnych wybuchów jądrowych do celów pokojowych, któremu to porozumieniu poświęciliśmy dużą część poprzedniego komentarza. Zdaniem obserwatorów, dobry to prognostyk dla nowej rundy rokowań.

W rejonie bliskowschodnim wydarzeniem tygodnia była **wizyta premiera rządu ZSRR — A. Kosygina w Syrii,** w toku której oba kraje potwierdziły gotowość dalszego współdziałania w celu osiągnięcia całkowitego uregulowania sytuacji w tym rejonie świata. Uznały one, że najodpowiedniejszym forum dla takich przedsięwzięć jest konferencja genewska, która powinna wznowić swe obrady przy udziale Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Rozmawiające strony wyraziły także wspólny niepokój przedłużającym się kryzysem w Libanie, któremu towarzyszy rozlew krwi.

Uwagę obserwatorów zwróciła również **wizyta w Moskwie portugalskiego ministra Spraw Zagranicznych — Ernesto Melo Antunesa.** Fakt, że stanowiska ZSRR i Portugalii w wielu problemach międzynarodowych są zbieżne, a Portugalia opowiada się za dalszym wielokierunkowym rozwojem stosunków z ZSRR komentowany jest w kontekście zbliżających się wyborów prezydenckich (27 czerwca). Podkreśla się, że wynik tych wyborów nie może zmienić stanowiska Lizbony do Związku Radzieckiego, którego polityka odprężenia cieszy się na krawędzi Europy pełnym poparciem.

W. SŁAWSKI

ESTRADA

HISTORIA KTÓRĄ ZNAMY

Piotr Janczerski stanowi w polskiej sztuce estradowej zjawisko znaczące. Nic więc dziwnego, że na premierę jego nowego programu zjechała do Częstochowy duża grupa dziennikarzy z całej Polski. Najpierw jednak wyjaśnienie, dlaczego do Częstochowy. Otóż program „Story of Pop" powstał co prawda pod patronatem Domu Środowisk Twórczych w Łodzi, ale przy pomocy Wojewódzkiej Agencji Imprez Artystycznych w Katowicach, która nie zawahała się zainwestować w przygotowania „Story" sporych pieniędzy. Stąd więc premiera w częstochowskiej Filharmonii i pierwsze tournée artystyczne programu po ziemi Śląska i Zagłębia.

Nowy, piąty program Bractwa Kurkowego skonstruował Piotr Janczerski w sposób niezwykle interesujący. Rozpoczyna go przypomnienie głośnych przebojów tego artysty, aby w dalszej części zaprezentować nowe utwory. Myślę, że wiele z nich będziemy długo pamiętać. Mnie osobiście szczególnie utkwiły w pamięci — „Ostatnie tango naszej kamienicy", trochę przewrotne acz bardzo liryczne, wspaniała „Burza" oraz „Na karuzeli"...

Piotr Janczerski dokonał także w swoim nowym programie zabiegu, który niektórzy uznali za nieco ryzykowny, a nawet znamionujący regres twórczości tego artysty estrady. Otóż Janczerski stworzył w „Story of Pop" coś w rodzaju antologii znanych, klasycznych i historycznych już przebojów światowych. Przypomniał najgłośniejsze utwory Billa Haleya, Elvisa Presleya, Beatlesów, Paula Anki, Rolling Stonesów, Boba Dylana, Animalsów, Jimmy Hendrixa, aż po „Waterloo" zespołu Abba.

Czyż można uznać ów zabieg za swego rodzaju „podpieranie się" estradowymi „pewniakami", przebojami sprawdzonymi przed publicznością i krytyką? Absolutnie nie odniosłem tego wrażenia. Biografia artystyczna Piotra Janczerskiego upoważnia go do opracowania takiej estradowej antologii. Jest to zresztą, po programach i płytach „Polskie dzwony", po pastorałkach, po koncertach „Życie, Miłość, Folk", po stworzeniu wreszcie całego stylu reprezentowanego w pierwszym okresie zespołu „No To Co" — poszerzeniem genre'u Janczerskiego i jego grupy.

Co ważniejsze warunki wokalno-muzyczne i, rzekłbym, lingwistyczne — upoważniały Janczerskiego do podjęcia tej udanej próby koncertu będącego katalogiem światowej estradowej klasyki. Wcale nieprzypadkowo Piotr Janczerski spotkał się na konferencji prasowej po premierze z pytaniem o playbacki. A playbacków w koncercie nie było, tylko po prostu wykonania światowych przebojów były tak doskonałe, tak czyste muzycznie i wokalnie, że widz ma wrażenie obcowania z autentykiem, z oryginałem. Świadczy to o perfekcji i ogromnych możliwościach wykonawczych „Bractwa" nie ustępujących liderom światowej estrady.

„Story of Pop", czyli „Historia, którą znamy" jest pięknym koncertem, który ma szansę przewędrować przez estrady całego kraju. Pracowano nad nim wiele miesięcy i dziś jest to program zapięty na przysłowiowy ostatni guzik, program, w którym wszystkie elementy — od koncepcji całości po scenografię i światło (będące zresztą integralną częścią scenografii) — stanowią spójną, jednorodną artystycznie całość.

JERZY WILMAŃSKI

OBYCZAJE

„FUTBOLISTA BONIEK" i INNI

Dalszy ciąg ze str. 1

nie. Po „srebrnej drużynie" pozostały tylko wspomnienia, a jej bohaterowie którzy zadziwiali niegdyś sportowy świat, znaleźli się — jak to formułuje Krzysztof Mętrak — **„w sytuacji przecenionego, przechodzonego towaru"**. Co gorzej, nie ma też ich następców, bo nikt wcześniej o tym nie pomyślał, a codzienne klubowe życie nie sprzyja widać kształtowaniu się piłkarskich talentów. Jak się który pokaże, to zaraz wszyscy razem postarają się, aby szybko znikł. Bierze się to z niebywałego uwielbiania u nas przeciętności.

Trudno więc dziś pisać dobrze o piłkarzach, skoro sami się podkładają, skoro zawodzą i sami dostarczają tematów do krytycznych uwag. Oto jak donosi nagle PAP w Elblągu niecodzienny finał miał mecz między miejscową Olimpią a gdańską Lechią.

„Obserwujący spotkanie w charakterze widza — donosił PAP — **trener pierwszego zespołu Lechii Grzegorz Polakow (drużynę gości prowadził w tym meczu jej opiekun trener Rogocz) polecił gdańszczanom opuścić boisko i nie kontynuować gry. Zapytany o przyczyny swej decyzji G. Polakow oświadczył: — Ja postanowiłem o zejściu drużyny z boiska. Nie zgadzam się bowiem z decyzją upomnienia żółtą kartką Radowskiego..."**

Taki czyn trenera, który na mecz pojechał w charakterze gościa, przypomina najgorsze czasy szlacheckiej demokracji, kiedy „szlachcic na zagrodzie równy był wojewodzie" i mógł sobie wołać: „VETO!" Słusznie więc zrobił **Janusz Atlas**, który nieodpowiedzialny wybryk Grzegorza Polakowa napiętnował ostrym piórem w 16 numerze **„SZPILEK"**:

„Trener drugoligowej jedenastki, p. Polakow pojechał całkiem prywatnie do Elbląga na mecz rezerw Lechii z miejscową Olimpią. Gra przypominała zapasy wolnoamerykańskie i sędzia zmuszony był często interweniować. W końcu po faulu na polu karnym podyktował „jedenastkę" przeciwko Lechii. Gospodarze zdobyli gola i prowadzili 1:0. Nie podobało się to p. Polakowowi i postanowił on ukarać arbitra. Wszedł więc na boisko i kazał piłkarzom Lechii na znak protestu zejść z placu. Był to pierwszy wypadek w historii piłki nożnej w naszym kraju, kiedy ktoś z zewnątrz zabrania zespołowi kontynuowanie meczu, i choćby z tego powodu winniśmy to odnotować. (...)"

Chciałbym tu podkreślić dwa fakty. Otóż pierwszy — że p. Polakow otrzymał imię Grzegorz i nie ma żadnych podstaw do tego, aby go p. Atlas, który — jak to widnieje pod notatką w „Szpilkach" — ma na imię Janusz, łaskawie tego imienia pozbawiał. A zwracam uwagę na tę manierę nie bez kozery. Ale przedtem drugi fakt. Mianowicie ten, że **nr 16 „Szpilek" nosi datę 18 kwietnia 1976 roku.**

Zwracam uwagę na te dwa fakty dlatego, że **12 kwietnia 1976 roku** w tygodniku **„PIŁKA NOŻNA"** również **Janusz Atlas** pisze na ten sam temat zupełnie coś innego. I mimo że w „Szpilkach" widnieje taki sam podpis, jak również w „Piłce Nożnej", to jestem w rozterce, czy pisała to jedna i ta sama osoba, czy też dwie różne, które się tak tylko nazywają?

Co bowiem pisał **Janusz Atlas** z „Piłki Nożnej" nr 16 tego pisma? W artykule **„Walkower" Janusz Atlas** z „Piłki Nożnej" pisze mianowicie, co następuje:

„Kto kazał zerwać mecz? To jest pytanie podstawowe mojego w Lechii wywiadu. Na próżno jednak oczekuję odpowiedzi. Wiem tylko tyle, że nie uczynił tego trener Polakow. Wiem od niego samego. Owszem powiedział kierownikowi sekcji piłkarskiej Olimpii Mieczysławowi Dymczakowi, że to on, ale powiedział na „odczepnego"."

I dalej **Janusz Atlas** z „Piłki Nożnej" wyjaśnia, że Mieczysław Dymczak, który jest nie tylko kierownikiem sekcji piłkarskiej Olimpii, ale też elbląskim korespondentem PAP, był — według opinii Grzegorza Polakowa — **„po paru głębszych i robił się natrętny"**. Mieczysław Dymczak, usłyszawszy wyjaśnienie Grzegorza Polakowa, które było oświadczeniem prywatnym, przekazał je w Polskę, jako „autoryzowany wywiad".

„Przyjmuję to wyjaśnienie — pisze w „Piłce Nożnej" Janusz Atlas — **ale ciągle brak mi odpowiedzi na pytanie: skoro nie Polakow, to kto?"**

Tak więc **Janusz Atlas** z „Piłki Nożnej" stara się dojść prawdy, obiektywnie przekazuje relację „obwinionego", krytykuje nie tylko postawy ludzi odpowiedzialnych za wychowanie piłkarzy, ale też szuka mechanizmów, które dopuszczają samowolę i warcholstwo. **„Oj, źle się bawicie Panowie Lechici!** — pisze. — **I głupio."** Ale **Janusz Atlas** ze „Szpilek" wie już wszystko, nie ma żadnych wątpliwości. Wali prosto z mostu.

Przyznaję zupełnie szczerze, że po lekturze tego, co najpierw **Janusz Atlas** napisał w „Piłce Nożnej", a później **Janusz Atlas** w „Szpilkach" zupełnie już nie wiem, jak to było z tym meczem Lechii z Olimpią w Elblągu. Ale to tylko moja wina, bo nikt mi nie kazał czytać i **„Szpilek"** — które bardzo lubię i cenię — i **„Piłki Nożnej"**. Nie przestałem jednak nadal czytywać i jednego i drugiego tygodnika i zrobiłem bardzo dobrze, bo dzięki temu dowiedziałem się o zupełnie innej „aferze".

Najpierw katowicki **„Sport"** doniósł o incydentach, jakie miały miejsce na poznańskim stadionie w meczu między tamtejszym Lechem a łódzkim Widzewem. **„Gazeta Zachodnia"** —jak o tym poinformowało nieocenione **„Coś z życia"** tygodnika **„Polityka"** — doniosła **„ze zgorszeniem, że Boniek Zbigniew, kadrowiec narodowy w piłce nożnej, na oczach reportera dziennika żądał od dziecka pieniędzy za autograf. „Gazeta" wskazuje** — donosi nadal „Coś z życia" — **że Włodzimierz Lubański podpisywał za darmo i jeszcze się bezpłatnie uśmiechał".**

Maciej Rybiński w „Szpilkach" złapał natychmiast temat i szybko go skomentował:

„Prasa sportowa napadła ostatnio Zbigniewa Bońka, piłkarza, za to, że odmówił udzielenia autografów motywując to ich wysoką ceną."

Coś mi się tu wprawdzie nie zgadzało, bo według relacji **„Coś z życia"**, informującego za **„Gazetą Zachodnią"**, chodziło o jeden autograf, ale nie bądźmy drobiazgowi. Poczytajmy lepiej, co na ten temat ma do powiedzenia **Maciej Rybiński** ze „Szpilek". Pisze on:

„Futboliście Bońkowi chodziło z pewnością o koszty jego podpisu, a to nie to samo. Boniek obliczył sobie zapewne nakłady państwa na jego podstawowe wykształcenie, które był uzyskał, a w skład którego wchodzi i sztuka pisania. Nie byłoby słuszne trwonienie państwowych pieniędzy na takie głupstwa, jak zbieractwo autografów, i piłkarz Boniek wykazał tu słuszną, obywatelską postawę.

Na szczęście pogłoski o podjęciu przez futbolistę Bońka dalszej edukacji są mocno przesadzone i kolejna rewaluacja jego autografów nam nie grozi."

Bardzo cenię sobie **„Szpilki"** i uważam, że uprawianie satyry nie jest rzeczą łatwą i napotyka liczne i różne przeszkody, bo choć **„Prawdziwa cnota krytyk się nie boi"**, to ludzie cholernie nie lubią, jak się ich krytykuje. Ale **„Szpilkom"** już nie jeden i nie dwa razy udało się celnie trafić w różne nasze dość jeszcze powszednie przypadłości. Coś mi się jednak wydaje, że niektórzy autorzy pisujący do tego tygodnika zbytnio się zapędzili za celnymi sformułowaniami, zostawiając po drodze fakty na boku.

Tak się jakoś dziwnie złożyło, że kiedy **Maciej Rybiński** zarzucał Zbigniewowi Bońkowi nieuctwo **(„Szpilki" nr 21 z 23 maja 1976 roku)**, ten był zdał maturę. Ale to w końcu drobiazg, o którym **Maciej Rybiński** nie musi wiedzieć, a który jest prywatną sprawą „futbolisty Bońka". Ale też tak się dziwnie złożyło, że **Zygmunt Lenkiewicz** z „Piłki Nożnej" zainteresował się doniesieniem katowickiego **„Sportu"** o incydentach na poznańskim boisku. Poszedł śladem tej notatki i wszystko, co odkrył opisał w reportażu pt. **„W 88 minucie i później" („Piłka Nożna" nr 21 z 24 maja 1976 roku).**

Najpierw może sprawa owego autografu. Oto, co sam Zbigniew Boniek powiedział na ten temat reporterowi **„Piłki Nożnej"**:

„Nie wiem skąd się to wzięło, jakobym miał powiedzieć — autograf kosztuje. Nie przyszłoby mi nawet coś takiego do głowy. Odmówiłem podpisywania, bo byłem maksymalnie zdenerwowany. Wszystko to widziała moja narzeczona, rozpłakała się. Źle zrobiłem odmawiając, powinienem podpisać."

Foto: Archiwum

Ale — pisze dalej **Zygmunt Lenkiewicz:**

„Sekretarz Lecha, Artur Filipowski stanowczo jednak twierdzi, że na własne uszy słyszał odpowiedź: „autograf kosztuje"."

I to byłoby na tyle w sprawie autografu. Tylko, że sprawa ta stała się swoistą zasłoną dymną, za którą kryje się coś więcej niż chamskie odezwanie się Zbigniewa Bońka. Obszernie pisze o tym **Zygmunt Lenkiewicz** w **„Piłce Nożnej"** we wspomnianym reportażu i myślę, że warto wspomnieć o tym, dla tych Czytelników, którzy **„Piłki Nożnej"** nie czytają i mogą mieć na całą sprawę zupełnie inny pogląd.

„Tytułem wprowadzenia" Zygmunt Lenkiewicz daje takie wyjaśnienie do całego meczu w Poznaniu:

„Dla rozpaczliwie wówczas broniących się przed spadkiem poznaniaków był to mecz niezwykle ważny. Nikt, absolutnie nikt nie dopuszczał do siebie myśli, iż spotkanie może się nie zakończyć zwycięstwem Lecha. Nie dojdzie się już dzisiaj, czy tę pewność wspierały działania innego typu. W każdym razie powszechnie sądzono, że piłkarzom Widzewa nie będzie się chciało „żyłować" w tym meczu."

Ale stało się inaczej. I to wprowadziło „nerwowość" wśród poznaniaków. Nie tylko na boisku zresztą.

„Rozczarowanie postawą swych ulubieńców zaczyna się przeradzać — pisze Zygmunt Lenkiewicz — **w coraz głośniej okazywaną niechęć do zespołu Widzewa, zwłaszcza do najlepszego na boisku jego zawodnika, Zbigniewa Bońka."**

Widzew prowadził wtedy 1:0. Wreszcie Roman Jakóbczak zbiera się w sobie, przypomina swoje najlepsze umiejętności i strzela wyrównującą bramkę. Wtedy trener Lecha — jak to pisze Zygmunt Lenkiewicz —wprowadza na boisko Rogalskiego. Jak ten zawodnik ma na imię, tego Zygmunt Lenkiewicz nie wie, ale mniejsza z tym. Wie natomiast o nim coś ciekawszego.

„Ponieważ nie posiada (Rogalski oczywiście — przyp. L. B.) **niezbędnych do tego** (do gry przeciw Zb. Bońkowi — przyp. L. B.) **umiejętności piłkarskich, ucieka się do sposobów niewiele mających wspólnego z futbolem. Chce po prostu, by Boniek wyprowadzony z równowagi, przestał grać i wdał się z nim w bezpośredni pojedynek typu: kto kogo mocniej i skuteczniej kopnie, celniej opluje, wulgarniej i dosadniej wyzwie. Łodzianin nie daje się sprowokować..."**

Zresztą Zbigniew Boniek też gra ostro, chce, aby każdorazowo jego przeciwnik **„nabrał szacunku dla twardości jego wejść"**. W 88 minucie tego, pełnego nerwowej atmosfery meczu Zbigniew Boniek i Andrzej Turek — bramkarz Lecha — skaczą do piłki.

„W powietrzu — pisze Z. Lenkiewicz — **nastąpiło zderzenie, przy czym bramkarz podobno dostał głową w szczękę. Obaj upadli na ziemię. Pierwszy podniósł się Turek, chwilę mierzył i z dużą siłą uderzył piłką w głowę właśnie wstającego Bońka. Ten padł ponownie. Trenerzy Lecha twierdzą, że futbolówka trafiła łodzianina w plecy. Podobnego zdania jest również sędzia tych zawodów. Odmiennego natomiast jest kwalifikator tego spotkania, który w sprawozdaniu pisze o poważnym błędzie pana Greinera — zamiast czerwonej pokazał tylko żółtą kartkę Turkowi."**

Tu ważny szczegół z wizyty **Z. Lenkiewicza** w Poznaniu. Nie udało mu się spotkać i porozmawiać z Andrzejem Turkiem, gdyż — jak pisze — **„podobno nie było możliwości zawiadomienia go"** o tym, że w klubie odbywa się spotkanie z reporterem **„Piłki Nożnej"**.

Potem był jeszcze incydent z lekarzem Widzewa, który miał obowiązek przyjść z pomocą leżącemu Bońkowi, a którego nie dopuszczono do piłkarza. Później były jeszcze zajścia w tunelu, którym piłkarze schodzili z boiska.

„Atmosfera była bardzo napięta — pisze dalej Z. Lenkiewicz — **bowiem zejściu piłkarzy z boiska towarzyszyły** wyzwiska, gwizdy, plucie, rzucano nawet kamieniami. Rąbka tajemnicy uchylił wiceprezes Widzewa, Ludwik Sobolewski. Stwierdza on, że właśnie w tunelu trener Białas doskoczył do Bońka i odezwał się do niego bardzo wulgarnie. Nie wytrzymał tego nerwowo bramkarz łodzian, Burzyński i silnie **odepchnął go od kolegi. To stało się — są to już moje przypuszczenia** — (pisze dalej Z. Lenkiewicz) **sygnałem do ogólnego zamieszania. Porządkowi zaczęli szamotać się z zawodnikami Widzewa. Nie trwało to jednak zbyt długo i w końcu piłkarze dotarli do szatni."**

O porządkowych Lecha **Z. Lenkiewicz** wyraża się, że była to **„grupa absolutnie stronniczych kibiców swej drużyny, starających się wszelkimi środkami pomóc jej w zwycięstwie".**

Mnie w tym wszystkim zastanawia jedno: dlaczego piłkarze, działacze i kibice Lecha byli tak bardzo przekonani, że drużyna Widzewa nie będzie grała w tym meczu? Dlaczego mieli za złe Zbigniewowi Bońkowi to, co zrobił na boisku, a co powinien robić na boisku każdy zawodnik, po prostu — grać?

Nie mam zamiaru ani bronić Zb. Bońka za jego odezwanie się w sprawie autografu, jeśli rzeczywiście tak powiedział. Nie mam też zamiaru odmawiać **Maciejowi Rybińskiemu** prawa do wyrażania w **„Szpilkach"** jego sądu na ten temat, gdyby zechciał on tylko bardziej trzymać się faktów, a nie snuć rozważania na temat, który z tą wypowiedzią nie ma nic wspólnego. Ale to już sprawa jego warsztatu. Uważam jednak, że w polskim piłkarstwie dzieją się dużo gorsze rzeczy, o których tak obszernie i rzetelnie napisał **Zygmunt Lenkiewicz**. I błądzenie po marginesach, snucie rozważań na tematy poboczne, zaciemnia obraz, odwraca uwagę opinii publicznej od tego, co się naprawdę na boisku i poza nim dzieje. Wcale nie uważam, że piłkarze są „świętymi krowami", których nie wolno krytykować. Przeciwnie. Po ich ostatnich występach na różnych boiskach należą się im ostre, ale rzeczowe słowa krytyki, jak wszystkim ludziom, którzy partaczą swoją robotę. Ale niech ta krytyka nie wprowadza w błąd.

Foto: W. Parys

LUCJAN BOGUSZ

BIAŁOSZEWSKI

Kto trafia do „serii celofanowej" PIW-u, ten już jest klasykiem. Miron Białoszewski od dawna już przynależy do klasyki współczesnej poezji polskiej. Jak pisze Janusz Sławiński — „zwraca uwagę nie tylko długotrwałość sukcesu, ale też jego równomiernie narastająca intensywność. Od dwudziestu lat, począwszy od „Obrotów rzeczy", które w 1956 roku objawiły jego nazwisko szerszej publiczności, pisanie Białoszewskiego rośnie — można rzec — systematycznie w cenie. Jest wciąż na linii wznoszącej się: nie spowszedniało, przeciwnie — nadal intryguje, już akceptowane, a jeszcze nie oswojone, uznawane, a przecież ciągle jeszcze cieszy osobliwością".

W ciągu tych dwudziestu lat Białoszewski stojący na uboczu sporów literackich, będący jednak ich przedmiotem — zapisał piękne karty współczesnego pisarstwa. Zarówno w poezji jak i w niezwykle oryginalnej prozie czy w dramacie. Debiut miał spóźniony, w związku z czym przypisywano go do „pokolenia „Współczesności", z którym nie łączyła go ani metryka, ani doświadczenia. Łączył go tylko czas startu, ale w gruncie rzeczy należy Białoszewski do generacji Baczyńskiego, Borowskiego, Różewicza. Spóźniony debiut jednak sprawił, że twórczości tego pisarza nie szpecą — jak pisze Sławiński — żadne ślady kompromisu. A to istotnie w sztuce jest ważne, może nawet najważniejsze.

Retrospektywny tom w „serii celofanowej" jest tego dowodem.

Miron Białoszewski „Wiersze". PIW, cena 30 zł.

AFORYZMY

W serii „Aforystyka" ukazało się już kilkanaście tomików — aktualnie najciekawszym jest chyba „Aforystyka dwudziestolecia 1918—1939". Wyboru dokonał Ludwik Bohdan Grzeniewski, prezentując teksty Aleksandra Świętochowskiego, Kazimierza Przerwy-Tetmajera, Feliksa Chwaliboga, Karola Irzykowskiego, Henryka Elzenberga, Stanisława Czosnowskiego i Stefana Napierskiego.

„Aforystów myli się często z kalamburzystami — pisze Grzeniewski — szuka się ich tam, gdzie ich nie ma: pośród dowcipnisiów epoki. Ominąłem panów dowcipnisiów rodem z „Cyrulika Warszawskiego" i ze „Szpilek". Propozycja Grzeniewskiego może się wydać dyskusyjna, ale wystarczy przeczytać ów tomik, aby dojść do wniosku, że autor wyboru miał rację.

Nie ma tu świecidełek myśli i refleksji — jest jakaś zniewalająca powaga i mądrość. Dojrzała mądrość — zwraca nam uwagę Grzeniewski, pisząc: „na ogół aforystyka bywa rezultatem lat dojrzałych, często konkluzją starości". Aforyści międzywojennego dwudziestolecia potwierdzili tę regułę.

„Aforystyka dwudziestolecia", PIW, cena 20 zł.

IŁŁAKOWICZÓWNA

Kolejny tom PIW-owskiej „serii celofanowej" przynosi wiersze Kazimiery Iłłakowiczówny z lat 1912—1959. Dlaczego pominięto kilkanaście ostatnich lat twórczości, nie wiadomo. W przeciwieństwie do wielu tomów tej serii, wyboru wierszy Iłłakowiczówny nie zaopatrzono w żaden szkic krytyczny. Trochę to dziwne zważywszy, że o tej niewątpliwie wybitnej poetce współczesne pokolenie czytelników wie stosunkowo mało.

Obecny tom jest drugim wydaniem wyboru opracowanego przez Pawła Hertza przed kilkunastu laty. Nakład ustalono wysoki — 30 tysięcy egzemplarzy; wydawca liczył się widać z szerokiem odbiorem czytelniczym, szkoda więc, że książki o szkic krytyczny nie poszerzono.

Niemniej jednak jest to tom znaczący, tak jak znaczaca jest twórczość poetycka Kazimiery Iłłakowiczówny. Przypomnijmy tylko, że debiutowała w roku 1904, a więc ponad... siedemdziesiat lat temu. Jej twórczość przynależac do współczesności przynależy także do historii polskiej poezji XX wieku.

Kazimiera Iłłakowiczówna „Wiersze", PIW, cena 25 zł.

WIELKIE WYGRANE

Twórczość argentyńskiego pisarza, Julio Cortazara, jednego z najwybitniejszych prozaików współczesnych, jest dobrze znana polskiemu czytelnikowi. „Gra w klasy", „62. Model do składania", „Historia o Kronopiach"... oraz liczne zbiory opowiadań ciesza się w Polsce zasłużonym uznaniem.

W „Wielkich wygranych" — pierwszej powieści Cortazara (1958) odnajdujemy większość cech charakterystycznych dla jego późniejszych książek. Jej fabuła, pozornie bardzo prosta, daje się jednak odczytywać w sposób wieloznaczny.

Historia rejsu na statku pasażerskim (właśnie owa podróż stanowi „wielką wygraną" na loterii urządzonej dla mieszkańców Buenos Aires) — to świetnie przedstawiony, realistyczny i niemal sensacyjny wątek fabularny, a jednocześnie można tę historię potraktować jako symboliczną przypowieść o ludzkich losach, o niemożności porozumienia się w sprawach zdawałoby się najprostszych, o zachowaniu się ludzi w sytuacjach osobliwych i zaskakujących.

Cortazar — mistrz niedomówień i podtekstów, wciąga czytelnika w perypetie swych bohaterów, nie pozwala im zapomnieć, że każdy człowiek musi ciągle na nowo dokonywać wyboru, określać swą postawę wobec świata.

Julio Cortazar „Wielkie wygrane". Wyd. „Czytelnik". cena 39 zł.

IGRASZKI Z MELPOMENĄ

Właściwie tytuł tej uroczej książeczki brzmi „Igaraszki" — tak bowiem jej autora, Igora Śmiałowskiego, zainspirowała własna córka, mówiąc o „Igraszkach trafu i miłości". Igor Śmiałowski, znany aktor warszawski, od lat pasjonuje się zbieraniem teatralnych anegdot. Wydał już dwukrotnie ich zbiory, drukował je w „Stolicy", „Scenie", a także w „Odgłosach".

Tym razem jednak jest to to samo, lecz inaczej. „Igoraszki z Melpomeny" nie sa bardziej lub mniej bezładnym workiem anegdot, ale podporządkowano je pewnej koncepcji. Otóż Śmiałowski napisał książkę dla młodzieży, przedstawiając sylwetki pionierów polskiego teatru i mistrzów polskiej sceny. Rzecz pisana w stylu Śmiałowskiemu właściwym zawiera oczywiście fure przednich anegdot, ale zawiera też — a może przede wszystkim — podstawowe informacje o dziejach polskiego teatru o jego najwybitniejszych przedstawicielach.

To już nie tylko zabawne historie i zdarzenia, które nieraz mogą tracić wiele ze swego uroku w oderwaniu od epoki. „Igoraszki z Melpomeną" to oczywiście zabawne historie, ale będące pretekstem do powiedzenia wielu rzeczy serio o historii polskiej sceny. Śmiałowski posługuje się obficie literaturą pamiętnikarską i naukową, listami i opracowaniami krytycznymi. Jest to więc bardzo ciekawy, napisany zajmująco i dowcipnie wykład o dziejach polskiego teatru. Wykład kierowany do młodego czytelnika, ale sadze, że lektura ta zainteresuje, ubawi oraz przysporzy wiedzy także starszemu pokoleniu.

Igor Śmiałowski „Igoraszki z Melpomena". Nasza Ksiegarnia. cena 28 zł.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

FOLKLOR ROBOTNICZEJ ŁODZI

Taki tytuł nosi piękna księga wydana przez Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, a sfinansowana przez Urząd Miasta Łodzi. Jest to właściwie pokłosie konkursu, jaki zorganizowano cztery lata temu pod hasłem „Folklor robotniczy". Ale ów folklor pojęty jest w tej księdze tak szeroko, że właściwie mogłaby ona nosić tytuł „Życie robotników łódzkich i ich rodzin w pierwszej połowie XX wieku". Znajdujemy tu bowiem obraz pełnego życia począwszy od zabawy, pracy, świąt rodzinnych, a na najrozmaitszych wydarzeniach skończywszy. Jest to swoiste silva rerum, cenne właśnie poprzez swą różnorodność tematyczną i gatunkową — pisze we wstępie Dorota Simonides.

I rzeczywiście. Mamy w tej księdze opis mieszkań i sposoby kojarzenia małżeństw, wspomnienia o zwyczajach świątecznych i uwagi na temat czasu wolnego, mamy przykłady pogawędek sąsiedzkich, kontaktów towarzyskich i gier oraz zabaw sportowych... Słowem to wszystko, co się składa na szerokie pojęcie życia rodzinnego i towarzyskiego.

Dobrze się stało, że ocalono od zapomnienia te okruchy wspomnień, piosenki i opowieści. To wszystko, co jeszcze parenaście lat temu mogło się wydawać oczywiste i wcale nie „historyczne" — dziś bywa już kategorią historyczną i autentycznym dokumentem.

Książkę ilustrują m. in. zdjęcia Wacława Bilińskiego z głośnego przed laty albumu „Łódź, jaką znam". To także znamienny przykład. Pamiętam jak kilkanaście lat temu co poniektórzy mieli za złe Bilińskiemu ten album, jak zarzucano mu w zacietrzewieniu pogardę dla miasta i fałszowanie jego obrazu... A przecież Biliński był o s t a t n i m, który z taką prawdą i wnikliwością sportretował Łódź, która dziś prawie nie istnieje. Te zdjęcia są dziś dokumentem mijającego czasu, autor zdążył na ostatni moment i dzięki niemu mamy ów piękny album, który trzynaście lat temu tak oburzył Urzędników.

Nie czuję się uprawniony do recenzowania książki — jest to dokument naukowy i nie mnie wyznaczać jego rangę i wystawiać cenzurki. Chcę jednak zwrócić uwagę na fakt, że taka naukowa i dokumentalna praca istnieje, że jest dostępna — jeśli nie w księgarniach, to przynajmniej w bibliotekach.

Bo to wszystko dziś już jest historią. Piszemy w tym numerze o „fajce" zorganizowanej przez Muzeum Historii Łodzi, ale współczesna „fajka" to przecież rekonstrukcja tamtych festynów ludowych sprzed pół wieku. Dobrze jednak byłoby owe stare tradycje ożywić i kontynuować. Mamy film, telewizję, teatry i estradę, ale właśnie owe festyny dzięki swojej „inności" mogą gromadzić tłumy, mogą inspirować c z y n n ą rozrywkę.

A sport? Okazuje się, że tradycje piłki nożnej są w Łodzi bardzo stare, jeszcze z epoki „przedklubowej". Gdy nie było żadnych sportowych stowarzyszeń, istniały „dzikie drużyny".

Wspomina uczestnik owych rozgrywek: „Ciułaliśmy złotówkę do złotówki na zakup oryginalnej piłki (...), wydoroślawszy, aby się bawić szmacianką".

No, cóż, dziś jest także i pod tym względem inaczej. Na pewno lepiej, ale czy zawsze jest lepiej pod względem sportowego ducha rywalizacji i czystości sportowej rywalizacji? O tym już lepiej wiedzą współcześni działacze klubowi. Ale warto przeczytać te wspomnienia z czasów, gdy było biednie, gdy piłka była składkowa...

I w ogóle warto sięgnąć do tej książki, której powstanie zawdzięczamy Bronisławie Kopczyńskiej-Jaworskiej, Jadwidze Kucharskiej, Janowi Piotrowi Dekowskiemu i dziesiątkom łodzian, których czuła pamięć złożyła się na piękny dokument dziejów robotniczego folkloru.

WIDOK

LEWYM OKIEM

SANDAŁ do WYBORU

Pracowite gospodynie wiejskie przed pół wiekiem jak już urządzały generalne sprzątanie chaty, to w programie tego sprzątania musiało być szorowanie podłogi i wszystkich — nielicznych zresztą — mebli: stołów, ław i zydli, skrzyń i półek. Wszystkie te rzeczy były sporządzone z surowych sosnowych desek i bez okresowego szorowania stawały się po prostu brudne albo i bardzo brudne.

Konia rzędem temu, kto pokaże dziś ludzi skłonnych do szorowania czegokolwiek. Podłogi kładziemy z płytek, po których wystarczy przejechać lekko ścierką lub odkurzaczem. Meble... No właśnie, czytałem panegiryczny artykuł na cześć prawdziwie nowoczesnego piękna mebli z surowych desek. Bo wysoki połysk to mieszczaństwo a laminowane płyty to szmira. Artykuł przemilczał jednak wstydliwie fakt że te surowe deski stają się szybko czarne, pełne smug, plam i zacieków. Szwedzi kochają meble z sosny, więc wszyscy powinni je kochać. Warto mieć jednak trochę wyobraźni i pomyśleć także o higienicznej stronie sprawy. Cóż to za nowoczesność bez czystego stołu? Albo z czystym — za cenę częstego mocowania się ze ścierą i ryżową szczotką?

Zresztą nie przepadam za wysokim połyskiem i chciałbym, żeby nam spece wymyślili coś naprawdę ładnego i pod każdym względem praktycznego. Zabawne przy tym, że autorka nader krytycznego artykułu o naszych meblach — oczywiście jak najbardziej słusznego — wskazuje jako przykład do naśladowania przemysł odzieżowy, który „potrafił i pokazał i udowodnił, więc jednak można". Zabawne, bo tylko co czytałem gdzie indziej artykuł przepełniony zarzutami pod adresem odzieżowców, a za to uznający wielkie postępy w produkcji żyletek, gdzie wykazano, potrafiono i udowodniono. No, a o żyletkach to już nie raz mówiono i pisano, że ich początkowa pierwszorzędna jakość coraz to jakby ulegała obniżeniu, w przeciwieństwie do mebli, które są coraz ciekawsze...

Wreszcie nie będzie wiadomo, gdzie szukać wzorców pozytywnych, gdzie negatywnych. Na razie znów od tygodni kolęduję po wszystkich sklepach i domach towarowych w bezskutecznym poszukiwaniu jakiejkolwiek letniej, leciutkiej marynareczki lub wdzianka dla starszego pana, a więc takiego z lekko poszerzonym gabarytem. Na razie Central ma do zaoferowania jeden jedyny wzór sandałów męskich, sklep obuwniczy przy Magdzie nie ma ani jednego wzoru. Uniwersal ma dwa w niepełnej numeracji (chcecie konkretniej? chodzi o dni 27, 28 i 29 maja). Na razie tanie gotowe spodnie może kupić wyłącznie młodzieniec gibki jak ważka, o kibici panny Izabelli Łęckiej. Leżą więc tych spodni całe sterty, a za to przed stoiskiem sprzedającym teksas w metrażu kolejka dwugodzinna, a krawcy spodniarze przyjmują zamówienia z dwumiesięcznym terminem realizacji, czyli na po sezonie. Najbardziej masowy, tani wyrób z bawełny musi być robiony indywidualnie, na miarę, a sklepy z odzieżą pękają w szwach od garniturów po trzy tysiące, też zresztą w niektórych niekompletnych „rozmiarowzrostach".

W sklepie Wólczanki wisi na ścianie rozpięta ładna koszula z krótkimi rękawami. Pytam o taką w moim rozmiarze. — Z krótkimi rękawami nie mamy w ogóle koszul. Żadnych — odpowiada ekspedientka. — To po co tamta wisi i jeszcze dwie podobne obok niej?

Sprzedawczyni odchodzi do innego klienta, bo co ma odpowiedzieć?

Liczne i zastawione kolorowymi drobiazgami sklepy kosmetyczne nie mają w ogóle pudru, a jeśli już się trafi, to albo tylko w paście, albo tylko w kamieniu, a zawsze tylko w jednym odcieniu. Co się nagle stało, nie wiem. Czy puder okazał się niezdrowy, czy trzeba było do niego dopłacać? To się nie psuje, to może i powinno być na składzie zawsze. A może Szwedzi już nie używają pudru i nowoczesna fala antypudrowa idzie przez Europę? Może koszule z krótkimi rękawami niemodne? Może tanie spodnie nienowoczesne?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

ABY TYLKO SZAFA GRAŁA

Skoro jesteśmy na ulicy Piotrkowskiej i zajmujemy się tą, dzieje się w mieście, to zaraz dzielni nasi strażacy rozwieszają nad ulicą Piotrkowską kolorową bieliznę do suszenia. Tym razem wisi ona i suszy się z okazji 8 Łódzkiej Wiosny Artystycznej. W gruncie rzeczy nic nie miałbym przeciw suszeniu bielizny nad ulicą Piotrkowską, gdyby tę bieliznę przedtem dobrze uprano.

Jeden z moich przyjaciół usiłował przekonać mnie, że nie powinienem nic mieć przeciwko kolorowej bieliźnie rozwieszonej nad ulicą Piotrkowską, bo jemu to się podoba, a poza tym tak robią też w innych krajach, gdzie wprawdzie jest inny klimat, ale gdzie też nikt z tego powodu nie wydziwia. Byłbym już skłonny może i nie wydziwiać, gdyby nie tegoroczna pierwszomajowa dekoracja. Była ona pomyślana kompleksowo i może też komuś nie do końca się podobała, ale był to dobry pomysł. To już było coś. Była w tym myśl, próba zaprowadzenia porządku, nadania miastu określonego charakteru. Myślę, że jak na początek było to bardzo dużo i że jest to kierunek dalszego działania, dalszych poszukiwań i rozwiązań. Dobry kierunek.

Skoro jesteśmy na ulicy Piotrkowskiej i zajmujemy się tą, ciągle jeszcze główną ulicą miasta, to warto odnotować, że MPK zmniejszyło ilość przystanków autobusu linii „57". Czy zrobiono dobrze? Dla wygody MPK niewątpliwie. Czy dla wygody pasażerów? Co do tego mam pewne wątpliwości. Ale, że spacery nikomu jeszcze nie zaszkodziły, a przeciwnie niezbędne są dla zdrowia, więc można MPK ten gest darować. Niepokoi mnie tylko sposób argumentacji. Oto „Express Ilustrowany" zapowiadając tę zmianę podkreślał, że tłok w autobusach robili ci pasażerowie, którzy jeździli tylko jeden albo dwa przystanki. Doskonale rozumiem, że MPK ma kłopoty z pasażerami. W ogóle, gdyby ich nie było, nie byłoby szczytów komunikacyjnych, tłoku, nikt nie brudziłby tramwai i autobusów i byłoby fajnie. Ale — niestety — pasażerowie są. I trzeba się z nimi liczyć. Płacą niewiele, a wymagają strasznie. Kłopotliwy naród ci pasażerowie. Ale jeżeli bilet autobusowy kosztuje 1,50 zł i ja solidnie tę sumę uiszczam — a nie tak, jak to robią niektórzy i jeżdżą na gapę — to dla MPK powinno być zupełnie obojętne, czy ja jadę jeden przystanek, czy więcej. Nawet chyba powinno być lepiej, jeśli przejadę tylko jeden przystanek, a na następnym ktoś inny zajmie moje miejsce i też zapłaci 1,50 zł za bilet. Chyba to nie o to chodzi?

Od dawna nie mogę zgodzić się z instytucjonalnym punktem widzenia rzeczywistości. Co to jest ten instytucjonalny punkt widzenia? Niech to zilustruje przykład zaczerpnięty z mojej ulubionej telewizyjnej audycji „Mam pomysł". Otóż Michał Witczak wymyślił nową wersję szafy grającej. Z pozoru pomysł wydaje się atrakcyjny, gdyż jest to grająca szafa, w której zamiast płyt używa się taśmy magnetofonowej. Wiadomo, że z przemysłem płytowym u nas nie najlepiej i w szafach grających najczęściej chrypią płyty sprzed kilku lat. Grająca szafa pomysłu Michała Witczaka błyskawicznie zapewniałaby aktualność nagrań. Tylko ktoś musiałby to robić. Andrzej Bober, który prowadzi audycję „Mam pomysł", zaproponował łódzkiej „Fonice", aby zainteresowała się pomysłem M. Witczaka. Opinia „Foniki" była negatywna. Przedstawiciel fabryki został jednak zmuszony do oświadczenia, że taki pomysł nie przejdzie tylko ze względu na interes fabryki, której nie opłaca się przestawienie się na produkcję szaf grających pomysłu M. Witczaka. Obym nie był złym prorokiem, ale może być jeszcze i tak, że niedługo kupimy licencję na produkcję takich szaf.

W tej samej audycji pokazano elektronowe szachy — przyrząd raczej dla specjalistów. A mimo to zainteresowała się tym wytwórnia „Meratronik" ze Szczecina i za pośrednictwem TVP zapytała ewentualnych chętnych, czy coś takiego kupiliby, a jeśli tak, to żeby o tym dali znać, aby można było zorientować się po ilości zgłoszeń, czy wytwórni opłaci się produkcja. Oto dwa różne podejścia do takiej samej sprawy. Kierując się tylko tym pierwszym niewiele posuniemy się do przodu. To drugie może być bardziej przydatne dla postępu.

Podobnie nie bardzo przemawia mi do przekonania argument, że ograniczenie ilości przystanków autobusowych na ulicy Piotrkowskiej jest wygodne dla pasażerów. Raczej jest to wygodne dla MPK. Dzięki temu autobusy mogą bardziej zmieścić się w czasie, w jakim mają przejechać ulicę Piotrkowską. Oby tylko kursowały bardziej rytmicznie.

Trudno mnie też będzie przekonać, że rozwieszone nad tą ulicą kolorowe, brudne szmaty mają ją upiększać. Może to się komuś i podoba, może to dekoratorom jest wygodne. Ale sądzę, że warto byłoby pomyśleć nad innym, bardziej estetycznym rozwiązaniem. Podejrzewam jednak, że przy następnej okazji znów nad ulicą Piotrkowską będzie suszyła się kolorowa bielizna.

MARCIN RODAK

PLASTYKA

TYDZIEŃ

8 Łódzka Wiosna Artystyczna przebiega pod znakiem muzyki, jednak nie zabraknie w jej programie także interesujących wydarzeń plastycznych.

Imprezą o ogólnopolskim znaczeniu stanie się z pewnością II Triennale Malarstwa i Grafiki „Nasz czas — Metafora — Tendencje", szeroki przegląd najnowszego dorobku wybitnych artystów. Będzie ono próbą podsumowania cyklu wystaw prezentujących nadrealne i metaforyczne kierunki w polskiej sztuce współczesnej, przygotowywanych konsekwentnie od 1971 r. przez łódzkie Biuro Wystaw Artystycznych. Metafora jest dziś powszechnym sposobem wypowiedzi artystów uprawiających tradycyjne — w rozumieniu warsztatowym — dyscypliny: malarstwo, grafikę artystyczną. Oznacza komentarz do tych zjawisk rzeczywistości, które poruszają wyobraźnię, prowokują do określenia stanowiska. Łódzki przegląd tendencji sztuki metaforycznej będzie miał szczególne znaczenie jako konfrontacja zaangażowania twórców w istotne problemy „naszego czasu".

W dniach 14—23 czerwca trwać będzie Tydzień Plastyki pod hasłem „Sojuszu świata pracy z kulturą i sztuką". Program „Sojuszu" jest jedną z najważniejszych inicjatyw ostatnich lat, nową formą rozwijania społecznej funkcji kultury. Współczesna Polska wielkich inwestycji i krajobrazowych przemian, perspektywiczne cele gospodarczego rozwoju wyznaczają w sferze kultury podstawowe kierunki działania — zgodne z potrzebami i aspiracjami. Nadrzędnym zadaniem jest zespolenie zdolności wszystkich środowisk twórczych wokół realizacji programu technicznej rekonstrukcji kraju, wokół rozwoju socjalistycznych wartości społecznego życia.

Dla nadania konkretnego kształtu wypełnieniu tych zadań niezbędne jest umacnianie związków kręgów twórczych z innymi środowiskami zawodowymi — przede wszystkim wielkoprzemysłową klasą robotniczą. Stworzone zostały warunki wzajemnej inspiracji i wymiany ideowych treści; porozumienia, które sprzyjać będą kształtowaniu aktywnej postawy wobec kultury wśród ludzi pracy. „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką" będzie miał znaczenie także dla samych twórców, dla których stanie się szansą realnego współuczestnictwa w życiu narodu.

Tydzień Plastyki odbywać się będzie przy pomocy i partnerskiej współpracy przemysłowych mecenasów: „Ema — Elty" i ŁZPB im. Obrońców Pokoju „Uniontex". Na 18 czerwca zapowiedziano w zakładowym klubie „Elty" aukcję dzieł czołowych łódzkich plastyków (z której dochód przeznaczony jest na cele społeczne). Chodzi przede wszystkim o dotarcie z wartościowym dziełem sztuki — dobrem współczesnej kultury, niemal bezpośrednio do miejsca pracy odbiorcy, którego zapotrzebowanie będzie także miernikiem wartości najbardziej poszukiwanych.

Inną formą prezentowania łódzkiej plastyki będzie sprzedaż dzieł sztuki „dla każdego" za pomocą ruchomych punktów w dniach 13, 17 i 20 czerwca.

Nie zabraknie w Tygodniu Plastyki interesujących wystaw, m. in. jubileuszowego pokazu 40-letniego dorobku zasłużonego łódzkiego artysty Bolesława Hochlingera, prac Krystyny Liberskiej, Witolda Kalińskiego, Jerzego Jądrzejczaka, Józefa Wasiołka, Stefana Justa i Jana Gródka.

Tydzień pod znakiem plastyki będzie więc okazją szerokiego przeglądu twórczych możliwości środowiska. Organizatorom: Zarządowi Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków, BWA oraz zakładom pracy wypada życzyć sukcesu odpowiadającego randze imprezy, a zwłaszcza jej społecznej potrzebie.

A. M.

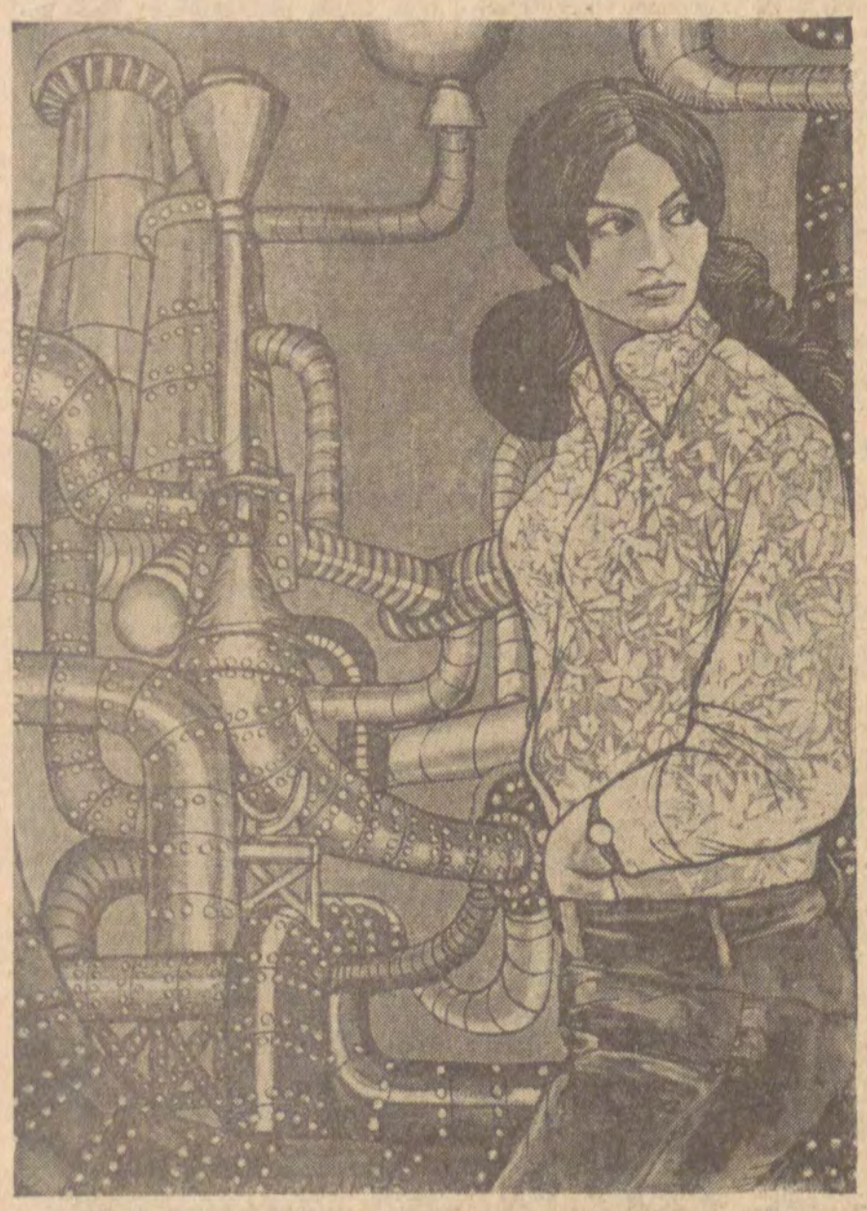

BENON LIBERSKI — „Dziewczyna"

SPORT

NIE BYŁO NIEDZIELI CUDÓW

Niedzieli cudów nie było, ale były za to inne cudowne dni. Ostatni zdarzył się 3 czerwca 1976 roku, kiedy tą Polski Związek Piłki Nożnej ogłosił skład olimpijskiej drużyny. I okazało się, że na 17 piłkarzy, którzy mają pojechać do Montrealu 12 grało w drużynie, która zdobyła srebrny medal na mistrzostwach świata. Dobrze to, czy źle?

Byłoby może i dobrze, gdyby nie było osławionej „męskiej" decyzji Kazimierza Górskiego i gdybyśmy wszyscy dobrze nie wiedzieli, że tamtej drużyny już dawno nie ma. Wskrzeszenie nieboszczyków nie ma zbyt wielkiej przeszłości i nie ma też zbyt wielkiej przyszłości. Na pytanie dziennikarzy, dlaczego nie wzięto do reprezentacji Polski młodych piłkarzy, o których do niedawna wypowiadano się pozytywnie, trener Kazimierz Górski odpowiedział: **„Bo inni są od nich lepsi"**. Ale ci inni do niedawna byli gorsi. Dziś trzeba ich prosić, aby zechcieli nie zawieść. Czy rzeczywiście zechcą? Na odpowiedź przyjdzie trochę poczekać.

Wydaje się jednak, że prawda leży zupełnie w innym miejscu. Prawda jest bowiem taka, że po prostu poziom pierwszej ligi piłkarskiej nie gwarantuje systematycznego uzupełniania kadry. Być może reprezentacyjnej siedemnastce uda się obronić któryś z medali olimpijskich, ale nie wolno zapominać, że po Olimpiadzie w Montrealu będą znów mistrzostwa świata w piłce nożnej. I kto wtedy będzie bronił tytułu trzeciej drużyny świata?

I chyba ma rację **Andrzej Biliński**, który w **„Trybunie Ludu"** napisał:

„Decyzje PZPN odnośnie składu olimpijskiej ekipy muszą budzić wątpliwości. Oczywiście, trudno negować, że związek piłkarski w obecnej, przymusowej sytuacji wybrał drużynę, która stwarza największe szanse obrony olimpijskiego medalu. Problem tylko, co jest ważniejsze — medal olimpijski, czy przyszłość polskiej piłki i dobra atmosfera wokół niej. Jeśli patrzeć perspektywicznie — to lepiej byłoby chyba wziąć do Montrealu mniej doświadczonych zawodników, którzy mają wprawdzie mniejsze kwalifikacje, ale za to nie trzeba ich namawiać do gry w drużynie narodowej i pytać się, czy mają na to ochotę".

I wydaje mi się, że nie były potrzebne „męskie decyzje" śmieszne grożenie palcem przed nosem kilku zawodników, o których wiadomo, że myślą zupełnie o czym innym niż o grze w narodowej reprezentacji, a którym Jan Ciszewski groził z telewizyjnego ekranu, że będą Olimpiadę oglądali tylko za pośrednictwem telewizji.

Skład olimpijskiej ekipy piłkarskiej stał się faktem. Jeśli nawet budzi wątpliwości, to żadnego z nich pożytku nie będzie. Dlatego — wydaje mi się — że raczej należałoby powątpić troszeczkę na temat pierwszej ligi, bo tu w gruncie leży „pies pogrzebany". A wątpić jest w co.

Kiedy skończył się ubiegły sezon piłkarski, to wszyscy głośno krzyczeli na temat „niedzieli cudów". Był to dzień ostatniej kolejki ligowych rozgrywek i tak się dziwnie złożyło, że drużyny z końca ligi grały jak z nut, a te ze środka i bliżej początku zabawiały się na boiskach w „śpiących królewiczów". Oczywiście, jak to w niektórych dziedzinach sportu bywa nikt nikogo nie złapał za rękę, ale podejrzeń było sporo i PZPN poczuł się w obowiązku pogrozić podejrzanym.

W kwietniu 1976 roku **PZPN** ogłosił komunikat, w którym przeczytać można było, co następuje:

„Rozgrywki o mistrzostwo Polski wkraczają w decydującą fazę. Opierając się na doświadczeniach ubiegłorocznych, doceniając krytyczne głosy i uwagi zgłoszone przez działaczy, trenerów, sędziów, zawodników i kibiców Zarząd PZPN postanowił:

— ogłosić zestawienie par na następne mecze I ligi według wcześniej ustalonych kryteriów,

— ustalić terminy trzech ostatnich kolejek I ligi na ten sam dzień i tę samą godzinę oraz nie dokonywać żadnych zmian terminów,

— powołać Komisję PZPN, która czuwać będzie nad przebiegiem rozgrywek. (...)

Ponadto zalecono Wydziałowi Sędziowskiemu PZPN dobór najlepszych sędziów i kwalifikatorów na trzy ostatnie kolejki rozgrywek I ligi."

W wywiadzie udzielonym przedstawicielowi **„Expressu Wieczornego"** i opublikowanym 25 maja 1976 roku wiceprezes PZPN do spraw ligi — **W. Bąk** powiedział między innymi:

„Do związku nie napłynął żaden protokół, w którym obserwatorzy donieśliby cokolwiek na temat sportowych nieścisłości.

Ale założyliśmy, że obserwować będziemy nie tylko spotkania zespołów zagrożonych, ale także i tych, które mogą sięgnąć po tytuł."

Mecz bytomskiej **„Polonii"** z poznańskim **„Lechem"** odbywał się w niedzielę 5 maja 1976 roku. Opinie, jakie na ten temat zamieścił w tygodniku **„Sportowiec" Wojciech Tatarczuch** dają wiele do myślenia. Od dawna już krążyły wśród piłkarzy poglądy na temat tego, że piłkarze **„Polonii"**— klubu, który w historii polskiego piłkarstwa ma wielce chlubne karty — robią wszystko, aby tylko spaść do drugiej ligi, bo wtedy będzie im łatwiej przejść do innych klubów. Takich poglądów nie ukrywał nawet **Jerzy Nikiel** — trener drużyny bytomskiej **„Polonii"**.

Ale na tym nie koniec.

Jerzy Nikiel powiedział **Wojciechowi Tatarczuchowi** co następuje:

„— Zawodnik średnio otrzymuje trzy tysiące złotych premii za mecz wygrany na swoim boisku, a pięć tysięcy za zwycięstwo na wyjeździe. Zdarzają się przypadki, że mecze kupione w spotkaniu drużyn reprezentujących tę samą klasę rozgrywkową, wahają się od 150 tysięcy w drugiej lidze do 250 tysięcy w ekstraklasie. Nie mam na myśli kontaktów kaperowicznych. Chodzi mi jedynie o poznanie mechanizmów rządzących futbolową ekstraklasą. Ilu wystarczy kupić? Kluczowych zawodników — jednego lub dwóch. Przy wyrównanym poziomie najwyżej pięciu. Zdarza się, że kupujący dają po sto tysięcy złotych dwóm liderom drużyny, dorzucając pięćdziesiątaka trzeciemu zawodnikowi."

Czy zawodników **„Polonii"** Bytom ktoś kupił? Na to pytanie mogliby odpowiedzieć tylko oni sami i ewentualnie ci, którzy dawali pieniądze. Jak głosi fama tego rodzaju transakcje odbywają się w... przyboiskowych szaletach. Podobno nawet ktoś zaczaił się w szalecie w Bytomiu, aby wytropić moment, kiedy pieniądze będą przechodziły z ręki do ręki. Nie udało się.

Ale trener **Jerzy Nikiel** powiedział **Wojciechowi Tatarczuchowi:**

„— Proszę mi wierzyć, ale tutaj działają jakieś czary. Z Ruchem i Tychami była to drużyna, którą należało pokazywać innym — patrzcie, tak trzeba walczyć! W spotkaniach z Szombierkami i Lechem robili wszystko, aby nie wygrać. Wspaniały stoicki spokój na boisku. Śpiący królewicze. Żadnych okrzyków zachęcających do boju. Żeby choć jedno przekleństwo ganiące złą zagrywkę kolegi. Nic! Czy pan rozumie? Absolutnie nic! (...)"

Więc może drużyna bytomskiej **„Polonii"** była bez formy? Zawodnicy usiłowali to potwierdzić. Ale nie trener **Jerzy Nikiel:**

„— Przeprowadziliśmy sprawdzian. Wyniki przeszły nasze oczekiwania. Chciałbym, aby trener Górski mógł o fizycznej formie swoich podopiecznych mówić tak dobrze... Poza tym nikt mi nie wmówi, że grając dobrze na treningach, doskonale w meczach z Legią, Ruchem, Górnikiem, Tychami i Pogonią, nagle obniżyliście formę w pojedynkach z Szombierkami lub rzeszowską Stalą. Albo ta fatalna forma we wczorajszym meczu z Lechem..."

Jerzy Nikiel powiedział to w oczy swoim zawodnikom. W obecności **Wojciecha Tatarczucha**, który to wszystko w **„Sportowcu"** opisał, dając tym wiele do myślenia. Ale komu? Specjalnie powołanej komisji PZPN? Komisja nie otrzymała żadnych protokółów. „Niedzieli cudów" nie było, były natomiast — tego się można domyślać — inne dni cudowne. Niedzielę cudów rozłożono na etapy i podetapy. Tego też się można domyślać.

A jak **„Polonia"** grała jesienią? W rundzie jesiennej zajęła ona 11 miejsce, zdobywając 14 punktów, tracąc 16, strzelając 14 bramek i tracąc 16. Grała lepiej od **„Legii", „Szombierek", „Zagłębia", ŁKS** i rzeszowskiej **„Stali"**. Wiosną natomiast **„Polonia"** zdobyła tylko 7 punktów, tracąc 23, strzeliła 5 bramek i straciła 17.

Jak grali inni? Mistrzem wiosny została krakowska **„Wisła"** (21 pkt.), która jesienią spisywała się znacznie gorzej i zajmowała 8 pozycję z 16 punktami i nawet gorszym stosunkiem bramek niż uzyskał je jesienią **„Widzew"**. Piłkarze **RTS Widzew** zarówno jesienią, jak i wiosną zdobyli po 16 punktów, można więc powiedzieć, że grali równo. Jedynym sygnałem w tabeli, że wiosenna runda wypadła dla **„Widzewa"** gorzej, jest stosunek bramek. Jesienią **„Widzew"** zdobył 15 bramek, a tracił 13, wiosną natomiast piłkarze widzewscy strzelili 18 bramek, a stracili 20.

Analizując tabelę można dojść do wniosku, że w piłkarzy **ŁKS** wstąpił duch „rycerzy wiosny". Jesienią zdobyli tylko 10 pkt. i uplasowali się na 15 miejscu, tracąc 19 bramek przy 10 zdobytych. Wiosną wywindowali się na 6 miejsce, zdobywając 16 punktów i strzelając 14 bramek. Grali wiosną niewątpliwie lepiej, ale czy ratując się przed spadkiem do drugiej ligi w tym sezonie, zapewnili sobie spokojny żywot w ekstraklasie na przyszłość? Czy w następnym sezonie znów nie będziemy się martwili o losy piłkarzy **ŁKS?**

Jeśli już jestem przy ligowej tabeli, to muszę się przyznać, że w poprzednim tygodniu skrzywdziłam mielecką **„Stal"**, posądzając ją o zbytnią przewagę punktową i spokojną mistrzowską przyszłość w minionym sezonie. **„Stal"** wygrała z **ROW** w ładnym stylu i z ładnym stosunkiem bramek, ale walka o mistrzostwo toczyła się również choćby na boisku w Tychach, gdzie tamtejszy **GKS** nie miał łatwego życia w meczu ze szczecińską **„Pogonią"**.

Sezon piłkarski mamy więc już za sobą. Obyło się bez sensacji. Ale tylko w tym sensie, że nie znalazły one oficjalnego potwierdzenia. Wśród kibiców — niestety — panują trochę inne poglądy i niektóre wyniki pierwszoligowych spotkań byli oni w stanie przewidzieć. Wystarczyło uważnie popatrzeć na tabelę ligową i kalendarz spotkań, aby móc się z powodzeniem zabawić w proroka. I niektórzy bawili się. Ale bez większego pożytku była to zabawa. Może tylko z odrobiną przyjemności, jaką zawsze daje udane przewidywanie.

Zostawmy więc minione, niech przejdzie do historii sportu i popatrzmy raczej w przyszłość. Jak już wspomniałam nie rysuje się ona radośnie. A najgorsze jest to, że „ligowa młócka", ciągłe walki o miejsce w tabeli, taktyczne i strategiczne zagrywki i rozgrywki, których finały, jak to utrzymują wtajemniczeni, odbywają się w przyboiskowych szaletach, nie sprzyjają prawidłowemu rozwojowi naszych piłkarzy. Przedolimpijskie „zagrania" PZPN też nie stworzyły należytych bodźców, raczej — można tak przypuszczać — najzdolniejszym odsunęły w mroczną dal możliwość awansu do narodowej kadry. A to w tej chwili dla piłkarza jedyna nagroda poza nagrodami pieniężnymi.

Niezależnie od losów olimpijskiego medalu już dziś trzeba myśleć o przyszłości polskiej piłki nożnej. W przeszłości — jeśli jeszcze raz do niej sięgnąć — olimpijski turniej piłkarski był etapem w przygotowaniach do mistrzostw świata. Po ostatniej decyzji PZPN taka koncepcja jest już nie do przyjęcia. Niezależnie więc od losów olimpijskiego medalu trzeba już teraz myśleć o drugiej reprezentacyjnej drużynie. Tylko, czy naszą piłkę nożną stać w tej chwili na taki wysiłek? Obyśmy znów nie popełnili takiego błędu, jaki popełniliśmy tuż po mistrzostwach świata.

Do Olimpiady będziemy mieli trochę spokoju. Jeszcze tylko przedolimpijskie sprawdziany i znów zaczną się dni pełne emocji. Ale wtedy liczyć się będą nie tylko piłkarze. Przyznajmy jednak szczerze, że każdy z nas liczy na cud, który pozwoli utrzymać złoty medal. Tylko w Montrealu cudów nie będzie. Tam trzeba będzie grać.

BOGDA MADEJ

JAK CZYTASZ KSIĄŻKI?

1. Czy któraś z przeczytanych w dzieciństwie książek wywarła na Tobie tak silne wrażenie, że treść jej pamiętasz do dziś?
2. Czy uważasz za najbardziej interesujące te książki, których treść oparta jest na faktach autentycznych?
3. Czy utożsamiasz się zwykle z bohaterem czytanej książki i rad jesteś, gdy postępuje on tak, jak — Twoim zdaniem — Ty byś postąpił w takich okolicznościach?
4. Czy zaglądasz na ostatnią stronę książki, aby dowiedzieć się jakie jest jej zakończenie?
5. Czy szukasz pomocy w książkach fachowych, gdy natrafisz na jakąś trudność przy wykonywaniu pracy?
6. Czy lubisz czytać książki, których akcja toczy się w dobrze znanym Ci środowisku?
7. Czy uważnie czytasz w powieści opisy, aby dobrze poznać miejsce i okoliczności w jakich się akcja rozgrywa?
8. Czy wracasz niekiedy do ulubionych książek i czytasz je po raz drugi?
9. Czy pragniesz przedyskutować z kimś treść książki, która Cię wzruszyła lub oburzyła? Czy czujesz potrzebę wymiany zdań na jej temat?
10. Czy masz zwyczaj wynotowywania sobie z czytanych książek ciekawych myśli i sentencji?
11. Czy książki zajmują w Twoim mieszkaniu specjalnie wydzielone miejsce?
12. Czy — jeśli wszyscy mówią o jakiejś nowej książce — uważasz, że koniecznie musisz ją przeczytać?
13. Czy odczuwasz czasem chęć opisania swoich wrażeń lub przeżyć?
14. Czy zdarzyło Ci się kiedy zapomnieć pod wpływem pasjonującej lektury o całym świecie? Zasnąć dopiero nad ranem po skończeniu książki?
15. Czy bardziej zwracasz uwagę na piękno formy i stylu czytanej książki, czy na idee w niej zawarte?
16. Czy odczuwasz czasem wielki żal, że książka się kończy i musisz się rozstać z jej bohaterami?

Tabela ocen odpowiedzi

TAK		NIE
15	1	10
10	2	15
10	3	15
0	4	10
15	5	0
20	6	5
10	7	10
15	8	10
20	9	5
10	10	5
40	11	0
5	12	10
10	13	5
20	14	5
20	15	20
20	16	10

Wyniki:

PONIŻEJ 105 PUNKTÓW — to znaczy, że w małym stopniu interesujesz się książkami. Nie dlatego jednak, że nie lubisz czytać, tylko, że nie umiesz sobie dobrać takiej lektury, która mogłaby Cię zainteresować. Poradź się bibliotekarza, on na pewno wskaże Ci pasjonującą książkę.

DO 120 PUNKTÓW: — masz trochę racji twierdząc, że brak czasu uniemożliwia Ci czytanie dla przyjemności. Spróbuj jednak widzieć w książce przyjaciela, który Ci poradzi, w jaki sposób rozwiązywać trudności, które Cię trapią obecnie. Wśród książek znaleźć możesz nawet lekarstwo na stressy życiowe.

DO 140 PUNKTÓW: — Nie lubisz sentymentalizmu. Twój racjonalistyczny, dociekliwy umysł interesuje się bardziej sprawami przyszłości. Imponuje Ci technika. Otaczających Cię ludzi traktujesz niekiedy jak niedoskonałe maszyny. Nie interesują Cię uczucia Twoich bliskich. Nie zawsze czujesz się dobrze wśród ludzi, ale w tym jest dużo Twojej winy: nie jesteś na świecie sam i najważniejszy.

DO 160 PUNKTÓW: — Pragniesz spotykać w życiu ludzi doskonałych, a nie mogąc ich znaleźć szukasz idealnych bohaterów w książkach, zaniedbując nieco swoje otoczenie. Jesteś niesprawiedliwy wobec ludzi, uważając ich za mniej ciekawych niż są.

DO 180 PUNKTÓW: — Jesteś niepoprawnym marzycielem — szczególnie wrażliwym na piękno. W książkach szukasz ucieczki przed „prozą życia". W Twoim pojęciu lektura pomaga Ci znosić troski i kłopoty, które naprawdę nie są tak wielkie, jak sobie wyobrażasz. Twoje marzenia są nierealne, ale poza nimi nic robisz nic, aby choć w części mogły się spełnić.

DO 240 PUNKTÓW: — W książkach szukasz wiadomości praktycznych. Czytasz dużo, umiesz właściwie wykorzystać zdobytą wiedzę. Czytanie wierszy i książek fantastycznych interesowanie się sztuką, uważasz za stratę czasu. Nie umiesz się poświęcić dla innych, ale można na Ciebie liczyć. Bez wielkich słów pomożesz w potrzebie.

POWYŻEJ 240 PUNKTÓW: — Umiesz czytać i posługiwać się książką dla pogłębienia swoich wiadomości o życiu. Dobierasz sobie lekturę tak, aby dawała ci dokładny jego obraz. Pociąga Cię praca naukowa. Powierzone zadania praktyczne potrafisz wykonać bardzo dobrze. Masz wrodzone zdolności do kierowania ludźmi.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

NOC W „MAXIMIE"

Solidna fasada rogowej kamienicy przy zbiegu ulic Piotrkowskiej i Narutowicza. Na pierwszym piętrze, w częściowo zakrytych pluszowymi zasłonami oknach, błyskają wielokolorowym blaskiem światła stroboskopów. Dobiega stamtąd głuche dudnienie najniższych dźwięków, czasem — fragmenty muzyki. Ale w ciągu dnia rzadko kto to zauważa; dopiero, gdy ruch zamiera późnym wieczorem na skrzyżowaniu do przechodniów mruga „Maxim".

Olbrzymia szyba przy wejściu, a za nią umieszczone fotografie osób występujących w programie artystycznym: tancerki, połykacz ognia, iluzjonista... A obok szklane drzwi, których podobno nie tłuką już tak często podochoceni alkoholem przechodnie. Zdaje się też, że nie wita już tutaj tłumu dobijających się gości piącha wykidajły. Czyżby frekwencja nie ta?

Oczywiście, że łódzki „Maxim" nie jest już dla mieszkańców naszego miasta miejscem tak atrakcyjnym, jak to się wydawało poniektórym półtora roku temu, gdy lokal otwierano. Zresztą wówczas, właśnie to zainteresowanie nowością, jaką dla bez mała milionowego miasta był pierwszy nocny lokal tego typu, przyczyniało się do powstawania bałaganu po obu stronach szklanej bramy. Inną przyczyną była legenda hazardu; o automatach losowych mówiono wówczas niestworzone rzeczy. I wrzucano w nie setki żetonów, uniemożliwiając innym jakąkolwiek możliwość stracenia (a może zyskania?) paru złotych na rzecz „jednorękich złodziei". W tym pierwszym okresie działalności i od strony organizacyjnej nie wszystko było dopięte na ostatni guzik, stąd późniejsze zmiany: kierownictwa, cen, godzin pracy, wreszcie — opinii bywalców.

Ilość osób, które od początku odwiedzały „Maxima" wyraża się dzisiaj już sześciocyfrową liczbą. I nadal rośnie, bo frekwencja ponoć nie jest mniejsza i zdarza się niejednokrotnie, że zostanie sprzedanych owych sto dwadzieścia biletów, i wówczas trzeba — przynajmniej do czasu opuszczenia lokalu przez część gości — zamykać podwoje, bo na niewielkiej powierzchni, jaką zajmuje „Maxim", nie sposób jest znaleźć nowym chętnym miejsce do zabawy.

Znajdujący się na pierwszym piętrze lokal składa się właściwie z trzech osobnych pomieszczeń: w pierwszym ustawiono automaty, następne to sala dyskotekowa ze specjalnie wydzielonym parkietem, wreszcie ostatnie — to kawiarnia, nie wiadomo dlaczego podlegająca łódzkiej gastronomii, jak by ZPR-owski ośrodek nie mógł sobie sam poradzić z prowadzeniem niewielkiej kawiarenki. (Bo — gwoli ścisłości — „Maxim" podlega Zakładowi Ośrodków Gier i Klubów Rozrywki Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych w Warszawie). Zresztą do tej kawiarni mam od czasu swej pierwszej bytności w „Maximie" sporo zastrzeżeń; pomijając już fakt nieumiejętnej adaptacji pomieszczeń przez co na ową część gastronomiczną nocnego przybytku pozostawiono dwie małe klitki, co w żaden sposób nie zaspokaja popytu na miejsca, najwięcej niezadowolenia budzi zaopatrzenie i obsługa. Nie dość, że jadłospis jest ubogi, to jeszcze brak kelnerek i właściwie najczęściej stosowaną metodą jest samoobsługa. No i ten bufet a la dworzec kolejowy w Szczecinku! Miejmy nadzieję, że w chwili, gdy kawiarenka przejdzie pod zarząd „Maxima" — a czynione są starania ku temu zmierzające — coś zmieni się na lepsze.

„Maxim" jest lokalem nocnym, ale w godzinach popołudniowych salki oddaje się we władanie młodzieży — każdego dnia odbywa się tutaj „five". Bilet wstępu kosztuje wtedy dwadzieścia złotych, a więc jego cena dostosowana jest do uczniowskiej i studenckiej kieszeni. Zabawa na owych wieczorkach jest ponoć udana, tym bardziej, że — zgodnie z zamierzeniami współpracującego z „Maximem" od niedawna znanego łódzkiego nauczyciela tańca, Waldemara Wierzbowskiego — nie zostawia się młodzieży zupełnie samopas, proponując pewne formy kulturalnej rozrywki „parkietowej". I przywiązywanie dużej wagi do tych młodzieżowych popołudniówek w „Maximie" bynajmniej u kierownictwa ośrodka nie dziwi, bowiem stwarza to nie tylko możliwość organizowania młodym ludziom atrakcyjnego spędzenia wolnego czasu, ale także pozwala oddziaływać na nich wychowawczo.

Gdy młodzież opuszcza lokal, na parkiecie zaczynają uwijać się sprzątaczki. Po niespełna godzinnej przerwie — „Maxim" otwiera swe podwoje dla kolejnych gości. Tym razem — nocnych. Po słowie od lebka.

Lokal zapełnia się dosyć szybko. Za stołem mikserskim w sali klubowej disc-jockey, czy raczej — prezenter, ustawia igłę adapteru na coraz to nowych czarnych krążkach. Różne rytmy, różne barwy świateł, różne nastroje. Ten sam tylko klimat tanecznej rozrywki. Parami, w kółku, bezładnie — porusza się kilkadziesiąt osób, które w ten sposób odrywają się od swoich codziennych życiowych spraw.

Tylko siedzący z boku człowiek zauważy, że w lokalu jest coraz więcej dymu, coraz duszniej; spostrzeże, że zaczynają boleć oczy. I pomyśli: jaka szkoda, że nie ma tutaj sprawnie funkcjonujących urządzeń klimatyzacyjnych. Zmęczony tanecznym żywiołem człowiek idzie do kawiarni, by usiąść, napić się, odpocząć. Jednak tutaj z miejscami krucho, a i kolejka do bufetu długa.

Najspokojniej jest w niewielkim salonie z automatami, gdzie w maszyny losowe — od kiedy „zawodowcy" przenieśli się do ŁDK — grywa dla przyjemności, a nie dla hazardu, zaledwie parę osób. A czasem nikt zupełnie. Szkoda, że prawie tu nie ma gier zręcznościowych — zarówno goszczącej tu wcześniej młodzieży, jak i późniejszym gościom granie w automat typu „fliper" sprawiłoby więcej przyjemności.

Nagle w sali night-clubu zaczyna się coś dziać. Tańce przerwano, a wszyscy zajmują miejsca w fotelach wpatrzeni w plamę odsłoniętej podłogi. Komu nie udało się usiąść na fotelu, siada na dywanie. Byleby nikogo nie było na parkiecie. Jeszcze chwila... i zaczyna się samo clou wieczoru: program artystyczny. Bywają różne programy, formowane w zależności od tego, czym w danym okresie czasu „Maxim" może dysponować. A raczej — kim? Bo są to zazwyczaj panienki tańczące i rozbierające się — czy to topless, czy to pełny strip-tease. Są to również iluzjoniści, ekwilibryści. W gruncie rzeczy — w porównaniu z tym, co widziałem przed kilkoma miesiącami — prezentacja nocnego programu przebiega o wiele sprawniej niż poprzednio, jest oglądana z zainteresowaniem (no, może poza tymi osobami, które chadzają do „Maxima" parę razy w tygodniu) i stanowi bardzo potrzebną chwilę wytchnienia przed uczestnictwem w następnych godzinach tanecznego szaleństwa. „Godzina duchów" (program jest pokazywany o północy) upływa zatem pod znakiem oglądania ciała młodych dziewcząt, popisów tanecznych, iluzjonistycznych i innych. A później... Później dalszy ciąg maratonu na zatłoczonym parkiecie. Przez ponad dwie godziny.

O trzeciej hałaśliwy sąsiad lokatorów posesji przy zbiegu Piotrkowskiej i Narutowicza — cichnie. Wychodzących na ulicę nocnych gości ośrodka wita powiewem świeżego powietrza już nowy dzień.

Za szklanymi drzwiami, w salkach na pierwszym piętrze, w pokoju kierownika, skończył się jeszcze jeden dzień pracy. Jeszcze jedna noc w służbie rozrywki. Tylko księgowa przez długą godzinę robić będzie protokół z wczorajszych wpływów. Rozliczenie musi być bieżące. Jutro znów pretensjonalna nazwa: „Maxim" przyciągnie gości w mieście, gdzie zwolna wszyscy oswoili się z istnieniem dyskotekowego night-clubu.

JERZY WILMAŃSKI

GRAFIKA ANDRZEJA GRUNA

Zagranica dla malarza jest zawsze egzotyką, choćby to była tylko leżąca za miedzą NRD-owska Saksonia czy tak znane metropolie, jak Londyn czy Paryż. Zawsze też dla publiczności interesujące będą plastyczne impresje z zagranicy. Nie jest to oczywiście sprawa snobizmu, po prostu świeżość doznań prowokuje wyobraźnię do próby zdefiniowania oglądanego świata.

Wchodząc w nowy, nieznany pejzaż, w ulice miast, nie opatrzone na co dzień, artysta zaczyna rejestrować wrażenia bardziej wyraziście i często ten pierwszy ogląd sprawia, że z motywów banalnych i znanych wydobywa elementy wcale nie banalne.

Tak jest choćby z impresjami Andrzeja Gruna na temat Tower Bridge, który raz narysowany jest w złoto-miedzianej mgle, raz w odbiciu Tamizy, raz czarną zdecydowaną kreską. Słynny most na Tamizie, ten realny i rzeczywisty jest tylko jeden — ale jego odbicie w artystycznej impresji może być prawdziwe zarówno w czarnej kresce jak i złoto-miedzianej mgle.

Poprzednia wystawa „Impresji londyńskich" Andrzeja Gruna charakteryzowała się bogactwem barwnego collage'u skontrastowanym z czarno-białym rysunkiem. Obecna wystawa w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki — plon podróży do Anglii, Francji i Saksonii — to nieco inny rozdział w twórczości tego artysty.

Są tam oczywiście rysunki tuszem, niby karty ze szkicownika, rysunki grubą krechą, węglem, czy pociągnięcia piórkiem, jak gdyby jedną linią zamykające panoramę architektury. Ale większość stanowią prace artystycznie zamknięte o wyważonych i przemyślanych proporcjach i propozycjach kolorystycznych.

W tych pracach Andrzej Grun odchodzi od feerii kolorowych kompozycji, tym razem przedstawiając zupełnie inną od poprzedniej wizję. Myślę, że ta nieco spokojniejsza, może nawet mniej efektowna wizja jest propozycją artystyczną w pełni doskonałą.

Przetworzenie doznawanych i notowanych na gorąco w szkicowniku wrażeń jest zawsze zabiegiem ryzykownym. Widziałem już przecież wystawy malarzy, których szkice były o wiele lepsze niż toporne oleje malowane po powrocie w zaciszu pracowni. Andrzejowi Grunowi udało się utrzymać klimat, nastrój i świeżość spojrzenia, kiedy przekładał swoje wrażenia z podróży na język sztuki.

Jest to ekspozycja interesująca w swojej dwoistości. Pokazano na niej bowiem szkice tuszem z całą świadomością skrótowe i konturowe — obok prac graficznych o oryginalnej kolorystyce, wyważonych i zamkniętych.

Te drugie wynikają z tych pierwszych — od graficznej notatki poprowadził nas artysta do dzieła graficznego ukazując publiczności proces dochodzenia do dzieła sztuki. W artystycznej biografii Andrzeja Gruna obecna wystawa jest kolejnym sukcesem twórcy, który otaczający go świat odkrywa wciąż na nowo, przy pomocy wciąż nowych środków wyrazu, patrząc wnikliwym i wrażliwym okiem na barwy krajobrazu i architektury.

Rysował A. Grun. „Miasteczko w Saksonii" tusz, 1975

magazyn

JANUSZ DUNIN

O CYRKU I ŁÓDZKICH ATLETACH

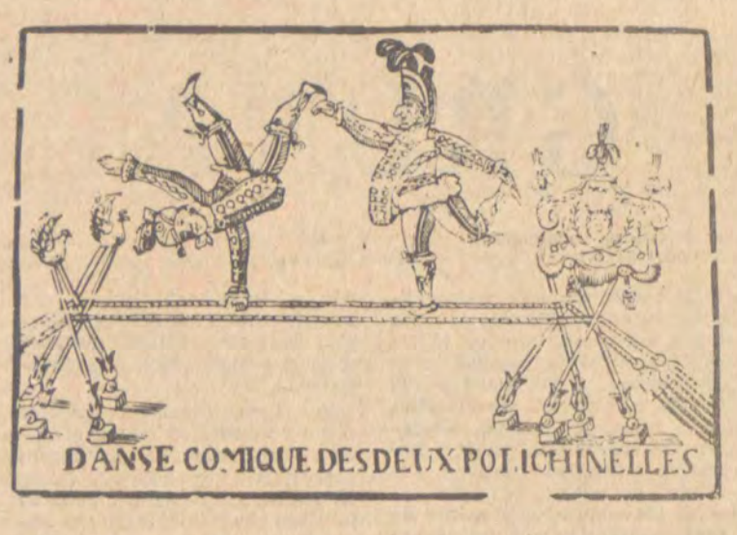

Nasi zachodni sąsiedzi cieszą się zasłużenie mianem ludzi solidnych i pracowitych. Jesteśmy obecnie coraz częściej za niedaleką granicą, ale prawdę mówiąc rzadko spodziewamy się spotkać tam rzeczy niezwykłe i pełne fantazji. W moją ostatnią podróż zabrałem z sobą wycinek z „Przekroju", mówiący o niecodziennej postaci, jaką jest berlińczyk, Markschiess — van Trix, kolekcjoner wszelkich materiałów związanych z dziejami sztuki cyrkowej. I mnie pasjonuje owa muza jarmarczna i pogardzana, która okazała się tak ogromnie żywotna i trwając od stuleci ulega niewielkim przemianom, sztuka, w której liczy się jedynie prawdziwy kunszt i tajemnica artysty, sztuka niepodległa, która nie poddaje się modom i nie wchodzi w żadne taktyczne układy, wbrew pozorom — nie ma wygórowanych ambicji, nie imituje tego, czym nie jest. A że na marginesie mojego zbieractwa druków popularnych natrafiłem na kilka niemieckich drobiazgów cyrkowych, nietrudno było o pretekst do dowiedzin. Bibliofilski dar przyjęto wdzięcznie, ale ów pretekst był zbyteczny. Tu każdy interesujący się cyrkiem jest mile widziany. Niewielkie mieszkanko w starej dzielnicy Berlina jest składem istnych cudów, ale ich właściciel nie robi wrażenia mistrza czarnej magii, ani zdziwaczałego zbieracza kuriozów. Cała kolekcja jest opracowana i uporządkowana tak, że dalsza praca jest bardzo ułatwiona. Posiadacz skarbów, mimo swego oryginalnego hobby i nie mniej wspaniałego nazwiska, do którego z zasady nie dodaje imienia, wygląda na drobnego urzędnika. Zbiór zawiera przede wszystkim książki, czasopisma, afisze cyrkowe z całego świata, pamiątki i rekwizyty. Tych ostatnich jest nieco mniej, ponieważ niewielka przestrzeń mieszkania jest już wykorzystana do maksimum. Wszystkie ściany i kąty zabudowano przemyślnymi regałami i szufladami. Osobista pasja, połączona z narodową dokładnością, spowodowały, że w bocznej ulicy wielkiego miasta nie powstał jeszcze jeden barwny zbiór ciekawostek, ale kolekcja o walorach naukowych i dokumentacyjnych. Wynik świadomego zbieractwa, kontaktów ze specjalistami i amatorami na całym świecie. Wydaje się, że właśnie takie gromadzenie, które poszerza naszą wiedzę, jest tym, które warto najgoręcej popierać. I choć Markschiess — van Trix prace swe dokonuje poza godzinami zajęć zawodowych, miał prawo na drzwiach swego mieszkania umieścić obok nazwiska oficjalnie brzmiący szyld: „Dokumenta artistica — studio i archiwum historii artystów". Właściciel tego studia opracował już wstępną bibliografię cyrku, którą wydał mu nie byle kto, a Niemiecka Biblioteka Państwowa z okazji berlińskiej prezentacji jego zbiorów. W bieżącym roku ukazała się w oparciu o jego zbiory imponująca książka poświęcona dziejom plakatu cyrkowego. Owa jarmarczna sztuka narzucała bardzo specyficzne wymogi artystom, w wyniku czego historia afisza cyrkowego stanowi niejako odrębny dział sztuki graficznej stojącej na pograniczu folkloru; sztuka ta potrafi nie tylko bawić, zachwycać, ale stanowi również żywe źródło twórczej inspiracji. Potrafiła to udowodnić książka: „Plakat artystów i cyrku" (Artisten und Zirkus Plakat). Wielki tom stanowi imponujące osiągnięcie lipskiego wydawnictwa „Edition Leipzig" i zapewne będzie światowym szlagierem tej oficyny na rok 1976. Efektowny, kolorowy album przedstawia historię popularnej sztuki z ulic miast — od jej początków w XVII wieku do naszych czasów. Warto dodać, że w ostatnim okresie i w tej dziedzinie poczesne miejsce zajmują twórcy polscy, w albumie jest ich aż dziewięciu, m. in. tacy artyści, jak Roman Cieślewicz, Waldemar Świerzy, Maciej Urbaniec. Dzieje popularnej sztuki z ulic dawnych miast udokumentowane w imponującym dziele mogą szczególnie zainteresować nas, bowiem właśnie takie plakaty oglądamy od lat na ulicach naszego fabrycznego grodu, stanowiąc jeden z elementów wielkomiejskiego folkloru. Album w najbliższym czasie zapewne dotrze do polskich księgarń. Autor jego tymczasem myśli już o nowych pracach, bo najprawdziwszą pasją zbieracza jest śledzenie losów wielkich artystów światowego cyrku. M. in. na warsztacie badawczym studia znajduje się ciekawe łodzianum jakie stanowi saga rodu Breitbartów, o istnieniu którego dowiedziałem się w Berlinie. Wielka światowa kariera tego rodu zaczęła się tu w Łodzi, w roku 1883, kiedy to urodził się Zygmunt Breitbart, syn Icka, kowala, niezbyt zręczny do rzemiosła czapniczego ani do krawiectwa, gdzie to posłał go ojciec. Wszystko się zmieniło w roku 1900, kiedy ogłoszono, że na Bałuckim Rynku w niewielkim cyrku odbędą się walki zapaśnicze, w czasie których znany atleta wzywał odważnych z publiczności do stawienia mu czoła. W wypadku wygranej bohater dnia miał zainkasować 50 rubli. Silny a niewydarzony czeladnik krawiecki, nawykły od dzieciństwa do kowalskich młotów, postanowił spróbować szczęścia. Odbyła się morderczа walka, w której każdy z partnerów chciał wygrać za wszelką cenę. Breitbart miał za sobą publiczność, która nie tylko dopingowała rodaka, ale próbowała mu pomagać, w wyniku czego doszło w cyrku do ogólnej bójki. Interweniowała policja, i — jak głosi legenda — obaj bohaterowie wylądowali w komisariacie. Ale Zygmunta nic już od cyrku nie oderwało. Zaczął błyskotliwą światową karierę, następnie wciągnął do współpracy braci, tworząc potężny klan cyrkowców czynnych w pierwszych dziesięcioleciach naszego wieku. Książka dotycząca dziejów Breitbartów jest przygotowana. Jej autor opowiadał mi o dziejach artystów i wielokrotnie pytał, czy jest w Łodzi ktoś, kto by pamiętał ród Breitbartów oraz ową morderczą walkę w prowincjonalnym cyrku na Bałutach i związane z nią rozruchy. Niestety, poszukiwania pozostały bez rezultatu. Dwie wojny przeorały bałuckie środowisko i zatarły wiele wspomnień. Ale może ktoś z Czytelników „Odgłosów" pamięta ową rodzinę pochodzącą ze Strykowa, która mieszkała na zapomnianej dziś ulicy Berezyńskiej? Jeśli tak, to niech koniecznie napisze pod adresem: Documenta artistica, 104 Berlin (DDR), Linienstrasse 147.

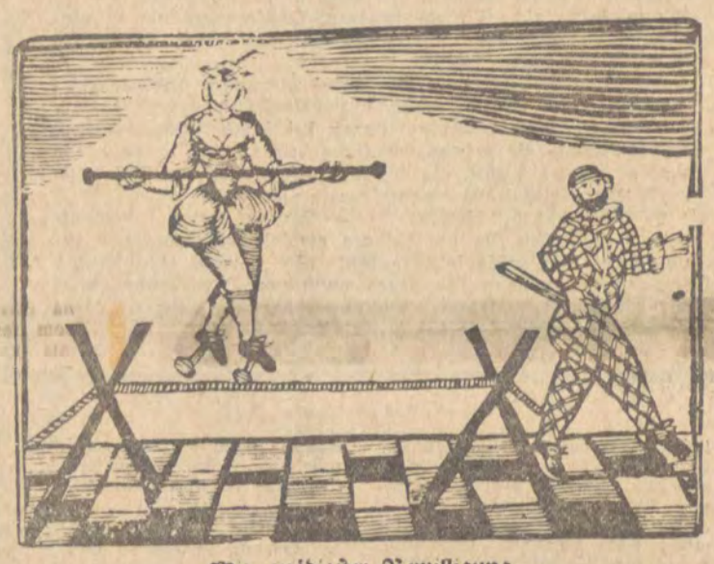

POWIĘKSZENIA

HARNAM

W programie TV „Dwie strony medalu" bohaterem były Zakłady „Rena-Kord", noszące imię Szymona Harnama. Jeden z telewidzów zapytał autorów programu, kto to był Harnam i dlaczego jego imię nosi fabryka.

Prowadzący zwrócił się wówczas do red. **Jerzego Bindera**, który jako „stary łodzianin" udzielił telewidzowi odpowiedzi. Powiedział tak: Był to działacz lewicowy, który w czasie manifestacji 1-majowej zginął na terenie fabryki Biedermanna, noszącej dziś jego imię".

Otóż Szymon Harnam (a właściwie Charnam) był działaczem komunistycznym i został śmiertelnie raniony przez agenta policji nie w czasie manifestacji 1-majowej, lecz 24 października 1929 roku, gdy przemawiał do robotników przed fabryką. Wyczerpująco opowiada o tym książka Wiktora Lemiesza pt. „Strzał przed fabryką Biedermanna" (Wyd. Łódzkie, 1964).

LITERACI

„Informator Związku Literatów Polskich" nr 2/36 podaje interesujące dane. Otóż w minionym roku do ZLP przyjęto 47 osób, z czego 29 z Warszawy. Nowymi członkami Związku zostali m.in. **Jacek Janczarski** (Ilustrowany Tygodnik Rozrywkowy — Polskie Radio), **Marta Fik** (krytyk, córka Ignacego Fika, pisarza), **Jerzy Borejsza** (historyk, syn Jerzego Borejszy), **Franciszek Jaszuński** (nie wiadomo, może syn Grzegorza Jaszuńskiego, publicysty), **Jerzy Kuncewicz** (nie wiadomo, może mąż Marii Kuncewiczowej, albo brat Piotra Kuncewicza — krytyka), **Józef Kuropieska** (generał), **Jerzy Ofierski** (sołtys Kierdziołek, ale za to autor dwu dobrych książek), **Krzysztof Radziwiłł** (tłumacz i książe), **Bohdan Tomaszewski** (sport), **Daniel Passent** (Bywalec z „Polityki").

CIEKAWOSTKI TELEWIZYJNE

Panienka prowadząca Studio Telewizji Młodych mówi „wymogi" zamiast „wymagania" oraz przerywa rozmówcom niczym Irena Dziedzic. Niestey, jest to jedyna rzecz, która upodabnia panienkę z STM do znakomitej dziennikarki.

Telewizja nadała ciekawy reportaż z warszawskiego kiermaszu książek. **Dzieła Cypriana Norwida podpisywał Daniel Olbrychski.**

JAKI MILLER?

„Express Ilustrowany" zapowiada program telewizyjny pod tytułem: **„Strzemiński i Miller"**. Jaki Miller? Hans Miller ze znanego dowcipu czy może Edzio Miller?

Nie ma proroków we własnym kraju. Po iluś tam latach łódzka gazeta nie pamięta już, kim był i co znaczy dla łódzkiej kultury postać Karola Hillera. **Niedługo i Katarzynę Kobro „Express" pomyli z telewizyjną „Kobrą".**

WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI

FRASZKI ZAKOPIAŃSKIE

ŚPIEWKA

Od wysokich turni jadą połamańcy,
wiatr im na osłodę zbójnickiego tańczy!
Od Chabówki jedzie pełen gipsu wagon!
Hej, przyda się bardzo, przyda tym łamagom!

NAGROBEK NARCIARZA

Już nie zjeżdża— rozbił w mig się!
Zasnął w Panu — oraz w gipsie.

SLALOM

Od Kuźnic po Cyrhlę
odbyłem swój slalom,
by taniej za pokój
zapłacić góralom.

KOLEJKI

Jednym kolejka na Kasprowy,
drugim kolejka „Wyborowej".

KTO TRUJE?

Wisi nad miastem dymu czapa —
kto truje? — trudno się połapać!
Dyskusja trwa. Ktoś rzuci hasło
i ciągle więcej d y m n y c h zasłon!

CHROŃMY SZAROTKI!

Chrońmy szarotki!
Choćby na wianek
dla mniej roztropnych
zakopianek!

ZDARZENIE NA ULICY

Pewien znany reżyser filmowy spotkał raz na ulicy staruszka, który wolniutko drepcząc, popychał przed sobą mozolnie duży kredens z gzymsem. Śledząc z uwagą trud staruszka, znany reżyser zrozumiał, iż młodość to wzloty i porywy, starość zaś, to upór i mestwo.

DŁUGIE I DOBRE

W ramach rozsądnie pojętej walki z alkoholizmem, w programie telewizyjnym zostanie ukazana w kolorze twarz osobnika, który ma zamiar wychylić kieliszek Starowinu. Łagodny, kobiecy głos, będzie zawstydzać osobnika tak długo, aż na twarzy jego pojawią się wątpliwości. Te z kolei ustąpią, ukazując porzucenie zamiaru i na twarzy osobnika odbije się zwycięstwo — to znaczy decyzja przystąpienia do Zespołu Pieśni i Tańca przy najbliższym Domu Kultury. Orientacyjny czas trwania powyższego programu, przewiduje się na około trzech miesięcy.

MAŁE KINO

„Najlepsze te małe kina"
K.I.G.

MRUGANIE Z TORONTO

Pewien naukowiec filmowy z Toronto odkrył, że gdyby wszyscy widzowie na sali kinowej mrugali w jednym rytmie, można by było zaoszczędzić sporo taśmy filmowej marnującej się niepotrzebnie w momencie gdy powieka jest opuszczona. Przewiduje on, iż w kinach przyszłości specjalny funkcjonariusz, zwany Mrugała, czuwać będzie nad czasokresem mrugnięć. Po oświadczeniu powyższego naukowiec filmowy zamrugał do nas z Toronto.

ANDRZEJ CZEKALSKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102 Telefony 652 44 217 98 oraz 293 00, wew. 29, 39, 40 i 41 Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca zastrzega sobie również prawo skrótów Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Zam. 1209. R-2. Nr indeksu 26762.